

Słońce nad Bredą

Perez -Reverte Arturo

Książka III z Przygody Kapitana
Alatriste



calibre 0.9.27

Przygody Kapitana Alatryste

3 Słońce nad Bredą

przełożył

Filip Łobodziński

Tytuł oryginału: Las aventuras del capitan Alatryste

3. El sol de Breda

Dla Jeana Schalekampa,

przeklętego heretyka,

tłumacza i przyjaciela

Za swym dowódcą ciągną wielkim światem,

Ognia nader żądne, krzepkie, brodate

Hiszpańskie oddziały nieokrzesane.

Kapitanie, coś w ziemi był Flamandów,

W Meksyku, w Italii, wśród szczytów Andów,

Gdzie jeszcze cię poniesie, kapitanie?

C.S. del Rio, Niebiosa

I.

UŚCISK DŁONI

Przebóg, jakże wilgotne są niderlandzkie kanały o jesiennym świcie! Hen, sponad mglistej zasłony, co

groblę spowijała, niewyraźne słońce z trudem przebijało się, by choć odrobinę światła rzucić na ludzkie

postacie, zdążające traktem ku miastu, które swe podwoje właśnie rozwarło, jako że poranny targ się rozpoczynał. Nie słońce to snadź było, ale jakowaś niegodna tego miana, słabo widzialna, zimna gwiazda

kalwińska, prosząca schizmatyckim światelkiem, szarym i brudnym. I w tej lichej poświacie przesuwały się

przed moimi oczyma wozy w woły zaprzężone, grupy włościan płody ziemi w koszach niosących i niewiasty

w białych czepcach, obładowane serami i bańkami z mlekiem.

Także i ja przedzierałem się przez tę mgłę, biesagi mając u ramion uwieszane i zęby zaciskając, żeby mi z

chłodu nie dzwoniły. Zerknąłem na nasyp grobli, gdzie opary z wodą się mieszały, ale dostrzegłem jeno

mętne zarysy sitowia, trawy i drzew. Zaiste, przez moment zdało mi się, że widzę zmatowiały kawałek

metal, rzekłbyś - morion albo skrawek pancerza, a może obnażona broń. Atoli trwało to raptem chwilę, po

której wilgotne wyziewy wszelki widok na powrót zakryły. Podwika, co obok szła ku miastu, pewnikiem też

szczegół ów dostrzegła, bo rzuciła ku mnie niespokojne spojrzenie spod okrywającej lico chustki, zaczem

popatrzyła na niderlandzkich strażników, których ciemnoszare sylwetki wyposażone w napierśniki, hełmy i

halabardy odcinały się już wedle zwodzonego mostu na szarym tle murów.

Miasto, a ściślej - ogromny most, nazywało się Oudkerk i położone było u zbiegu kanału Ooster i rzeki

Mark, w delcie Mozy, którą Flamandowie zwą Maas, a zbuntowani heretycy osobliwiej wojskową niżli jakąś

inną wagę doń przykładali. Miejsce to bowiem umożliwiało kontrolę nad wniknięciem do kanału, którym

dostarczano posiłki do odległej o trzy mile, oblężonej Bredy. Siły w Oudkerk zgromadzone składały się z

mieszkańskiej milicji i dwóch kompanii zaciężnych, w tym jednej z Angielczyków się rekrutującej.

Dodajmy do tego silne umocnienia, a szybkie zdobycie głównej bramy, bronionej przez potężny bastion,

fosę i zwodzony most, niepodobieństwem się zdawało. I dla tej to przyczyny ja owego poranka byłem tam,

gdzie byłem.

Tuszę, żeście mnie waszmościowie rozpoznali. Zwę się Inigo Balboa, w czasie, o którym tu prawie, liczyłem czternaście i pół wiosny. A niech mi nikt za samochwalstwo nie poczyta tego, co powiem: jeśli

prawdą jest, że gdzie ogień bitewny, tam i wiarus pewny, to ja w tej sztuce niezgorszej wprawy jużem zdążył

nabyć. Po niebezpiecznych wypadkach, w jakich przyszło mi wziąć udział w Madrycie naszego Filipa

Czwartego, gdzie okoliczności zobligowały mnie do chwytania za pistolet i sztylet, otarłszy się także o stos

inkwizycyjny, ostatnie dwanaście miesięcy spędziłem w wojsku u boku pana mego, kapitana Alariste, we

Flandrii. Stary Regiment z Cartageny wprzód morzem przeprowiony został do Genui, ruszył na północ

przez Mediolan i tak zwanym Traktem Hiszpańskim, by zbuntowane prowincje osiągnąć, gdzie toczyła się

wojna.

Dawno w przeszłość odeszły już były czasy wielkich dowódców, wielkich szturmów i wielkich zdobyczy,

wojna bowiem podobną się stała mozolnej partii szachów, podczas której fortece kolejno były oblegane, z

rąk do rąk przechodziły, a odwaga mniej liczyła się niżli cierpliwość.

A pośrodku takiej to awantury wojennej posuwałem się skroś mgłę, jak gdyby nigdy nic przybliżając się

ku niderlandzkim strażnikom, bram Oudkerk pilnującym, ramię w ramię z dziewczyną, co lico pod chustą

kryła, zewsząd otoczony przez włościan, woły, gęsi i wozy. I tak pokonałem kolejny kawałek drogi, na nic

uwagi nie zwracając, nawet gdy jeden z wieśniaków, na mój gust nieco zbyt smagły jak na tę ziemię i to

plemię - tu

wszak każdy niemal skórę, włosy i oczy miał jasne - minął mnie szparko, mruczając pod nosem cichutko

coś, co mi Zdrowaś Mario przypominało; chciał może dołączyć do idących przodem czterech innych chłopów. Także niezwykle chudych i ogorzałych.

Owóż stało się, że do miejsca, gdzie u wrót miasta na moście zwodzonym stali strażnicy, dotarliśmy prawie jednocześnie - ci czterej z przodu, ów maruder, podwika w chustce i ja sam. Wartowników było

dwóch: gruby, owinięty w czarny płaszcz kapral o różowej kompleksji i jego podwładny z sumiastym,

jasnym wąsiskiem. Tegom osobliwie dobrze zapamiętał, jako że rzucił coś po flamandzku do dziewczki w

chuście, pewnikiem jakąś frywolną zaczepkę, i zarechotał donośnie. Raptem atoli śmiać się przestał, albowiem chudy wieśniak od Zdrowaś Mario wy dobył zza pazuchy sztylet i jął tamtemu gardziel podrzynać,

a posoka tak zeń siknęła, iż biesagi mi zbrukała, gdym je otwierał, by pistolety grzecznie nabite wydać

pozostałym czterem. W ich rękach zasię również załśniły sztylety niby błyskawice. Na widok ów kapral

gębę rozdziawił, by na alarm wrzasnąć, zdążył aliści jeno tyle uczynić - rozdziawić ją, bo nim zdołał choćby

sylabę z niej wypuścić, już przy naszyjniku pancerza miał puntę sztyletu. Zaraz też i gardło mu rozplątano od

ucha do ucha. I kiedy on do fosy spadał, ja, biesag poniechawszy, wsunąłem własny sztylet między zęby i

jąłem się jak wiewiórka po filarze mostu wspinać, a tymczasem dziewczka w chuście, co ani chusty już nie

miała, ani dziewczką nie była,

jeno mym rówieśnikiem, na którego wołano Jaime Correas, drugi słup zdobywała, by wspólnie ze mną drewnianymi klinami mechanizm zablokować, liny przeciąć i krążki zniszczyć.

Tak to Oudkerk przebudziło się, jak jeszcze nigdy w swych dziejach, jako że czterej w pistolety zbrojni

oraz ten od Zdrowaś Mario rozpanoszyli się po bastionie niczym diabelska gromadka, żelazem i ogniem

siekąc wszystko, co się ruszało. W tym samym momencie, gdy ja i mój kompan unieruchomiliśmy most

zwozony i nuże po łańcuchach na dół zjeżdżać, od strony grobli dobiegł nas ochrypły wrzask - wołanie stu

pięćdziesięciu chłopca, co noc byli we mgle przepędzili, w wodzie po pas zanurzeni, a teraz wyłazili z niej,

krzyżąc:

"Święty Jakubie! Święty Jakubie!... Za Hiszpanię! Za świętego Jakuba!". Skorzy ziąb krwią i ogniem

przegnać, wspinali się z rapierami w dłoniach po nasypie, pędzili groblą w kierunku mostu i bramy,

zajmowali bastion, by na koniec, ku przerażeniu Niderlandczyków, co jak oszalałe gęsi miotali się bez ładu i

składu, wtargnąć do miasta i do rzezi spokojnie przystąpić.

Dzisiaj w księgach historyków czytamy o szturmie na Oudkerk, że był to mord, mówią nam o powtórzeniu

"hiszpańskiej furii" z Antwerpii" i tym podobne cudowności, utrzymują, [Mowa o krwawym splądrowaniu

Antwerpii w 1576 r.] jakoby owego poranka regiment z Cartageny osobliwym okrucieństwem się popisał. Tak

powiadacie, he?... Mnie tam tego nikt nie bajdurzył, bo sam we wszystkim uczestniczyłem.

Zaiste, pierwsze chwile to była jatka niemiłosierna. Aliści powiedzcie, waszmościowie, jak inaczej, siłą stu

pięćdziesięciu żołnierzy, szturmem wziąć holenderską twierdzę, obsadzoną siedmiuset obrońcami. Tylko

bezlitosny atak znieca mógł złamać ducha psubratom, tedy nie inaczej postąpili nasi weterani Starego

Regimentu, w rzemiośle swym dobrze zaprawieni. Wedle rozkazów marszałka polnego, mości Pedra de la

Daga należało zabić wielu i sprawnie na samym początku, ażeby obrońców trwogą napełnić i do rychłego

poddania przymusić, a łupiestwo odłożyć na czas, gdy wojsko pewne będzie, że szturm zakończył się powodzeniem. Oszczędzę przeto waszmościom szczegółów. Tyle jeno powiem, że powietrze aż gęste

zrobiło się od wystrzałów z arkebuzów, wrzasku i szczęku rapierów i że ani jeden Niderlandczyk od piętnastej wiosny, który by na drodze naszych stanął w pierwszych minutach szturm - czy to walczył, czy

pierzchał, czy też chciał się poddać - nie uszedł żyw, by móc z całego wydarzenia sprawę zdać.

Nasz pan marszałek polny miał słuszość. Panika we wraźych siłach stała się naszym najlepszym sprzymierzeńcem, przeto i strat nie ponieśliśmy znacznych. Najwyżej dziesięciu, tuzin może zabitych i rannych. A to, do diaska, naprawdę niewielu, gdy stawić przed oczy dwie setki heretyków, których miasto

musiało pogrzebać nazajutrz, i fakt, że w dodatku Oudkerk wpadło w nasze ręce aż miło. Główny opór

napotkaliśmy w ratuszu, gdzie ze dwudziestu Angielczyków zdołało się jako tako przegrupować. Anglików,

co to zawarli sojusz z buntownikami, kiedy ichniemu księciu Walii nasz miłościwy król odmówił był ręki

infantki Marii, nikt na to wesele bynajmniej nie spraszał. Przeto, gdy pierwsi Hiszpanie dotarli na główny

plac ze sztyletami, lancami i rapierami krwią ociekającymi i kiedy Anglicy przywitali ich palbą muszkietową

z balkonu ratusza - to, proszę waszmościów, naszych wprawiło w głębokie nieukontentowanie. Nanieśli

więc prochu, pakuł i smoły, podpalili ratusz nafaszerowany dwudziestką Anglików, a potem jeno, kiedy

tamci ze środka wychodzili, natykali się na hiszpańskie arkebuzy i rapiery. Rzecz jasna ci, co jeszcze wyjść

zdołali.

A potem rozpoczęło się łupiestwo. Zgodnie ze starą żołnierską praktyką, miasto, które na mocy stosownego układu nie poddało się atakującym albo wzięte zostało szturmem, mogło być przez zwycięzców

ograbione. A że żądza łupów wielką była, każdy żołnierz brał za dziesięciu, a przymierzał się nawet za stu.

Ponieważ Oudkerk nie poddało się - gubernator został ubity z pistoletu na samym początku, a burmistrza

akurat w tym momencie wieszano we drzwiach jego własnego domostwa - i jako że, mówiąc wprost, usraliśmy się przy zdobywaniu miasta, nie trzeba było nijakiego odrębnego rozkazu, abyśmy teraz jęli wchodzić do domów, które uznalibyśmy za zdatne (czyli do wszystkich), i zabierali stamtąd, cokolwiek się

nam spodoba. Owóż dochodziło, wystawcie sobie waszmościowie, do scen pożałowania godnych, albowiem

mieszczanie tamtejsi - jak zresztą wszędzie na świecie - złowrogim okiem spoglądają na tych, co ich własnego dobytku chcą pozbawić, przeto niejednego trzeba było nakłonić do posłuszeństwa za pomocą

kawałka zaostzonego metalu.

Rychło też na zasnutych dymem ulicach co rusz widziałeś żołnierzy objuczonych najbardziej

malowniczymi przedmiotami, podeptane firanki, potrzaskane meble i siła trupów, wiele z nich z odzienia i

butów odartych, za to obficie broczących krwią, która zbierała się na bruku w spore kałuże. Krwią, na której

ślizgały się żołnierskie buty, a którą psy jęły chciwie chleptać. Mają tedy waszmościowie obraz tego, co się

działo.

Wobec niewiast nie było żadnego gwałtu, przynajmniej nie było nań pozwolenstwa, nikt się też nie

upił - a

przecież nawet najbardziej karne wojsko potrafi sobie pofolgować i w jednym, i w drugim. Tu akurat rozkazy były jasne i zdecydowane niby cięcie stali toledańskiej, albowiem nasz dowódca naczelny, mość

Ambrosio Spinola, nie chciał zatargów z miejscowymi zastrzać - co rusz który trupem padał, a jego dobytek łupem, snadź niegodnym było, by im jeszcze ślubne zniewalać. Tedy w wigilię szturm, by sprawy

postawić jasno - wszak wiadomo, że lepiej zrazu uderzyć "na wszelki wypadek", niżli później biadolić "kto

by pomyślał" - powieszono dwóch czy trzech osobliwie jurnych żołdaków, którym udowodniono przewinę.

Ale też nie masz na tym świecie idealnej kompanii ni chorągwi, boć nawet wśród towarzyszy Chrystusa, co to

On sam ich snadź do siebie powołał, znalazł się taki, co Go zdradził, drugi, co się Go zaparł, i trzeci, co Mu

nie uwierzył. W każdym razie pod Oudkerk taka kaźń zawczasu zadziałała zaiste zbawczo i wyjąwszy odosobnione, nazajutrz zbiorową egzekucją naprędce ukarane, przypadki zniewolenia niewiast - wszak

nieuchronne, gdy na scenę wchodzi upojeni zwycięstwem żołnierze - cnota Flamandek, niezależnie od jej

faktycznego stanu, pozostała nietknięta. Do czasu.

Ratusz płonął po sam kurek na szczycie dachu. Podążaliśmy ulicami wspólnie z Jaime Correasem, obydwa

bardzo kontenci, żeśmy byli cało przy bastionie uszli i że naszą misję przy moście zwodzonym wykonaliśmy

zgodnie z oczekiwaniami wszystkich (nie licząc Niderlandczyków). W moich biesagach, którym zdołał

odzyskać po bitwie, jeszcze zbrukanych krwią wąsatego strażnika, targaliśmy wszelkie cenne przedmioty,

jakiśm zdołali upatrzeć: srebrną zastawę, nieco złotych monet, łańcuch zabrany jakimś

nieżywemu

mieszczaninowi i parę udatnych, nowiutkich dzbanów ze spiżu.

Mój kompan na łeb nałożył wyborny morion, w pióra zdobny, który przedtem należał do pewnego Anglika, ten atoli już nie miał na co swego nakrycia wdziać, ja zaś paradowałem w zacnym kaftanie z przesywanego srebrem czerwonego aksamitu, wziętym z opuszczonego domostwa, któreśmy byli splądrowali co nieco. Jaime był, podobnie jak i ja, pachółkiem, to jest pomocnikiem żołnierza, a że społem

niejedną niedolę i biedę przyszło nam przecierpieć, uważaliśmy się za druhów serdecznych. Łupy i udany

podstęp przy moście zwodzonym, który nasz kapitan Carmelo Catón przyrzekł był wynagrodzić, jeśli

wszystko pójdzie dobrze, zdołały Jaimemu pociechę przynieść, wciąż bowiem czuł się z lekka zasromany z

powodu przebrania go za młodą wieśniaczkę - traf chciał, że ciągnęliśmy losy i na niego wypadło. Mnie zaś,

który w owym czasie nieugięcie trwałem przy postanowieniu, że zostanę żołnierzem, gdy wiek stosowny

osiągnę, cała awantura flamandzka przyprawiała o zawrót we łbie, co było skutkiem pomieszania zapachu

prochu, naszych wiktorii, podniecenia i namacalnego niebezpieczeństwa. Na rany Chrystusowe, tak właśnie

widzisz wojnę, gdy wiosen masz nie więcej niżli wersów w sonecie, a łaskawa Fortuna zezwala, byś patrzył

na bitewny zamęt oczami nie ofiary (wszak nie była to moja ziemia ni moi ziomkowie), ale świadka. A

nierzadko i młodocianego kata. Alem już nadmieniał był waszmościom przy innej okazji, że w owej epoce

życie ludzkie, takż i własne, mniej warte było od stali, którą można je było odebrać. Trudna i okrutna to

była epoka. I ciężka.

Właśnie opowiadał, jakośmy dotarli z Jaimem do placu przed ratuszem, gdzie zabawiliśmy dłużej nieco,

by pożarowi się dziwować i obnażonym, pod drzwiami gmachu zrzuconym angielskim ścierwom - wiele z

nich miało włosy jasne albo rude i piegi na licach. Co chwila mijaliśmy Hiszpanów łupy dźwigających albo

Niderlandczyków, co w zatrwożeniu wielkim popatrywali na plac z bram swych domostw, stłoczeni niczym

bydło pod strażą naszych uzbrojonych po zęby towarzyszy. Podeszliśmy do nich bliżej, by okiem rzucić.

Stały tam głównie niewiasty obok starców i dzieci, z rzadka jakiś dorosły mężczyzna. Pamiętam jednego

chłopaka w naszym wieku, co przyglądał się nam z ponurym zaciekawieniem, a także białogłowy o złotych

lokach, białej cerze i oczach szeroko otwartych pod białymi chustami. Te ich jasne oczy, lękiem

przepełnione, wodziły za śniadymi żołnierzami o spalonej słońcem skórze, którzy byli dużo niżsi od

flamandzkich mężów, ale wąsiska nosili sute, brody gęste i mocnymi nogami przemierzali teraz ich miasto

rodzinne, z muszkietami u pasa i rapierami w dłoniach, cali odziani w skórę i blachy, powaleni brudem,

krwią, mułem z fosy i prochem strzeleckim. Nigdy nie zapomnę wzroku, jakim patrzyli na nas Hiszpanów ci

ludzie, w Oudkerk i w tylu innych miejscach. Czaiła się tam nienawiść przemieszana ze strachem, z jaką

witali nas, gdyśmy do ich siedzib się zbliżali, gdy mijaliśmy ich domy, pokryci kurzem z drogi, najeżeni

bronią i okryci łachmanami, większą grozę budzący, kiedyśmy milczeli, niżli zdzierający gardła. Dumni

nawet wśród największych niedoli, jak ci żołdacy, o których w Żołnierskim stanie pisał Bartolome Torres

Naharro: [Bartolome Torres Naharro (?-1530) - jeden z najwybitniejszych dramaturgów

hiszpańskiego Odrodzenia.]

Chwyć za broń,

Wojna trwa, ty wroga goń,

Kułak znajdzie twój zajęcie,

Byliśmy wierną piechotą naszego katolickiego monarchy, ochotnikami w pogoni za fortuną albo chwałą,

chlubą honoru Obojga Hiszpanii, a czasem i plamą na tymże, hołotą do rokoszu skorą, co dyscypliny żelaznej a bezwzględnej jeno pod ogniem nieprzyjacielskim przestrzegała. Nieulękłe a straszliwe nawet w

obliczu klęski, hiszpańskie regimenty były najlepszą szkołą żołnierki, jaką Europa przez wieki miała, i

najdoskonalszą machiną wojenną, jaką kiedykolwiek dowodzono na polu bitewnym. Trzeba atoli rzec, że

epokę wspaniałych szturmów mieliśmy już za sobą, coraz większe znaczenie zyskiwała artyleria, a wojna we

Flandrii przeistoczyła się w mozolne oblężenia przy użyciu min i podkopów, tedy i piechota nasza też przestała już być ową wyborną formacją, o której z taką dumą pisał wielki Filip Drugi w słynnej epistole do

swego wysłannika przy papieżu:

Ani myślimy, ani też pragniemy władać heretykami. Jeżeli zasię nie zdołamy uporać się ze wszystkim wedle

naszych życzeń, nie uciekając się do siły oręża, jesteśmy gotowi i tej drogi się podjąć, w czym nie powstrzyma nas ani możliwe zagrożenie naszej osoby, ani zniszczenie, jakie przynieść by to mogło tamtym

krajom względnie też wszelkim pozostałym, które w naszym posiadaniu są jeszcze, albowiem tak właśnie

winien postąpić chrześcijański a bogobojny władca w służbie Panu naszemu. [Bartolome Torres Naharro,

Soldadesca (Żołnierski stan).]

I, do diaska, tak właśnie było. Przez dziesięciolecia całe Hiszpania wadziła się z połową świata, pożytku z

tego wynosząc nie więcej niżli Salomon z próżnego naczynia wody utoczył, i rychło ujrzała, jak jej wierne

regimenty padały niby muchy na polach bitew, jak choćby pod Rocroi, posłuszne własnej sławie (bo czemuż

innemu), milczące i beznamiętne, ze swych szeregów czyniące owe sławetne "ludzkie wieże i mury", o

których z takim zachwytem pisał Francuz Bossuet¹). Aliści prawdą jest też, żeśmy koniec końców wszystkim

wybornie dupy skroili. Lubo wszak nasi ludzie i ich generałowie już od dawna nie przypominali swych

poprzedników z czasów diuka de Alba²) i Alessandra Farnese³), atoli żołnierz hiszpański długo jeszcze był

lzmorą Europy. Ten, co i króla francuskiego porwał pod Pawią⁴), i zwycięstwo pod Saint-Quentin odniósł,

Rzym oblegał⁵) i Antwerpię, zdobył Amiens⁶) i Ostendę⁷), usiekł dziesięć tysięcy wrogów podczas szturm

1) Jacques-Benigne Bossuet (1627-1704), kaznodzieja francuski. W Oraison funebre de tres haut et tres puissant

prince Loms de Bourbon, prince de Conde, premier du song (Mowa żałobna pamięci nader dystyngowanego i możnego

księcia Ludwika Burbona, Kondeusza, pierwszego księcia krwi) tak pisał o bitwie pod Rocroi: "Pozostała jeno owa

nadzwyczaj groźna piechota hiszpańska, której zwarte bataliony, wieżom podobne, i to wieżom, co wszelakie wyłomy u

siebie naprawić potrafią, trwały niezachwiane wśród całej pierzchającej reszty i ogień wszędy miały".

2) Fernando Alvarez de Toledo, diuk de Alba (1508-1582) - wódz hiszpański, zasłynął rządami silnej ręki w

Niderlandach.

3) Alessandro Farnese (1545-1592) - książę Parmy i Piacenzy, zarządca Niderlandów, dyplomata, syn naturalnej siostry

Filipa II.

4) W 1525 r., po bitwie pod Pawią, wygranej przez wojska hiszpańskie cesarza Karola V, król Francji Franciszek I

został uprowadzony do Madrytu.

5) Wojska Karola V z sukcesem oblegały Rzym w 1527 r.

6) Francuskie Amiens wpadło w ręce Hiszpanów w 1596 r.

7) Ostenda została zdobyta przez Hiszpanów w 1604 r. po trzech latach oblężenia.

8) Protestantckie wojska Ludwika van Nassau zostały rozgromione przez diuka de Alba pod Jemmingem w 1568 r.

9) Zdobycie Maastricht w 1579 r. było wielkim sukcesem militarnym ks. Farnese.

10) Oddziały hiszpańskie pod dowództwem Diega Pimentela wygrały bitwę na plaży pod Sluys przeciwko

przeważającym siłom niderlandzko-angielskim w 1588 r.

na Jemmingem⁸), osiem tysięcy pod Maastricht⁹) i dziewięć tysięcy pod Sluys¹⁰), stając do walki z bronią w

ręku w wodzie po pas¹. Byliśmy niczym gniew boży. I wystarczyło ledwie okiem na nas rzucić, by

zrozumieć dlaczego: śniade, nieokrzese hufce, z suchych krain południowych przybyłe, walczyły oto na

cudzej ziemi, cienia litości nie okazując, klęska zasię równała się dla nich unicestwieniu, a o odwrocie nijaką

miarą nawet nie myślały. Ramię w ramię szli tacy, których przygnała tu nadzieja, że ostawili nędzę i głód

szmat drogi za sobą, oraz ci, których pchnęła na wojnę żądza zysku, fortuny i chwały. Wybornie pasowały

do nich słowa piosenki, jaką don Kichotowi odśpiewał piękny panicz:

Na daleką wojenkę

Wiedzie potrzeba,

Nie poszedłbym tam wcale,

Gdyby nie bieda. [Miguel de Cervantes Saavedra, Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy,]

Albo takie dawne, a jakże wymowne strofy:

Biję się, bo bić się muszę,

Z siodła widok mam szeroki

I Kastylię całą okiem

Mierzę, kiedy w pole ruszę. [Lope de Vega, Las almenas de Toro (Mury twierdzy Toro).]

Ale, ale. Owóz staliśmy tam jeszcze przez dobrych kilka lat, poszerzając widok Kastylii główniami naszych rapierów (albo jak tam Bóg z diabłem pospołu nam podszeptowali) o miasto Oudkerk. Chorągiew

naszej kompanii zawisła na balkonie jednego z domów, stojących wokół głównego placu, tam też udał się

mój druh Jaime Correas, przypisany do drużyny chorążego Coto, by swoich odnaleźć. Ja szwendałem się

dalej, unikając bliskości fasady ratusza w obawie przed straszliwym żarem, od pożogi bijącym. Okrążywszy

zasię gmach, spostrzegłem dwóch mężów, co księgi i pliki papierów w pośpiechu wynosili ze środka i w stos

ustawiali. Nie wyglądało to na zwykłe łupiestwo - trudno wszak przypuszczać, by podczas plądrowania

miasta ktokolwiek na książki uwagę swą zwrócił - a raczej na ratowanie dokumentów zagrożonych

plamieniami, zbliżyłem się tedy, by okiem rzucić. Jak może pamiętacie waszmościowie, obeznany już byłem

ze słowem drukowanym od czasu, kiedym w królewskiej stolicy Obojga Hiszpanii mieszkał, a to za sprawą

przyjaźni, jaką darzył mnie mość Francisco de Quevedo (który obdarował mnie Plutarchem), lekcji

łaciny i

gramatyki, przez Klechę Pereza udzielanymi, zamiłowaniu, jakie sam żywiłem dla sztuki dramatycznej

Lopego, oraz lekturom, którym tak chętnie oddawał się mój pan Alatryste, gdy miał sposobność się w nich

zatopić.

Jednym z tych, co księgi wynosili i w stos na ulicy układali, był leciwy już Niderlandczyk o długich, jasnych włosach. Nosił się na czarno, jak tutejsi pastorowie, kołnierz miał powalany, a pończochy zszarzałe,

aliści nie wyglądał na duchownego (o ile tak można nazywać kapłanów tego schizmatyka Kalwina, niech się

smaży w piekle czy gdzie go tam, zasrańca jednego, diabli obracają). Wykoncypowałem w końcu, że musi to

być jakiś sekretarz albo inny urzędnik miejski, co księgi chce przed ogniem uchronić. Poszedłbym tedy precz

przed siebie, gdyby uwagi mej nie zwrócił drugi, który właśnie śród dymów, książkami objuczony, na dwór

wychodził - nosił bowiem czerwoną wstęgę żołnierzy hiszpańskich. Był to młodzian bez kapelusza na głowie, z obliczem pokrytym potem i aż od sadzy czarnym - snadź wiele już razy zapędził się był

1w głąb pogorzeliśka. U pendentu wisiał mu rapier, na nogach widniały wysokie buty, całe zbrukane gruzem i popiołem, a rękaw jego kaftana tlił się i dymił, atoli właściciel jego zdawał się zgoła tym nie

przejmować. A kiedy nareszcie księgi na ziemi złożył i dostrzegł strużkę dymu z odzienia, ugasił je, klepiąc

się parę razy niedbale dłonią. I teraz dopiero wzrok podniósł i na mnie spojrzął. Lico miał szczupłe,

kanciaste, wąsik ciemny, jeszcze niezbyt gęsty, który przechodził pod dolną wargą w niewyraźną bródkę.

Mógł liczyć sobie ze dwadzieścia, może dwadzieścia jeden wiosen.

- A ty czemu nie pomożesz? - burknął, widząc czerwony krzyżyk na mym kaftanie naszyty. - Będiesz

stać tu jak jaki gamoń?

Co rzekłszy, rozejrzał się po okolicznych bramach, skąd przyglądały się im jakieś niewiasty z pacholętami,

po czym otarł pot z twarzy osmalonym rękawem.

- Przebóg - mruknął - zaraz umrę z pragnienia.

I na powrót znikł w czeluściach ognia społem z tym w czerni, by kolejne książki przytargać. Ja chwilę

podumałem i uznałem, że najlepiej będzie podbiec co sił w nogach ku najbliższemu domostwu, gdzie wedle

strzaskanych i wyrwanych z zawiasów drzwi stała jakaś złąkniona niderlandzka rodzina.

- Drinken [Drinken (niderl.) - pić.] - ozwałem się i moje dwa dzbany spiżowe pokazałem, jednocześnie

gestem naśladując picie i kładąc drugą dłoń na rękojeści mego sztyletu. Heretycy zrozumieli i słowo, i moje

ruchy, zaraz bowiem napełnili dzbany wodą, ja zaś w mig wróciłem do dwójki osobników, co książki

1) Ciało ni chybi trafi do mogiły, i w proch, co wciąż miłuje, rychło się zmieni - fragment sonetu Amor constante mas

alla de la muerte (Niezlomna miłość aż poza grób).

ustawiali w sterty. Ledwie dzbany me spostrzegli, w okamgnieniu wychylili je duszkiem z widoczną

łapczywością, nim jednak z powrotem zanurzyli się w dymach, Hiszpan znowu zwrócił się ku mnie:

- Dzięki - rzekł zdawkowo.

Ruszyłem za nim. Biesagi na ziemi zostawiłem, zrzuciłem z siebie aksamitny kaftan i poszedłem jego

śladem - nie dlatego że uśmiechnął się, gdy mi dziękował, ani też dlatego zgoła, że rozczuliły mnie jego

zaczerwienione od dymu oczy i osmalony rękaw, ale dlatego że raptem ów nieznany mi żołnierz uświadomił

mi ważną prawdę: owóz czasami są rzeczy ważniejsze niżli łupiestwo. Choćbyś miał się obłowić w

bogactwa stukrotnie większe od twej rocznej intraty. Zaczepnąłem tedy powietrza, ile tylko płuca me

zmieścić zdołały, osłaniając nos i usta gałgankiem z kieszeni wydobytym, schyliłem głowę, by nie uderzyć

w rozżarzone belki, które lada chwila runąć mogły, i ruszyłem za tamtymi w głąb pogorzelska, gdzie na

płonących regałach czekały jeszcze książki. Nadszedł wreszcie taki moment, kiedy wszystko wokół jednym

wielkim, duszącym stało się upałem, pełnym fruwających węglików, wypalającym płuca przy lada oddechu,

a większość książek w popiół się obróciła, w proch, który już nie miłuje, jak w cudnym i tak nierzeczywistym tutaj sonecie mości Francisca de Quevedo¹) jeno w smętne resztki.

A wraz z nimi w ów proch obracały się i przepadały niezliczone godziny skupienia, owoce miłości i wiedzy, żywoty wreszcie, które mogły wszak światło przynieść innym żywotom.

Odbyliśmy ostatnią wycieczkę, po której powała się zapadła przy akompaniamencie wybuchów i łoskotów

tuż za naszymi plecami, my zaś stanęliśmy na dworze, ustami łapczywie powietrze chwytając, i

pozieraliśmy na siebie oniemiałymi oczami zażawionymi od dymu, cali potem przesiąknięci. U naszych stóp

leżały ze dwie setki ocalonych ze spalonej biblioteki książek i dawnych zwojów. Jak zmiarkowałem, była to

może dziesiąta część tego, co strawił ogień w środku. Odziany na czarno Niderlandczyk, znużony

wysiłkiem, klęczał wedle uratowanego dobytku, kaszlał i płakał. Żołnierz tymczasem, kiedy już odetchnął,

znów uśmiechnął się do mnie jak wówczas, kiedy wodę mu był podawał.

- Jak się zowiesz, chłopcze?

Wyprostowałem się nieco, dusząc w sobie kaszel.

- Inigo Balboa - odparłem. - Z chorągwi kapitana mości Carmela Catona.

Mijałem się tu ciut z prawdą. W chorągwi owej służył, i owszem, kapitan Diego Alatryste, a zatem ja

takoż, atoli w regimentach pacholkowoie znaczylu niewiele więcej niżli słudzy czy juczne muły. Nie mogłem

tedy podawać się za żołnierza. Ale nieznanomemu nie robiło to snadź nijakiej różnicy.

- Dziękuję, Iñigo Balboa - rzekł.

Uśmiech jeszcze bardziej oblicze mu rozjaśnił, całe lśniące od potu i czarne od sadzy.

- Któregoś dnia - dodał - przypomnisz sobie, czegoś dzisiaj dokonał.

Przebóg, niesamowite. Przecież nie mógł tego żadną miarą przewidzieć, ale jak sami waszmościowie

zmiarkować mogą, trafił ów żołnierz w sedno, boć wybornie sobie tamtą chwilę przypominam.

Wspartł

bowiem wówczas jedną dłoń swą na moim ramieniu, a drugą potrzęsnał moją prawicę ciepłym, mocnym

uściskiem. Następnie zaś, słowa nie zamieniwszy z Niderlandczykiem, który książki układał w mniejsze

stosiki, jakby skarby miał przed sobą - dziś wiem, że tak było w istocie – ruszył prosto przed siebie.

Ładnych kilka lat upłynęło, nim się znowu z owym nieznanym żołnierzem spotkałem, któremu tamtego

mglistego jesiennego dnia w Oudkerk pomagałem ratować książki z płonącego ratusza. I przez wszystkie te

lata pojęcia nie miałem, jak się zwał. I później dopiero, kiedy sam wyrosłem na męża pełną gębą,

szczęście dopisało mi i natknąłem się nań w Madrycie i w okolicznościach, które nijak mają się do niniejszej

opowieści. On podówczas nie był już zwykłym żołnierzem, aliści, pomimo długich lat, jakie dzieliły nas od

pamiętnego poranka we Flandrii, nie zapomniał, jak się nazywam. A i ja nareszcie dowiedziałem się

samego o nim. Zwał się Pedro Calderón: pan Pedro Calderón de la Barca.

Ale wróćmy do Oudkerk. Po odejściu żołnierza i ja się z placu oddaliłem, chcąc poszukać kapitana

Alatriste. Odnalazłem go w dobrym zdrowiu z całą resztą drużyny wedle skromnego ogniska w ogródku za

domem nieopodal nabrzeża kanału, wzdłuż murów miasta biegnącego. Kapitanowi i jego towarzyszom

przypadł w udziale szturm na tę część grodu, ażeby barki tam zacumowane zażegać i tylne wrota zdobyć, co

musiało odwrót odciąć broniącym się wrazym oddziałom. Kiedym dotarł do pana mego, dym z pozostałości

zwęglonych barek snuł się wciąż nad kanałem, zasię na deskach nabrzeża, w ogrodach i okolicznych domostwach łącno dostrzec można było ślady niedawnych walk.

- Inigo - ozwał się kapitan.

Jego zmęczonemu, z lekka nieobecnemu uśmiechowi towarzyszyło spojrzenie, które tak często gości w

oczach żołnierzy po trudnych zmaganiach. Weterani z naszych regimentów nazywali je „ostatni widok”, ja

zaś w toku mego we Flandrii pobytu nauczyłem się odróżniać też spojrzenia innych zgoła gatunków:

zmęczone, zrezygnowane, przerażone czy spojrzenia tuż przed rozpoczęciem rzezi. Ale to spojrzenie

1) Percheles - dzielnica Malagi, znana z barwnego półświatka

2) Riglos - grupa pionowych skał w aragońskiej prowincji Huesca.

pozostaje ci w oczach po tym, jak już zagoszczą w nich wszelkie inne - i takim właśnie powitał mnie teraz

kapitan.

Odpoczywał, siedząc na ławce, łokieć na stole oparłszy, z lewą nogą wyciągniętą, jakby mu dolegała. Na

botach, co mu kolan sięgały, wciąż mnóstwo miał błota, a i jego rozpięty budy kaftan, na ramiona narzucony,

cały był brudny. Pod spodem widziałem dobrze mi znany napierśnik z bawolej skóry.

Kapelusz kapitan położył na stole wedle pistoletu - jak zmiarkowałem, w bitwie użytego - oraz pasa z

rapierem i lewakiem.

- Podejdz, ogrzej sie.

Posluchalem go z duzym ukontentowaniem, zerkajac z ukosa na trupy trzech Niderlandczykow, nieopodal

lezace. Jeden spoczywal na deskach nabrzeza, drugi pod stolem. Trzeci zasia, twarza do ziemi, padl na progu

domu z halabarda w ruku, ktora ni zywota mu nie zdoiala ocalic, ni do innego zadnego celu sie mu nie przydala. Dostrzeglem, ze czlek ow kieszenie mial na nice wywroczone, zwyciezcy odarli go byli juz z pancerza i butow, a u dloni brakowalo mu dwuch palcow - ani chybi komus nadzwyczaj bylo spieszno, by

pierścieni psubrata pozbawic. Struga brudnoczerwonej krwi ciekla zeń skroś ogród aż do miejsca, gdzie

zasiadal kapitan.

- Temu juz nie zimno - rzekl jeden z zolnierzy.

Nie musialem sie doń odwracac, by wiedziec, kto zacz. Silny akcent baskijski zdradzal Mendieta, mego

rodaka, Biskajczyka o brwiach zrosnietych i wielkiej sily, ktorego was niemal rownie sumiasty byl, co zarost

pana mego. Kompanii dopebiali Curro Garrote, malagijczyk z Percheles1), o tak sniadej powierzchni,

ze za Maura moglyby uchodzic, Jose Llop z Majoroki, a takze Sebastian Copons, druh kapitana Alatriste z

wielu dawniejszych kampanii: drobny Aragończyk, suchy i twardy jak sukinsyn, ktorego oblicze zdalo sie

jak wyciosane w kamiennych kolosach Riglos2). W poblizu przechadzala sie reszta druzyny: bracia Olivaresowie i Galicyjczyk Rivas.

Wszystkich ukontentowal wielce widok mej osoby calej i zdrowej, wiedzieli wszak, jak cięzkie zadaniem

dostal do wykonania przy moście zwodzonym, alisci nadmiernej wylewnosci z ich strony tez nie doswiadczylem. Nie pierwszy to raz prochu sie nawachalem podczas tej flamandzkiej awantury, po

wtóre

zaś, takó¿ i oni siła spraw musieli przemyśleć - a zresztą nie z takich byli, którzy fanfary wnoszą na cześć

czynów, do jakich wojaka żołd królewski najzwyczajniej w świecie obliguje. Atoli w naszym wypadku - a

ściślej mówiąc, w ich wypadku, jako że pachołkom nie przysługiwały ni zyski, ni żołd – od dawna oczu

żołnierskich nie cieszył widok choćby ćwierci reala.

Diego Alatryste też nie powitał mnie wylewnie, nadmieniłem już waszmościom, że uśmiechnął się jeno

skąpo, ruszywszy wąsem, jakby inna rzecz myśl jego zaprzętała. Zmiarkowawszy zasię, że kręcę się niczym

pies pocziwina, co przyjaznej pana ręki szuka, pochwalił mój kaftan z czerwonego aksamitu, za czym

poczęstował mnie skibką chleba i kielbaskami, jakie kompani jego piekli właśnie nad ogniskiem, przy

którym jednocześnie sami ciepła zażywali. Nadal odzienie mieli mokre skutkiem całej nocy w kanale

spędzonej, a na ich zatłuszczonych, brudnych i utrudzonych brakiem snu tudzież walką licach malowało się

ogromne znużenie. Byli aliści w wybornych humorach.

Pozostali wśród żywych, wszystko poszło, jak byli sobie umyślili, miasto znów znalazło się w rękach

katolickich i miłościwie panującego nam króla, a łup - sporo worków i tobołów, spiętrzonych w kącie

logrodu - okazał się wcale godziwy.

- Po trzech miesiącach bez żołdu - perorował Curro Garrote, czyszcząc pokrzwawione pierścienie

ściągnięte z ubitego Niderlandczyka - mamy przynajmniej na kwaterę.

Po drugiej stronie miasteczka rozbrzmiały trąbki i bębny. Mgła już się podnosiła, dzięki czemu zdołaliśmy

dostrzec sznur wojska, który nadciągał groblą nad kanałem Ooster.

Długie lance przypominały las trzciny, co zdążyła przez pierzchające mgielne opary, a w ulotnym promieniu

słonecznym, co jak straż przednia pojawił się na czele pochodu, załśniły żelazne groty, moriony i pancerze,

jako też ich odbicia w wodzie kanału. Kolumnę otwierała jazda i chorągwie z dobrze znanym, starym znakiem regimentów hiszpańskich: czerwony krzyż świętego Andrzeja, czyli burgundzki 1).

- To Bardasznurek - ozwał się Garrote.

„Bardasznurek” było przydomkiem, jakim stare wiarusy ochrzciły mości Pedra de la Daga, marszałka polnego Starego Regimentu z Cartageny. W żołnierskiej mowie owych czasów „bardaszyć” znaczyło tyle -

sumituję się tu przed waszmościami - co załatwiać się, czyli srać. Może w niniejszej opowieści brzmi to

grubo, ale, do kroćset, byliśmy żołnierzami, a nie siostrzyczkami od świętego Placyda. W kwestii zasię

sznurka, już mówię: owóż nikt, kto znał zamiłowanie, z jakim nasz marszałek polny wieszał własnych ludzi

za naruszenie dyscypliny, nie mógł nijakich wątpliwości żywić, skąd przewisko się bierze. Zatem, że już

skończę, ów Bardasznurek, szerzej znany pod zacnym nazwiskiem marszałka Pedra de la Daga, co na jedno

1) Czerwony krzyż św. Andrzeja na białym tle był znakiem wojsk hiszpańskich od początku XVI w., kiedy to wzięli

ślub Joanna Szalona z Kastylii i Filip I Piękny z Burgundii (król Hiszpanii Filip IV był ich praprawnikiem).

wychodzi, zmierzał właśnie groblą gwoli objęcia Oudkerk drogą urzędową w posiadanie, a towarzyszyła mu

chorągiew wsparcia pod wodzą kapitana Hernana Torralby.

- Omal południe - wymamrotał Mendieta z niesmakiem. - Kiedy robota już za nami, a jakże.

Diego Alatryste powoli powstał - z wyraźnym trudem, jak zmiarkowałem, snadź dolegała mu noga, którą

trzymał był wyciągniętą. Wiedziałem, że rana to nienowa, licząca już z rok odniesiona w biodro w zaułku w

Madrycie koło placu Mayor. Był to przedostatni raz, kiedy pan mój stanął oko w oko ze swym dawnym

przeciwnikiem, Gualteriem Malatestą. Teraz, gdy wokół wilgoć panowała, odczuwał reumatyczne bóle, a i

noc w wodach Ooster spędzoną trudno uznać za najlepsze po temu lekarstwo.

- Tedy i my się przyjrzyjmy.

Przyglądził sobie wąsy, przypiął rapier i lewak, pistolet za pas wsunął i sięgnął po swój szeroki kapelusz z

wiecznie pomiętym czerwonym piórem. Wreszcie z wolna się ku Mendiocie zwrócił.

- Marszałkowie zawsze przybywają w południe -rzekł, ale po jego jasnych, zimnych oczach nie sposób

było odgadnąć, czy poważnie gada, czy drwi. - Po to właśnie nam pisane wstawać wcześniej.

II. NIDERLANDZKA ZIMA

Mijały tygodnie, miesiące, aż i zima okrutna nastąpiła, a lubo nasz generał, mość Ambrosio Spinola, na

powrót wkładał jarzmo zbuntowanym prowincjom, przecież Flandria wymykała się wciąż, i tak dobrze się

wymykała, aż do cna się nam wymknęła. A gdy mówię „wymykała się wciąż”, to abyście waszmościowie

osobliwe baczenie dali na fakt, że jeno wojskowa machina hiszpańska utrzymywała na coraz słabszej więzi

owe ziemie tak odległe, że kurier z pocztą, konie po drodze zmieniając, trzy tygodnie mitrężył, by do

Madrytu dotrzeć. Od północy Stany Generalne, wspierane przez Francję, Anglię, Wenecję i innych wrogów

naszych, zwierzały buntownicze szyki, umocnione swym kalwińskim kultem, bardziej przydatnym w

interesach tamecznych mieszczan i kupców niżli prawdziwa religia. Ta bowiem, staroświecka

ciemnizielka, nie zdołała uwieść tych, co wolą się układać z Bogiem pochwalającym zarobek i zysk, a

przy tej sposobności i spod dalekiego, surowego jedynowładztwa kastylijskiego się wyzwolić.
Położone od

południa Stany katolickie ze swej strony lojalność nadal zachowywały, aliści i one już nie mogły
zdzierżyć

kosztów wojny, która ostatecznie osiemdziesiąt lat trwać miała, ani rozbojów i krzywd doznawanych
od

wojska, z czasem postrzeganego jako armia zaborcza. Co sprawiało, że powietrze wokół mocno
czyniło się

popsute, a na dodatek jeszcze sama Hiszpania w coraz większym pogrążała się upadku: oto król
pocziwy a

nieporadny, faworyt przemysłny a władzy żądny, niepożyteczna magnateria, sprzedajni urzędnicy i
kler

równie głupi, co fanatyczny - wszyscy oni ciągnęli kraj nasz w otchłań zatracenia, a w tym marszu ku

zagładzie porzucić Koronę chciały Katalonia i Portugalia. Tej ostatniej zresztą zamiar się koniec
końców

powiódł. Byliśmy otumanieni przez własnych królów, magnatów i duchownych, a także przez
religijne i

świeckie interesy, które na śmieszność wystawiały tych, co uczciwie chcą na swój chleb zapracować
- nic

tedy dziwnego, że niejednen Hiszpan wolał szczęścia szukać na bitewnych polach we Flandrii albo w
dzikich

ziemiach Ameryki, wszakże pragnął żyć jak pan, bez konieczności płacenia i ciężkiego harowania.
Oto

czemu warsztaty i pracownie przestały warko pracować, z Hiszpanii odpłynęły ludzkie masy i
bogactwa,

niejednen z nas zasię stał się zrazu zbrojnym awanturnikiem, następnie zebrzącym szlachciurą, by na
koniec

przemienić się w wynędzniałego Sancza Pansę. Tak owóz wyborne dziedzictwo, jakie po dziadach

l swych przejął nasz miłościwy pan, Hiszpania, nad którą słońce nie zachodziło - bo gdy w jednym
zakątku

zachodziło, już oświeślało inny - trzymała się jeszcze jeno na złocie, z Indii galeonami przywożonym,

i na

lancach zaprawionych w boju regimentów, tychże sławetnych lancach, które tak pięknie unieśmiertelnił (za

naszą sprawą) Diego Velazquez niedługo potem.

Lubo więc pogrążyliśmy się w upadku, to przecież jeszcze nie wzgardę budziliśmy, jeno trwozę. Jakże

akuratnie i słusznie brzmią te oto strofy, które winniśmy innym nacjom w twarz rzucić ile sił:

Któż o wojnie tu nadmieniał?

Drży ze strachu cała Ziemia?

Wybaczcie tu, waszmościowie, że na skromności mi nie zbywa i z taką dezynwolturą siebie w tym krajobrazie umieszczam. Musicie wszelako wiedzieć, że po tylu miesiącach kampanii flamandzkiej ów Inigo

Balboa, któregoście poznali przy okazji awantury z dwoma Anglikami i historii z klasztorem, już dawno

młokosem być przestał. Zima roku dwudziestego czwartego, którą Stary Regiment z Cartageny spędził na

leżach w Oudkerk, dopadła mnie w pełnym rozkwicie sił młodzieńczych. Wspominałem wyżej, jako to

prochu jużem się był zdążył do syta nawąchać, a lubo z racji wieku lancy, rapiera ni arkebuza jeszcze

chwycić nie mógł, by do walki stanąć, funkcja pacholka w drużynie, gdzie pospołu z kapitanem Alatryste

służyłem, sprawiła, że i stał się weteranem rozmaitych działań wojennych. Nabrałem iście żołnierskich

1) Lope de Vega, La hermosura de Angelica (Piękna Angelika). Dalszy ciąg tego fragmentu brzmi:

Bo nikt gładysza o zdanie nie pytał,

i Kiedy król wezwał, by precz pognać wrogi.

instynktów, potrafiłem na pół mili zwęszyć podpalony lont arkebuza, po świcie ocenić co do uncji kaliber

każdego pocisku armatniego czy muszkietowego, wykazywałem wreszcie wyborny talent w czynności, którą

my pachołkowie zwaliśmy „zbieraniem spyży”, a więc w myszkowaniu grupami po okolicy, by dREW
i

pożywienia dla żołnierzy i dla nas samych naznosić. Takowa umiejętność okazywała się na wagę złota, gdy -

jak w owym czasie – wojna spustoszyła leżące wokół ziemie, intendentura cierpiała niedostatek i każdy

musiał radzić sobie własnym przemysłem.

Nie zawsze była to bułka z masłem, o czym niechaj świadczy, że pod Amiens Francuzi i Anglicy zabili

osiemdziesięciu myszkujących za spyżą pachołków, wśród których i dwunastoletni byli. Zaiste, nieludzkie to

zachowanie nawet jak na wojnę, pomszczone zresztą później przez Hiszpanów z nawiązką.

Bóg dał, Bóg wziął mą nogę,

Lecz bez niej dalej także walczyć mogę.

Słabo myślą luterańskie bluźnierce,

że nogi mi tną, ostawiając ręce! 1)

Ale, ale. Prawda jest taka, że owej szarej, mętnej, mglistej i dżdżystej zimy zbierałem spyżę, plądrowałem

i staczałem potyczki, zapuszczając się we flamandzką ziemię, zgoła nie tak wyschniętą jak znaczna część

naszego kraju - bo i tutaj nie zasłużyliśmy na uśmiech Pana Boga - ale zieloną jak niwy mego rodzinnego

Ońate, lubo bardziej płaską i rzekami tudzież kanałami wszędy poprzerzynaną. Tak to wykazałem

nadzwyczajną biegłość w podkradaniu kur, wyrywaniu rzep i podtykaniu sztyletu pod szyję równie jak ja

wygłodniałym włościanom miejscowym, by ich nędznej strawy pozbawić. Dokonałem tedy – nie tylko

wówczas, ale i w latach, co nadejść miały - wielu rzeczy, których wspomnienie sromotą mnie napawa. Aliści

przeżyłem zimę, poratowałem mych towarzyszy i zmęźniałem w całym straszliwym znaczeniu tego słowa:

Nim wąs mi się sypnął, jam skrami sypał,

Gdy w dłoni mej błysnął rapier złowrogi...

A tak właśnie napisał był o sobie sam wielki Lope. Postradałem też dziewictwo. Albo winieniem rzec

może: cnotę, jak wysławia się Klecha Perez. Jako że zasię byłem naówczas już na poły mężem i na poły

żołnierzem, bodaj ona jedna pozostała mi jeszcze do stracenia. Aliści to już opowieść sekretna i osobista i

nie zamiaruję jej tu waszmościom szczegółowo referować.

Drużyna Diega Alatryste stanowiła główną siłę chorągwi kapitana mości Carmela Catona, a składała się z

prawdziwej śmietanki wojennego plemienia: ludzi z ikrą, z żelazem obeznanych i zgoła chimer

nieznających, nawykłych do cierpienia i walki, starych weteranów, którzy mieli już w kościach przynajmniej

kampanię w Palatynacie albo służbę regimentarską w Neapolu lub na Sycylii, jak to się miało w przypadku

malagijczyka Curra Garrote. Inni, jak Jose Llop z Majorki czy Biskajczyk Mendieta, już swoje we Flandrii

przewojowali, nim nastał dwunastoletni rozejm, a niektórzy, na przykład Copons z Hueski i sam Alatryste,

mogli pieczętować się udziałem w kampaniach prowadzonych jeszcze za króla Filipa Drugiego, którego

niechże Bóg w opiece swej zachowa, pod jego to bowiem sztandarami obydwaj wiarusi - że Lopego

przywołam - sypali skrami z żelaza, a im tymczasem sypał się wąs. Jedni odchodzili z naszych szeregów,

innych wcielano, tak czy inaczej drużyna liczyła dziesięciu do piętnastu chłopów i nie miała

specjalnych

poruczeń ni zadań krom tego, by szparko się przemieszczać i inne oddziały wzmacniać w zależności od

sytuacji - po temu zasię zbrojna była w pół tuzina arkebuzów i tyleż muszkietów. Dowodzona również była

1w sposób osobliwy, na jej czele nijaki kapral nie stał, pozostawała bowiem do bezpośredniej dyspozycji

kapitana Catona, który już to rzucał ją na linię walki społem z innymi drużynami, już to przeznaczał do

indywidualnych działań, jako to wypadki, zwiady, potyczki i zagony. Jak już nadmieniałem, wszyscy w boju

byli zaprawieni i na rzeczy się znali i snadź z tej właśnie przyczyny, lubo żadnego kaprała czy innego zwierzchnika im nie naznaczono, sami cichą umową najwyższą władzę przyznali Diegowi Alatryste.

Natomiast co się trzech eskudów tyczy, jakie przynależne były dowodzącemu drużyną, te pobierał kapitan

Catón, albowiem on na stanowisku tym figurował w papierach regimentu, co się dodawało do sumy czterdziestu eskudów, jakie otrzymywał w ramach żołdu, z dowodzenia chorągwią wynikającego. Lubo

kapitan należał do ludzi surowych, jak wskazywało jego nazwisko, i jeżeli dyscyplina nie szwankowała, był

w obejściu znośny, przecież jednak ledwie usłyszał brzęk, zaraz krzyczał „moje!”.

Ani jednemu marawedi nie przepuścił, a nawet zabitych i dezertarów nie skreślał z rejestru gwoli przywłaszczenia sobie ich wypłat - o ile nadchodziły. Co zresztą było praktyką nader powszechną i na

obronę mości Catona rzec tu można dwie rzeczy: nigdy nie wzbraniał się wspomóc żołnierza, gdy okoliczności tego wymagały, a dwukrotnie zaproponował Diegowi Alatryste żołd kaprałski, wszelako za

1) Johan Tserklaes de Tilly (1599-1632) - hrabia brabancki, dowodzący wojskami Ligi Katolickiej w Niemczech

podczas wojny trzydziestoletniej.

2) Charles-Bonaventure de Longueval, hr. de Boucquoy (1571-1621) –francuski generał w służbie habsburskiej.

3) Gonzalo Fernandez de Córdoba (1585-1635) - dowódca hiszpański, bohater jednej ze sztuk Lopego de Vegi.

4) Niccoló Macchiavelli, O sztuce wojennej,

każdym razem pan mój przyjęcia awansu odmówił. Catón wielką estymą kapitana Alatryste darzył, co wesprę opowieścią o tym, jak to ledwo cztery lata wcześniej pod Białą Górą, podczas pierwszego nieudanego ataku hrabiego de Tilly1) i drugiego szturmu pod wodzą generała Boucquoy2) i pułkownika mości

Guillerma Verdugo, Alatryste pospołu z kapitanem Catonem - a także z Lopem Balboą, mym ojcem - ramie

w ramię parli w górę zbocza, bijąc się okrutnie o każdą piędź ziemi wśród głazów trupami pokrytych. Rok

zasię później na równinie Fleurus, kiedy to wprowadzie mość Gonzalo de Córdoba3) bitwę wygrał, atoli Stary

Regiment z Cartageny niemal ze szczętem wytrzebiony został, opierając się licznym atakom jazdy, owóż

wtedy to Diego Alatryste był jednym z ostatnich Hiszpanów, co nieustraszenie bronili sztandaru, dzierżonego

przez samego kapitana Catona, albowiem i chorąży, i inni oficerowie paść w boju zdążyli. W tamtych czasach takie rzeczy, do diaska, coś jeszcze dla prawych ludzi znaczyły.

We Flandrii padało. I klnę się na Boga, że lało jak z cebra całą tę przeklętą jesień, a potem także całą przeklętą zimę, i wkrótce jednym wielkim grzęzawiskiem stała się owa błotnista, niepewna równina, którą

wszędę przerzynały rzeki, kanały i groble, rzekłbyś - ręką biesa wytyczone. Padało dnie całe, całe tygodnie i

miesiące, aż do cna przesiąkł wodą cały szary krajobraz pod niskimi chmurami: obca ziemia, gdzie mowa

dziwna, ludzie zarazem nienawistni i bojaźń przed nami żywiący, nizina zborykana przed podłą pogodę i

wojnę, pozbawiona nawet jakiegokolwiek osłony przed chłodem, wichrami i wodą. Nie uświadczyłbyś tu ni

brzoskwiń, ni fig, ni śliwek, ni pieprzu, ni szafranu, ni oliwek, ni oliwy, ni pomarańczy, ni rozmarynu, ni

sosen, ni wawrzynu, ni cyprysów wreszcie.

A i w miejsce słońca na niebie jawił się blady krążek, co leniwie sunął za gęstą zasłoną z chmur. Miejsce,

skąd przybyli nasi mężowie w stal i skóry odziani, leżało szmat drogi stamtąd, i tylko w duchu śnić o nim

można było, przemierzając tę niegościnną krainę - tak daleko, jakoby na świata krańcu. Zawzięci i butni

żołnierze, co wiele stuleci po upadku cesarstwa rzymskiego rewizytę właśnie składali na północy, sami czuli,

jak mało ich i jak długa droga dzieli ich od najbliższej przyjaznej okolicy. Już Makiawel 4) pisał wszak, że

walor naszej piechoty z czystej konieczności się bierze, i musiał tu florentyńczyk przyznać (na przekór

własnym humorom, iż nigdy Hiszpanów nie mógł ścierpieć): walczą oni bowiem w obcych krajach, gdzie

nie mają innego wyboru, jak tylko zwycięstwo lub śmierć; wiedzą przecież doskonale, że cofać się nie mają

gdzie, stąd nic dziwnego, że stali się dzielnymi żołnierzami¹. Jeżeli o Flandrii mowa, wszystko to akuratnie

się zgadza: liczba naszych nigdy nie przekroczyła tam 20 tysięcy i nigdy nie było nas więcej jak 8 tysięcy

naraz. Atoli wystarczyła i ta skromna liczba, byśmy przez półtora stulecia byli panami Europy: wszak

wiedzieliśmy, że wiktoria jeno przeżyć nam pozwoli wśród obcych plemion i że żadne miejsce nie jest

wystarczająco blisko, byśmy tam salwować się ucieczką mieli, jeśli by nas pokonano. Dlatego to właśnie

biliśmy się aż do końca z prastarą zawziętością, z odwagą kogoś, kto na nic nie liczy, z żarliwością religijną

i z zuchwałością, którą jeden z naszych kapitanów, mość Diego de Acuña, z największym mistrzostwem

oddał w swym sławetnym, namiętym i posępnym toaście:

Za Hiszpanię - kto jej broni,

Śmierć mu piękny tren wydzwoni;

Kto zaś sprzeda ją zdradziecko,

Temu nawet własne dziecko

Oczu niech nie zamknie ani

1 Krzyża w dłonie niech nie włoży,

Niech odejdzie gdzie w otchłanie,

A nie w grób pod znakiem Bożym. 1)

Padało, jak już waszmościom wspominałem, jakby się w niebiosach cysterna oberwała, także owego

poranka, kiedy kapitan Catón do naszych wysuniętych głęboko oddziałów z inspekcją przybył.

Kapitan

pochodził z Bierzo w ziemi leońskiej, mężem był roslym, sześć stóp wzrostu mierzącym, a chcąc uniknąć

niedogodności z grząskiego terenu wynikłych, zdobył skądś holenderskiego konia pociągowego, zwierzę

stosowne do postury jeźdźca, krzepkie a postawne. Diego Alatryste stał wedle okna, o parapet oparty,

wpatrując się w strumienie wody bijące o grube, zamglone szyby, kiedy ujrzał dowódcę, jak wierzchem

zbliżał się po szczycie grobli, w oklapniętym od deszczu kapeluszu na głowie i w woskowanym płaszczu na

ramionach.

- Zagrzej wina - ozwał się do niewiasty, co za jego plecami stała.

Powiedział to w swym ubogim flamandzkim – brzmiało to: verwarm wijn - i jął dalej przez okno

popatrywać, niewiasta zasię już nędzny ogień torfem rozniecała w piecyku i sięgała po cynowy dzban, który

na stole stał wśród kawałków chleba i resztek ugotowanej kapusty, dojadanych przez Coponsa, Mendię i

pozostałych wiarusów. Wszędy brud znać o sobie dawał, ściany i powała osmalone były sadzą z piecyka, a

woń ciał w domu zebranych, przemieszana z wilgocią sącząca się skroś dachówki i belki, mogłeś kroić

sztyletem bądź rapierem, jakich pełno tu było, nie wspominając o arkebuzach, napierśnikach z kurdybanu

1) Eduardo Marquina, En Flandes se ha puesto el sol (We Flandrii już zapadł zmierzch)

tudzież wszelkiej innej odzieży i dawno niechędożonej bielizny. Zalatywało kazerną, zimą i ubóstwem.

Zalatywało Flandrią i wojskiem.

Szarawe światło z dworu podkreślało szramy i zmarszczki na nieogolonym, wąsatym obliczu Diega

Alatriste i przydawało jasnemu wejrzeniu jego jeszcze większego chłodu. Stał w samej koszuli, kaftan miał

jeno na ramiona narzucony, a dwa lonty arkebuza pod kolanami zawiązane przytrzymywały mu cholewy

połatanych butów ze skóry. Spod okna się nie ruszając, patrzył, jak kapitan Catón zsiadł z konia przed

domostwem, popchnął drzwi i chwilę później stanął już wewnątrz, wodę z kapelusza i płaszcz strząsając,

złorzeczając pod nosem w żywe kamienie, przeklinając wodę, błoto i całą Flandrię.

- Jedzcie dalej, waszmościowie - rzekł - skoro już macie co.

Żołnierze, którzy gotowali się powstać, powrócili do skromnego jadła, Catón zasię, którego ubranie jęło

parować, ledwie do piecyka się zbliżył, bez zbędnych korowodów przyjął od Mendiety skibkę czerstwego

chleba i miskę z odrobiną kapusty. Za czym zmierzył wzrokiem niewiastę, co mu dzban z winem podawała,

objął palcami naczynie, ażeby palce trochę ogrzać, i upił nieco trunku, z żołnierza przy oknie stojącego oka

nie spuszczać.

- Na Boga, kapitanie Alatryste - ozwał się po chwili - nieźleście się tu waszmościowie urządzili.

Osobliwie było słyszeć, jak kapitan chorągwi tytułuje „kapitanem” Diega Alatryste. Co wszelako dowodzi,

że ten ostatni wraz ze swym przydomkiem znany był powszechnie i darzony szacunkiem także przez przełożonych. Carmelo Catón w każdym razie powiedział to, chciwie spoglądając na niewiastę, Flamandkę

trzydzieści kilka wiosen liczącą, płowowłosą jak niemal wszystkie niewiasty w owym kraju.

Nienadzwyczajną mogła chlubić się nadobnością, dłonie jej czerwone były skutkiem ciężkiej pracy, a zęby

niezbyt równe. Aliści skórę miała białą, fartuch okrywał nader szerokie biodra, a sznurki gorsetu ciasno

opinały obfite piersi - takie to niewiasty malował w owej epoce Peter Paul Rubens. Jawiła się przeto niczym

zdrowa gęś, widok nierzadki u włościanek flamandzkich, gdy jeszcze w pełnej gotowości żywotnej pozostają. I nie tylko kapitan Catón, ale i najdurniejszy rekrut łącznie mogli odgadnąć ze sposobu, w jaki ona i

Diego Alatryste ignorowali się wśród ludzi, że wszystko to dziać się musiało ku wielkiemu utrapieniu jej męża,

pięćdziesięcioletniego Flamanda o cierpkim wejrzeniu, który dwoił się i troił, byle tylko usłużyć godnie tym

śniadym, straszonym cudzoziemcom, z całego serca mu nienawistnym, a zrządzeniem gorzkiego losu skierowanym do jego domostwa na zakwaterowanie. Męża, który mógł jeno rozjuszenie własne i rozpacz

przełykać każdej nocy, kiedy małżonka wysuwała się bezszelestnie od jego boku, po chwili zasię dochodziły

go jej jęki głuche, z wielkim trudem hamowane, a wtórowało im skrzypienie siennika z kukurydzianego

listowia, gdzie sypiał Alatryste. Czemu tak się działo, pozostanie zapewne tajemnicą prywatnego życia tego

stadła. W każdym razie Flamandowi sytuację całą wetowano we w miarę godziwy sposób: dom jego i

obejście pozostawały bezpieczne, czego nie można powiedzieć o wszystkich miejscach, gdzie kwaterowali

Hiszpanie. Zgoda, człek ów nosił poroże, atoli żonie jego przyszło obcować z jednym wojakiem, i do tego

zgoła dwornym, a nie z całą zgrają i pod przymusem. Wiecie, waszmościowie, we Flandrii jako i na każdej

wojnie, kto utyskiwał, temu ciężko było: w końcu największym przywilejem było wśród żywych pozostawać.

Żywym snadź był i nasz pechowy małżonek.

- Rozkazy przywożę - powiedział oficer. - Wypad traktem na Geertruidenberg. Bez nazbyt gorliwego mordowania... Języka trzeba złapać.

- Ilu brać? - zagadnął Alatryste.

- Przyda się ze dwóch, trzech. Jak można wnosić, nasz generał Spinola podejrzewa, że Niderlandczycy

szykują odsiecz dla Bredy na łodziach, korzystając z coraz wyższego stanu wód z racji deszczu... Byłoby

dobrze, gdyby nasi zapuścili się na jaką milę w tamtą stronę i potwierdzili te supozycje. A wszystko cichaczem, bez rozgłosu. Pełna dyskrecja.

Cichaczem czy przy głośnych fanfarach, wędrówka całą milę błotnistym traktem w tej ulewie nie była fraszką – nikt wszakże ze zgromadzonych w izbie mężczyzn nie okazał zdziwienia. Wszyscy wiedzieli, że

ten sam deszcz zatrzymał Niderlandczyków w ich kazernach i okopach i że każdy chrapałby tam w najlepsze, choćby cały oddział Hiszpanów prześliznął mu się koło nosa.

Diego Alatryste przyglądał wąsy dwoma palcami.

- Kiedy ruszamy?

- Już.

- Jaką siłą?

- Cała drużyna.

Znad stołu dobiegło czyjeś bluźnierstwo, tedy roziskrzone oczy kapitana Catona natychmiast zerknęły w stronę siedzących.

Wszyscy wszelako łby mieli spuszczone. Alatryste rozpoznał głos Curra Garrote, któremu zaraz posłał wymowne spojrzenie.

- Może - ozwał się z wolna kapitan Catón – któryś z waszmościów panów żołnierzy ma na ten temat coś do powiedzenia?

Odstawił gar niedopitego grzańca na blat i wsparł dłoń na rękojeści rapiera. Spod wąsa wyrzały mu wielce

nieprzyjemne, żółtawe i mocne zęby. Dowódca przypominał psa myśliwskiego, gotowego do ataku.

- Nikt nie ma nic do powiedzenia - odparł Alatryste.

- To i lepiej.

Garrote uniósł głowę, rozeźlony owym „nikt”. Był to chudy i smagły fanfaron, o zaroście skąpym i kędzierzawym na podobieństwo Turczynów, przeciw którym wojował na galerach neapolitańskich i sycylijskich. Włosy miał długie i przetłuszczone, złoty kolczyk w lewym uchu, w prawym zasię

go - jak powiadał - bisurmański handzar połowy narządu tego pozbawił nieopodal Cypru. Aliści inni skłonni

byli raczej wytłumaczenia szukać w sprzeczce, do jakiej w Raguzie doszło w pewnym lupanarze.

- A ja, owszem - ozwał się - trzy rzeczy chciałem rzec do mości kapitana Catona... Po pierwsze, syn

matki nie zważa, czy mu maszerować przyjdzie dwie mile wśród deszczu, wśród Niderlandczyków,

Turczynów

czy innego kurewskiego pomiotu...

Mowa jego brzmiała twardo a dumnie, nawet szorstko.

Kompani jego popatrywali nań wyczekująco, niektórzy z widocznym przyzwoleniem. Weterani jeden w

drugiego, do dyscypliny wojskowej byli aż nadto nawykli, atoli i zuchwałość nie była im obca -
snadź

działania zbrojne z każdego szlachcica czyniły. O dyscyplinie, z jakiej słynęły stare regimenty,
pochlebnie

wyrażał się także ów Anglik, niejaki Gascoigne 1 , gdy w Furii hiszpańskiej, to jest relacji o
zdobyciu

Antwerpii, pisał:

Walonowie i Niemcy okazują niesubordynację równie wielką, co podziw, jaki wzbudzają z kolei

Hiszpanie swoją dyscypliną.

Zważcie, że mówi to Anglik o Hiszpanach, zatem coś musi być na rzeczy. Co zaś się arogancji tyczy,

stosownym zdaje się wspomnieć tu opinię mości Francisca de Valdez, wprzód kapitana, potem
sierżanta-

majora i wreszcie marszałka polnego, co też swoje wiedział, gdy w swym Zwierciadle dyscypliny
wojskowej

pisał, że: Najczęściej odrazę czują, gdy rozkazom mają się podporządkować. Osobliwie piechota
hiszpańska,

o kompleksji bardziej cholerycznej niżli inne nacje z uwagi na klimat, niewielką cierpliwość
posiada. W

przeciwieństwie bowiem do powolnych i flegmatycznych Flamandów, co to nigdy nie kłamali, w
złość nie

wpadali i wszystko czynili nader spokojnie - lubo z drugiej strony tak niezmiernie skąpy to naród, że
ich

zegary pewnie za darmo czasu nie podadzą - Hiszpanie zawsze pewni byli swej odwagi i
czekającego

niebezpieczeństwa, to zasie sprawiało, że w opresji jak za dotknięciem różdżki stawali się wzorcem żelaznej

dyscypliny i waleczności, a jednocześnie z dala od pola bitwy bynajmniej subtelną mową nie szafowali

wobec przełożonych. Ci ostatni przeto woleli podchodzić do nich nader ostrożnie i dyplomatycznie. Nie

należało do rzadkości, lubo groziła za to śmierć przez powieszenie, że prosty żołnierz szlachtował nożem

sierzanta albo i kapitana z zemsty za prawdziwe lub urojone szkody, hańbiące kary względnie złe słowo.

Świadom tego wszystkiego Catón zwrócił się ku Diegowi Alatryste, jakby chciał mu spojrzeniem pytanie

zadać, napotkał atoli jeno niewzruszone oblicze. Alatryste uważał bowiem, że każdy powinien sam brać

odpowiedzialność za to, co mówi i robi.

Marszałek polny Francisco de Valdez poznał problem braku dyscypliny na własnej skórze:

w listopadzie 1574 r. we Flandrii został uwięziony przez swoich podkomendnych za to, że zakazał łupiestwa wśród ludności kraju sojuszniczego.

- Wasza miłość wspominałeś o trzech rzeczach... - powiedział Catón ze stężałą miną i złowróżbnym spokojem.

- Jakież są dwie pozostałe?

- Od dawna nie fasują nam ubrań, chodzimy w łachmanach - ciągnął niewzruszony malagijczyk. - Nie docierają dostawy prowiantu, a że zakazano nam łupienia, to i głód w oczy zagłada... Te szczwane flamandzkie lisy skrywają najlepsze smakołyki, a jeśli nawet nie, to cenią je sobie na wagę złota - tu z urazą

wskazał na gospodarza, który przypatrywał im się z drugiej izby. - Jestem pewien, że gdyby go połaskotać

sztyletem, ten pies otworzyłby grzecznie spiżarnię albo znalazłby zakopany słoń pełen zacnych florenów.

Kapitan Catón słuchał tego cierpliwie i z pozornym spokojem, atoli dłoni z rękojeści rapiera nie zdejmował.

- A trzecia sprawa...?

Tu Garrote uniósł nieco głos. W sam raz tyle, by szczyptę buty dodać, nie posuwając się wszakże za daleko. Dobrze miarkował, że i Catón nie zdierży zbyt donośnych słów, czy to wypowiedzianych przez

któregoś z weteranów, czy przez samego papieża. Co najwyżej przez króla, ale cóż z tego.

- Trzecia i najważniejsza, panie kapitanie, to że ci tutaj panowie żołnierze, jakieś ich słusznie i trafnie nazwać raczył, od pięciu miesięcy nie dostają żołdu.

1 George Gascoigne (1534-1577) - poeta i pisarz angielski, przez kilka lat walczył w Niderlandach pod rozkazami

Wilhelma Orańskiego.

Tym razem zgodny pomruk obiegł stół dookoła. Śród siedzących jeno Aragończyk Copons milczenie zachował, wpatrując się w trzymany w dłoniach ułomek chleba, który zapamiętale kruszył palcami do miski

i zjadał kawałek po kawałku.

Kapitan na powrót się ku Diegowi Alatryste zwrócił, nadal pod oknem stojącemu. Ten wytrzymał jego

spojrzenie, ust wszelako nie otworzył.

- Podtrzymujesz to waszmość? - spytał Catón ponuro.

Alatryste z kamienną miną wzruszył ramionami.

- Ja podtrzymać mogę to jeno, co sam powiem - sprecyzował. - Czasem też mogę podtrzymać to, co moi

kompani czynią... Na razie atoli ni ja niczemu nie powiedział, ni oni niczego nie zrobili.

- Ależ ten tu pan żołnierz uraczył nas swoją opinią.

- Opinie każdy ma na własną rachubę.

- I dlatego tak waszmość milczysz i patrzysz jeno na mnie, panie Alatryste?

- Dlatego milczę i patrzę na pana, kapitanie.

Catón zlustrował go badawczo i skinął z wolną głową. Zнали się na wylot, poza tym oficer umiał po rozsądek sięgnąć i odróżniał jeszcze słowa stanowcze od obelżywych. Po chwili przeto dłoń z rapiera zdjął i

poskrobał się w podbródek, za czym spojrzeniem o zebranych potoczył, kładąc rękę ponownie na broni u

pasa.

- Nikt żołdu jeszcze nie dostał - odrzekł wreszcie, kierując się ku Diegowi Alatryste, jakby to on, nie

Garrote, z pretensją się zwracał i odpowiedzi oczekiwał. - Ni waszmościowie, ni ja sam. Ni nasz marszałek

polny, ni nawet sam generał Spinola!... A zważcie, że mość Ambrosio to genueńczyk i z bankierskiej rodziny

pochodzi!

Diego Alatryste słuchał tych słów w milczeniu, wbił jeno jasne oczy w mówiącego. Catón nie służył był we

Flandrii przed dwunastoletnim rozejmem, Alatryste zaś tak. Podówczas rokosze na porządku dziennym

stały. Obydwaj wiedzieli świetnie, że mój pan niejedną bunt w życiu widział, gdy wojsko odmawiało pójścia

do walki, ponieważ całe miesiące i lata musiało się bez wypłaty obyć. Sam wszelako nigdy dotąd nie znalazł

się w grupie buntowników, nawet wtedy, gdy ciężki stan kasy państwowej uczynił z rokoszu jedyną drogę,

jaką oddziały mogły zaległe należności uzyskać. W przeciwnym razie pozostawało tylko złupienie wrażego

grodu, jak w przypadku Rzymu i Antwerpii:

Głód dokucza podczas wojny,

Lecz gdy skarżę się na nędzę,

Wnet mi pokazują twierdzę;

Siła w niej Flamandów zbrojnych.1

Wszelako w czas tej kampanii - wyjąwszy miejsca szturmem zdobyte w pełnym ogniu walki - generał

Spinola nakłaniał wojsko, by nie stosowało przemocy wobec ludności cywilnej, a to, by i tak wątlej
nici

sympatii nie nadszarpnąć.

Jeżeliby Breda miała kiedyś paść, nie zostałaby złupiona, trud zasię tych, co ją oblegali, nie
znalazłby

zadośćuczynienia. Kiedy więc groziła ponura perspektywa, że ni łupu, ni wypłaty nie będzie,
żołnierze

zaczynali marsowe spojrzenia rzucać i szemrać po kątach. I największy baran potrafiłby spostrzec, że
coś się

święci.

- Poza tym, o ile wiem - dodał Catón - tylko wojsko innych nacji domaga się żołdu przed walką.

To także była trafna uwaga. Gdy sakiewka była pusta, pozostawało jeszcze dobre imię, a trzeba
pamiętać,

że regimenty hiszpańskie za punkt honoru poczytywały sobie, by nie domagać się zaległych wypłat ni
buntu

nie podnosić przed bitwą, inaczej mógłby kto podejrzewać, że czynią tak ze strachu przed walką.
Nawet na

wydmach Nieuwpoort i pod Aalst zbuntowane już oddziały rokosz zawiesiły, gdy czas bitwy

nastał. Czym różniliśmy się od Szwajcarów, Włochów, Anglików i Niemców, którzy nierzadko
wypłatą

spóźnionych pieniędzy warunkowali pójście w ogień walki. Hiszpanie zawsze rokosz wzniecali po
zwycięstwie.

- Sądziłem - wycedził Catón, że mam do czynienia z Hiszpanami, a nie z Germanami.

Przytyk swoje zdziałał, wojacy poruszyli się niespokojnie na siedziskach, i tylko słyhać było, jak
Garrote

mruczy „przebóg”, jakby to jego matkę wezwano na świadka. W przejrzystych oczach Diega Alatryste

zamajaczył uśmiech, albowiem słowa oficera podziały jak oliwa na wzburzone fale: przy stole nie padło

już ani jedno zdanie sprzeciwu, a i sam kapitan, wyraźnie rozluźniony, odwzajemniał uśmiech Diega Alatryste. Dwa łyse konie.

- Waszmościowie ruszacie natychmiast - powtórzył dobitnie Catón.

Alatryste znów przesunął dwoma palcami wzdłuż wąsów, po czym popatrzył na swych towarzyszy.

- Słyszeliście, co powiedział pan kapitan - rzekł.

1 Lope de Vega, Don Juan de Austria en Flandes (Mość Juan Habsburg we Flandrii).

Tamci jęli się podnosić, Garrote z wielkim ociąganiem, pozostali z rezygnacją. Sebastian Copons, drobny,

chudy, węzłasty i twardy niczym winorośl, już od dłuższej chwili stał i pakował swój dobytek, nie czekając

na niczyj rozkaz. Rzekłbyś: ani zaległy żołd, ani wszelkie inne wypłaty, ani nawet skarbiec perskiego króla

nie zdołałyby go z pantałyku zbić.

Był fatalistą jak Maurowie, którym jego wojowniczy przodkowie kilka wieków wstecz gardziele podrzynali. Diego Alatryste patrzył, jak tamten wkłada kapelusz i płaszcz i wychodzi na dwór, by powiadomić o nowinach resztę drużyny, rozłokowaną w sąsiednim przysiółku. Obydwaj przewojowali już

wiele kampanii, od Ostendy po Fleurus i teraz znów pod Bredą, ale przez te wszystkie lata Aragończyk

wypowiedział może w sumie ze trzydzieści słów.

- Do kroćset, byłbym zapomniat - wykrzyknął Catón.

Jeszcze raz ucapił dzban i dopijał duszkiem wino, spozierając na Flamandkę, która ze stołu właśnie jęła

sprzątać. Ust od naczynia nie odrywając, sięgnął za pazuchę, wydobyl list i wręczył go Diegowi Alatryste.

- Będzie z tydzień, jak do waszmości przyszło.

Kropłe deszczu rozmyły nieco adres na zalakowanym papierze. Alatryste szybko zerknął na słowa wypisane na odwrocie:

Od mości Francisca de Quevedo y Villegas, gospoda Bardiza, w Madrycie.

Niewiasta, przechodząc, musnęła go jedną ze swych bujnych, jędrnych piersi. Żelazo szczękało, do pochew wsuwane, lśniła nasmarowana skóra. Alatryste chwycił swój napierśnik z bawolej skóry i zapiął go

niespiesznie, za czym sięgnął po pendent z rapierem i lewakiem. Ulewa dalej bębniła o szyby.

- Co najmniej dwóch jeńców - podkreślił Catón.

Żołnierze byli już gotowi. Spod kapeluszy i fałdów mocno pocerowanych i byle jak połatanych płaszczy

wyglądały wąsiska i brody. Broń naszykowali jeno lekką, sposobną do wyznaczonych im zadań, żadnych

muszkietów, lanc czy innych ciężarów, jeno sama prosta i zacna stal toledańska, sahaguńska, mediolańska i

biskajska: rapiery i sztylety. Tu i ówdzie kolba pistoletu wystawała spod ubrania, aczkolwiek broń palna

przydatną być nie mogła z racji przemokłego od deszczu prochu. Jeszcze kilka skibek chleba, parę sznurów,

by było czym Niderlandczyków skrępować. I te puste, obojętne spojrzenia żołnierzy kolejny raz

sposobiących się, by stawić czoło niepewnemu losowi, nim wreszcie kiedyś do kraju swego powrócą, cali

szramami pokryci, i ni spocząć gdzie nie będą mieli, ni wina się napić, ni drew, by strawę przyrządzić.

Oczywiście o ile nie uzyskają wcześniej - w żołnierskiej gwarze takich nazywano „ziemianami” - siedmiu

piędzi ziemi flamandzkiej na wieczne odpoczywanie i wieczną do Hiszpanii tęsknotę.

Catón wino dopił, Alatryste go do drzwi odprowadził i oficer odjechał, więcej ozora nie strzegąc. Patrzyli,

jak odjeżdża groblą na grzbiecie swej chabety, mijając wracającego do chaty Sebastiana Coponsa.

Alatriste czuł wbite w siebie spojrzenie gospodyni, ale go nie odwzajemnił. Nie tłumacząc, zali na kilka

godzin, czy też na zawsze odchodzą, pchnął drzwi i wyszedł na deszcz, czując, jak woda wsiąka mu w

popękane podeszwy. Wilgoć przenikała go aż do szpiku kości, powracał ból dawnych ran. Kapitan westchnął

z cicha i ruszył przed siebie, słysząc za sobą, jak kompani jego również człapią w błocie. Szli w kierunku

grobli, gdzie oczekiwał ich przemoczony Copons, nieruchomy niczym drobny, twardy posąg.

- Przesrane życie - powiedział ktoś.

Nie rzekłszy ni słowa więcej, ze zwieszonymi głowami, owinięci w mokre płaszcze, Hiszpanie zapuścili

się gęsiego w szary flamandzki krajobraz.

Od mości Francisca de Quevedo y Villegas

do mości Diega Alatriste y Tenorio

Stary Regiment z Cartageny * Poczta wojskowa we Flandrii

!Nadzieję żywię, drogi kapitanie, że niniejszy list zastanie Was całego i zdrowego. Co się mej osoby tyczy,

piszę do waszmości rychło po tym, jakem był z napadu złych humorów wyszedł, które wiele tygodni w

cierpieniu mnie trzymały i wysokich gorączkach. Bogu dzięki, jestem już zdrów, mogę przeto posłać waszmości wyrazy mego wielce serdecznego afektu.

Jak mniemam, jesteś waszmość zatrudniony pod Bredą, o której to ekspedycji na Dworze plotki z ust do

ust wędrują, jako że siła od niej zależy: zarówno przyszłość naszej monarchii, jak i naszej katolickiej wiary, a

także dlatego, że - jak powiadają- wyposażona i uruchomiona w tym zamiarze machina wojenna nie ma

równych sobie od czasów, kiedy to Juliusz Cezar Aleję oblegał. Jak się tu przypuszcza, dla

Niderlandczyków nadziei nie ma i twierdza winna wpaść wam w ręce niczym dojrzały owoc. Atoli niektórzy

szepeczą, że mość Ambrosio Spinola nader flegmatycznie do dzieła się zabiera i że ów dojrzały owoc, jeśli w

odpowiednim czasie nie zostanie zjedzony, może zrobaczywieć. Niezależnie od wszystkiego wiem, że

odwagi nigdy waszmości nie brakowało, życzę ci przeto szczęścia w boju, w okopach, wykopach i

1) Francisco de Quevedo, A un juez mercaderia (Na przekupnego sędziego).

2) Po bitwie pod Lepanto w 1571 r. Miguel de Cervantes władał tylko lewą ręką.

podkopach i we wszelakich innych szatańskich wynalazkach, od jakich roi się aż w waszmościnej wielce

hałaśliwej profesji.

Pewnego razum był usłyszał, jak WM mówi, że wojna to czyste rzemiosło, i pojąłem cię aż nadto dobrze -

bywa, że trudnomi odmówić waszmości zupełnej racji. Tu w Mieście Stołecznym wróg nie nosi napierśnika

ni hełmu, lecz togę, sutannę lub jedwabny kaftan, a jeśli atakuje, to nigdy wprost, zawsze z ukrycia. W tej

materii musisz waszmość wiedzieć, że wszystko przebiega po staremu, jeno gorzej. Jeszcze pokładam ufność

w hrabim-diuku, lękam się aliści, że i to nie pomoże. Nam Hiszpanom rychlej łez zabraknie mili powodów

do płaczu, albowiem próżny to wysiłek ślepemu ofiarować lampę, głuchemu słowa, idiocie naukę, a

monarsze prawość. Ci, co zwykle, nadal tutaj sytości zażywają, nasz możny pan o jasnej czuprynie nadal do

każdej rozgrywki przystępuje z waletem, damą i królem w rękawie, a kto uczciwy, gwałt samemu sobie bez

ustanku zadawać musi. Jeśli o mnie pytasz, ugrzęzłem na amen w całą wieczność trwającej sprawie o Wieżę

Jana Opata i toczę boje dzień w dzień z tą przekupną i pożałowania godną sprawiedliwością, którą

raczył nas

Bóg obdarzyć, widząc, że piekło pełne już jest wynaturzeń. I śpieszę zapewnić cię, kapitanie, że
nigdy

dotąd takiego szelmy nie napotkał, jaki urzęduje na placu Providencia i na ten właśnie temat pozwól,
że

uraczę cię sonetem, którym natchnęły mnie ostatnie moje mitręgi:

Przez ciebie gmach sprawiedliwości runął,

Boś sprzedał prawa, wieprzu, miał ich użyć;

Mieszek miły ci, paragraf cię nuży;

Nad Jazona przedkładasz Złote Runo.

Kram, nie ława, twą winien być trybuną,

Prawego człeka słowo tve oburzy,

Bo waga twa Mamonie łacniej służy,

Śród łkań ty zacząć cieszysz się fortuną.

Kto wręcza wkupne, tego nazwiesz bratem.

Do biednego po radę się nie udasz;

Gdzie ja kodeks, tam ty widzisz opłatę,

Wyrok wydając, okiem chytrze mrugasz.

Tedy idź umyć ręce wraz z Piłatem

Lub trzosik weź i powieś się jak Judasz.1)

Nadal jeszcze pominąć poezję i doczesną sprawiedliwość, wszystko idzie jak najlepiej. Na Dworze
gwiazda twego druha Quevedy pnie się w górę, na co wyrzekać nie mogę, na nowo poważaną jestem
osobą

na pokojach u hrabiego-diuka i w samym Pałacu, czego przyczyny upatrywać trzeba zapewne w tym,
że

ostatnimi czasy mowę mą na postronku trzymam, a i za rapier tak łącno nie chwytam, choć jak zwykle

świerzbi mnie i język, i dłoń. Życ atoli trzeba, a jako że zaznałem już i banicji, i procesów, i turmy, i grabieży majątku, nie poczytam sobie za hańbę drobnego rozejmu, który co nieco Ostatecznie Quevedo w inwokacji zamiast „wieprza” użył imienia „Botino” mą fortunę skromną ochroni. Przeto każdego dnia powtarzam sobie, że królom i możnym panom dzięki zanosić należy, lubo i nie byłoby za co, nie zasię skargi, lubo i za co łatwo by się znalazło.

Piszę waszmości, że rapier schowany trzymam, a zgoła nie całą prawdę ci przy tym mówię. Owóż kilka

dni temu obnażyłem mą toledańską klingę, by płazem zdzielić, jak sługę jakiego albo człeka nikczemnego

urodzenia, pewnego poecię, padalca i nędznika, nazwiskiem Garciposadas, który swą haniebną twórczością

śmiał znieważyc nieszczęsnego Cervantesa, Panie świeć nad jego duszą, utrzymując, że ów Don Kichota

napisał lewą ręką 2) i że księga to próżna, wszelakiej substancji pozbawiona, proza licha i źle ułożona, i że

skoro siła ludzi to czyta, snadź jest to książka prostacka, z której pożytek znikomy i niczego nazajutrz już z

Iniej nie pamiętasz. Ów gównopis to oczywista nierozłączny druh tego samcołożnika Gongory, co wszystko

tłumaczy. Pewnego tedy wieczoru, gdym bardziej gotów był wina zacnego niżli winy szukać, natknąłem się

na łajdaka u wnijscia do gospody Longinosa, sławnej busoli kultystów, ostoji migotów, trykliniów,

purpurancji i odmętów cienistego władztwa Posejdonowego 1), a wraz z nim na dwóch jego kamratów,

kultystów domokrażnych, co dzban za nim noszą: na bakałarza Echevarrię i licencjata Ernesta Ayalę -

dwóch łachudrów, co żółcią sikają i utrzymują, jakoby prawdziwa poezja pisana była żargonem, a raczej

żargongoryzmem, że zrozumieć ją mogą jeno wybrańcy, to jest oni sami i im podobni, sami zasię czas

marnotrawią, szkalując idee, które pod naszymi piórami się lęgną, bo snadź nie potrafią czternastu wersów w

jeden sonet sklecić. Owóz szedłem ja tam wraz z diukiem de Medinaceli i kilkoma jeszcze kawalerami,

wszyscy w maskach, wszyscy przynależni do konfraterni San Martin de Valdeiglesias²⁾, i rychło ostrośmy

uszu natarli tym huncwotom (nawet pół rany żadnemu nie zadając), aż wreszcie nadeszli pachółkowie porządek zaprowadzić, tedy my się oddaliliśmy - i koniec pieśni.

1) Quevedo parodiuje tu styl Gongory.

2) San Martin de Valdeiglesias - jedno z ulubionych win Quevedy.

A właśnie, wspominając o szelmach, taką mam nowinę o waszmościny wielbicielu Luisie de Alquezar,

że imć pan sekretarz królewski coraz większe względy na Dworze zdobywa, że coraz poważniejsze sprawy

państwowe w swą pieczę otrzymuje i że, jako i wszyscy inni w tym światku, bardzo szybko zbija niemałą

fortunę. Jak wiesz waszmość, ma on jeszcze siostrzenicę, dziewczkę wielkiej nadobności, która jest dworką

naszej Królowej.

Wracając do jej wuja, masz szczęście, żeś szmat drogi stąd. Po powrocie z Flandrii atoli miej się na baczności. Nigdy nie wiadomo, jak daleko jadem swym gadzina pluć potrafi.

A skoro już o gadzinach mowa, muszę WM donieść, że kilka tygodni temu napotkałem bodaj owego

Włocha, z którym łączą cię chyba zaległe porachunki. Zdarzyło się to przed oberżą Luda, przy Cava Baja, i

jeżeli to on był we własnej osobie, zdał mi się w zacnym zdrowiu, z czego wnoszę, że po ostatnich waszmości z nim dysputach całkiem już wydobrzał. Popatrzył na mnie przez chwilę, jakby mnie rozpoznawał, za czym poszedł swoją drogą.

Tak przy okazji, to podejrzany typ, w żałobnych barwach od stóp do głów, oblicze ma szpetnie ospą

podziobane, a u pasa monstrualnych rozmiarów rapier. Ktoś, z kim dyskretnie sprawę tę omówiłem, powiadomił mnie, że człek ów ma pod sobą całą bandę zbójców i łotrzyków, których teraz na swe utrzymanie wziął sam Alquezar, posługując się nimi jako apostołami w swych nieczystych kombinacjach i

zdradzieckich zamachach. Jak mniemam, cała ta gromadka w taki czy inny sposób może jeszcze stanąć WM

na drodze, wszak kto znieważonego z życiem ostawia, z życiem ostawia też mściciela.

Gorliwie odwiedzam Gospodę Pod Turkiem, której to bywalcy, a waszmości druhowie, nalegają, bym i od

nich przesłał ci życzenia jak najlepsze, osobliwie zasię poleca ci się Caridad Cyganicha, która - jak powiada,

a nie mam powodu kłamstwa tu jakiego upatrywać - waszmości w osobliwie dobrej pamięci zachowuje i

takoż zachowuje izbę twą od strony ulicy Arcabuz. Tryska zdrowiem, co, owszem, widać. Byłbym zapomniał, Martin Saldaña dochodzi do siebie po pewnej nocnej utarczce z jakimiś zawadiakami, którzy

usiłowali „uciec się” pod Świętego Ginesa. Raz go skaleczyli, ale wyliże się z tego. Jak słyszałem, sam

trzech ubił.

Nie chcę zajmować waszmości więcej czasu. Proszę jeno, byś przekazał serdeczności ode mnie młodemu

Íñigowi, który snadź już kawalerem jest na schwał i godnym rywalem samego Marsa, ma bowiem w WM

mistrza równego Wergilemu i Achillesowi. Jeśli łaska, odśwież mu sonet mój o młodości i przezorności, a

może jeszcze dodasz tę oto strofę, która częstą jest mi towarzyszką:

Kto ranny, nowych zasług nie zdobywa,

Lecz ból, cierpienie i udrękę szczerą;

Nie zaszczytem jest służba, a chimera;

Żołnierski los mordęgą się nazywa.

... Lubo cóż takiego rzec mu mogę, co WM nader dobrze nie jest wiadome.

Niech Bóg ma waszmości w swej opiece.

Twój

Francisco de Quevedo y Villegas

Postscriptum: Bardzo ckni się nam do waszmości na schodach pod Świętym Filipem tudzież na premierowych pokazach sztuk Lopego. I zapomniałbym dodać waszmości, że miałem dostać list od pewnego

młodzieńca, którego może sobie przypominasz, ostatniego żyjącego potomka jednej nieszczęściem dotkniętej rodziny. Jak wnoszę, załatwił jakieś swoje porachunki w Madrycie i nienękany, pod przybranym

nazwiskiem do Indii zdołał popłynąć.

Pomyślałem, że ta nowina w dobry nastrój waszmości wprawi.

1III. BUNT

Potem, gdy pył już opadł, nuże wszyscy przygadywać, czy do tego dojść musiało – prawda aliści jest taka,

że nikt niczego nie uczynił gwoli zażegnania sprawy. Winy nie ponosi tu zima, bo owego roku we Flandrii

nie przyniosła lutych mrozów ni śniegów - lubo z drugiej strony deszcze mocno nam się uprzykrzyły, do

czego dodam jeszcze brak prowiantów, wyludnienie wsi i trud, jaki w oblężenie Bredy włożyć nam przyszło.

Wszystko to wszelako należało do dobrodziejstw inwentarza, a hiszpańskie oddziały zwyczajne były cierpliwie znosić mozoły wojenne. Co innego zwłoka z wypłatą: niejeden weteran zdążył być już posmakować ubóstwa, gdy do zwolnień i przegrupowań doszło podczas dwunastoletniego rozejmu z

Niderlandczykami, i na własnej skórze przekonał się, że służba pod rozkazami naszego monarchy oznaczała

1) Lope de Vega, El asallo de Matrique (Natarcie na Maastricht).

2) Maurits van Nassau-Dillenburg, ks. Orański (1567-1625) - stathouder (szef państwa) zbuntowanych prowincji

Niderlandów.

3) Justinus van Nassau, ks. Orański (1559-1631) - nieślubny syn ks. Wilhelma Orańskiego (przyrodni brat Mauritsa),

komendant garnizonu Breda w czasie opisywanych wydarzeń.

mnogie wyrzeczenia, kiedyś szedł na śmierć, i skąpy żołd, kiedy wśród żywych ostawałeś. Wspominałem już

nieraz, jako to wielu starych wiarusów, okaleczonych albo z blaszanymi tubami pełnymi wojennych dyplomów, los skazał na żebrzy po ulicach i placach naszej nędznej Hiszpanii, która korzyści nieodmiennie

tym samym ludziom przyznawała, a przecież to tamci właśnie, co własnym zdrowiem, krwią i życiem szafowali, by podtrzymać prawdziwą wiarę, Stany Generalne i kiesę naszego króla, nader grzecznie i

raptownie kończyli w piachu albo w zapomnieniu. Głód szerzył się w Europie, w Hiszpanii, w armii, a

regimenty już wiek okrągły walczyły z całym światem, lubo przestawały miarkować, w imię czego to czynią

– czy dla odpuszczenia grzechów, czy może po to, ażeby roztańczony i rozweselony Dwór w Madrycie mógł

się dalej czuć panem ziemi. Poczciwym żołnierzom nie było nawet dane poczuć, że zajmują się porządną

profesją, ponieważ nie dostawali za nią pieniędzy, a nic tak dyscypliny i sumienia nie psowa, jak głód.

Nie dziwota tedy, że zwłoka z wypłatą żołdu we Flandrii znacznie sytuację zawikłała, bowiem owej zimy

niektóre regimenty, owszem, otrzymały jakieś połowiczne sumy, w tym także nasi cudzoziemscy sojusznicy,

tymczasem regiment z Cartageny ani eskuda nie obaczył. Przyczyn tego do dziś pojąć nie mogę, aczkolwiek

w swoim czasie rozprawiano o złym zarządzaniu groszem publicznym przez naszego marszałka

polnego,

mości Pedra de la Daga, a także o jakiejś mętnej historii ze zniknięciem pieniędzy lub może z ich ukryciem,

darujcie, waszmościowie, ale sam w głowę zachodzę. Owóz siła spośród piętnastu regimentów hiszpańskich,

włoskich, burgundzkich, walońskich i germańskich, które obręcz wokół Bredy zaciskały pod ścisłym

dowództwem mości Ambrosia Spinoli, miało za co wyżyć, tymczasem nasz, rozproszony na mnogie

posterunki z dala od miasta, znalazł się wśród tych, którym królewskiego żołdu poskąpiono. Czego efektem

były paskudne humory. Jak bowiem pisał Lope w Natarciu na Maastricht:

Póki żyw, podsyc w nim wiarę,

Daj mu strawy, daj mu wody;

Długoż cierpieć ma od głodu

Pod przekrzywionym sztandarem?

Ja zaklinam się na wszystko,

Ze malowanego króla

Bronić mogę w trudzie, w bólach,

Ale nie o suchym pysku! 1)

Nie od rzeczy będzie tu dodać, że nasze pozycje nad kanałem Ooster były najbardziej narażone na

ewentualne wraże podjazdy, wszak, co wybornie wiedzieliśmy, Maurycy Nassau 2), generał zbuntowanych

provincji, organizował właśnie wojsko, by z odsieczą Bredzie przyjść, za murami której siedział drugi

Nassau, Justyn³), społem z czterdziestoma siedmioma kompaniami niderlandzkimi, francuskimi i angielskimi

- te nacje jakoś osobliwie, jak waszmościom wiadomo, zawsze lubowały się w dolewaniu swojej oliwy do

naszego ognia. Ani chybi, nasze siły katolickie stały obozem wystawione jak na półmisku, o

dwanaście

godzin marszu do najbliższego wiernego nam miasta, tymczasem zaś Niderlandczycy mieli do swoich najwyżej trzy, może cztery godziny drogi. Regiment z Cartageny miał rozkaz powstrzymać atak, który mógłby zaskoczyć naszych od tyłu, dzięki czemu wojska oblegające miałyby czas należycie natarcie przygotować i nie byłyby zmuszone ani do haniebnej rejterady, ani do nierównej walki na dwie strony. Tedy

kilku rozproszonym drużynom przypadło zadanie, w wojskowym żargonie nazywane „straconą szpicą” -

polegało ono zasię na akcji zbrojnej, która wszelako dawała jej uczestnikom niejakię szansę przeżycia, lubo

złowieszcze imię zdawało się podpowiadać bardziej pesymistyczny wariant. Śród obarczonych takową misją

znalazła się i chorągiew kapitana Catona, iże rekrutowała się z wojska zaprawianego w trudach i niedolach

wojennych, zdolnego walczyć o każdą piędź ziemi nawet bez dowództwa ni rozkazów, jeśliby tak niecna

fortuna zarządziła. Snadź cierpliwość części żołnierzy wystawiona została na zbyt ciężką próbę - lubo

zaznaczyć tu śpieszę, że nasz marszałek polny, mość Pedro de la Daga, znany pod obelżywym przezwiskiem

Bardasznupek, osobliwie konflikt rozniecił swymi odstręczającymi manierami, jakie zgoła nie przystoją ni

dowódcy hiszpańskiego regimentu, ni człekowi zacnego urodzenia.

Pamiętam, że owego posępnego dnia świeciło blade słońce i lubo było to słońce niderlandzkie, napawałem

się nim do woli, siedząc na ławce u wnijscia do domu i z ogromnym ukontentowaniem i pożytkiem czytając

książkę, którą kapitan Alatryste zostawił mi, bym się w lekturze doskonalił. Było to pierwsze, wielce sponiewierane [plamami wilgoci pokryte wydanie pierwszej części Przemysłnego szlachcica Don Kichota z

Manczy, drukowane w Madrycie w piątym roku naszego stulecia - ledwie sześć lat przed moim narodzeniem

- przez Juana de la Cuesta: wyborna powieść pióra pocziwego mości Miguela de Cervantes, który człkiem

był głębokiego Umysłu, nieszczęśliwie zakochanym we własnej ojczyźnie. Gdybyż bowiem nasz cudowny

kaleka przyszedł na świat Anglikiem albo żabojadem, inna byłaby śpiewka, za życia jeszcze doczekałby się

hołdów, a nie pod postacią pośmiertnej chwały, bo taką jeno nasz Kainowy naród rezerwuje najczęściej dla

swych najlepszych synów. Siła uciechy miałem z książki, z opisywanych w niej trafów i wydarzeń, do głębi

poruszało mnie wzniosłe szaleństwo ostatniego błędnego rycerza oraz świadomość - którą Diegowi Alatryste

zawdzięczam - że w najświetniejszym momencie naszej historii, kiedy to galery z hiszpańską piechotą

ruszyły przez zatokę Lepanto przeciwko straszliwej flocie tureckiej, za rapier chwycił tam także pewien

waleczny żołnierz, właśnie sam mość Miguel, biedny i wierny wiarus, za kraj swój walczący, za swego Boga

i swego króla. Podobnie później czynili Diego Alatryste i mój rodzic, a i mnie w przyszłości los takowy

czekał.

Owóż czytałem sobie owego poranka na słońcu, przerywając co czas jakiś, by podumać nad soczystymi

rozważaniami, w jakie księga ta obfituje. Ja także miałem wszakże swą Dulcyneę, jak może,

waszmościowie, pamiętacie - atoli moje niepomyślne zachody miłosne wynikały nie z pogardy mej

bogdanki, jeno z jej przewrotności, czego snadnie dowiodły już wcześniejsze opowiedziane przeze mnie

przygody. Lubo jednak omal honoru i życiam nie postradał w ich wyniku - wspomnienie pewnego talizmanu

wciąż dziurę w sercu mym na wylot wypalało - nie byłem zdolny zapamiętać jasnych loków, oczu błękitnych

niczym madryckie niebo ni uśmiechu, z jakim snadź sam diabeł Adama skłonił, za pośrednictwem Ewy, by

wbił zęby w przesławne jabłko. Obiekt uczuć mych musiał liczyć teraz, jakem skalkulował, trzynaście bądź

czternaście wiosen, a gdym ją sobie wyobrażał na Dworze wśród parad, zabaw tanecznych, paziów, gładyszów i fircyków, pierwszy raz czułem ukłucie czarnej zadry zazdrości. I ani moja z dnia na dzień coraz

większa werwa młodzieńcza, ni niebezpieczeństwa we Flandrii czyhające, ni bliskość markietanek i

ladacznic, co za wojskiem zawsze ciągną, ni same Flamandki - wobec których, jak mi Bóg miły, Hiszpanie

znacznie mniejszą wrogość okazywali niżli wobec ich ojców, braci i mężów - nie zdołały sprawić, bym

zapomniał o Angelice de Alquezar.

Takem sobie właśnie siedział, kiedy pogłoski i niepokojące wieści przeszkodziły mi w dalszej lekturze.

Zarządzono ogólny przegląd regimentu i wszędzie widać było żołnierzy, jak broń i ekwipunek gotują,

albowiem sam marszałek polny kazał stawić się oddziałom na równinie w pobliżu Oudkerk, owego

miasteczka, któreśmy jakiś czas wcześniej krwawo wzięli i które stało się kwaterą główną garnizonu

hiszpańskiego na północny wschód od Bredy. Mój druh Jaime Correas, przybyły dopiero co z siłami drużyny

chorążego Coto, opowiadał mi podczas na milę długiego marszu do Oudkerk, że przegląd wojska,

zarządzony z dnia na dzień, miał za cel rozpatrzenie mocno nieprzyjemnych konfliktów z naruszeniem

dyscypliny, jakie poprzedniej nocy skłóciły poważnie żołnierzy z oficerami. Huczało już o tym we

wszystkich oddziałach i wśród giermków, gdyśmy tak maszerowali groblą ku pobliskiej równinie, a rejwach

był taki, że nawet przez sierżantów rzucone rozkazy ludzi mitygujące nie zdołały go zgoła uciszyć. Jaime,

objuczony dwiema krótkimi lancami, dwudziestofuntowym hełmem miedzianym i muszkietem, do jego drużyny należącym - ja zasię dźwigałem arkebuzę Diega Alatryste i Mendiety, przepelnione biesagi z cielecej skóry i siła butli z prochem – wprowadzał mnie po drodze w szczegóły. Jak się zdaje, podczas fortyfikowania Oudkerk bastionami i okopami zlecono prostym żołnierzom, by trawę wyrywali i faszyny naznosili, kusząc ich wypłatą, która ulżyłaby im w nędznym żywocie, jaki był udziałem nas wszystkich z powodu opóźniającego się żołdu i niewystarczających dostaw żywności. Innymi słowy, żołd, który należał im się zwyczajną koleją rzeczy, miał im zostać wypłacony, o ile dodatkowo zakaszą rękawy, i na koniec każdego dnia mieliby dostać uzgodnioną stawkę. Wielu przystało na te warunki, aliści niektórzy szum podnieśli, przekonując, że skoro jest gdzieś brzęcząca moneta, to opóźnienia zdarzyły się wcześniej niżli rozkaz fortyfikowania miasta, i że nikt pracować nie powinien, ażeby otrzymać to, co mu się i tak sprawiedliwie należy. I że łącniej wolą cierpieć dalej niedostatek, niżli w taki sposób go oddalać, bo niepodobna, by tak haniebnie głód wygrywał z honorem.

I jeszcze, że prawdziwemu szlachcicowi (a każdy żołnierz takowym się mienił) bardziej snadź przystoi, by padł z nędzy i reputację swą do grobu zabrał, niżliby życie zachował, zatrudniając się przy łopatach i gracach. Od słowa do słowa ludzie w grupki skupiać się jęli, huczek poszedł, iż sierżant pewien czynem znieważył arkebuzera z chorągwi kapitana Torralby, tamten zasię, lekko jeno poszkodowany, pospołu z kompanem swym - lubo sierżanci stopień rozpoznać musieli po halabardzie – za sztylety ucapili i w mig żelazem podoficera pogłaskali, cudem chyba do Wieczności go nie posyłając. Skutkiem czego teraz

oczekiwało nas publiczne wymierzenie kary obydwu winnym, a pan marszałek polny wieszował sobie,

ażebym cały regiment krom tych, co strażę pełnili, świadkiem był całego wydarzenia.

- Powiesić ich - rozkazał mość Pedro de la Daga.

W grobowej ciszy głos marszałka polnego zabrzmiał na równinie niczym krótkie, twarde szczeknięcie.

Kompanie nasze uformowane były w trzy boki ogromnego czworokąta. Pośrodku każdej sterczał sztandar,

wokół niego zasię stali pancerni ze swymi lancami, a na skrajach arkebuzerzy. Cały regiment w sile dwóch

tysięcy zachowywał milczenie i spokój tak wielki, że lecącego ponad nami gza łącno można było posłyszeć.

W innej sytuacji widok równych szeregów przedstawiałby się wybornie, lubo odzież nie najprzedniejszą

mieli nasi na sobie, połataną, tu i ówdzie nawet postrzępioną, a jeszcze gorzej przedstawiała się rzecz z

butami - aliści ich rynsztunek wypolerowany był nieskazitelnie i akuratnie wedle regulaminu, każdy

napierśnik, morion, grot lancy, lufa arkebuza i wszelka inna broń lśniły w świetle dnia, aż miło: mucrone

corusco 1) jak bez uchyby powiedziałby regimentarski kapelan, ojciec Salanueva, gdyby właśnie był trzeźwy.

1) Mucrone corusco (łac.) - roziskrzony mur żelaza (Publius Vergilius Naso, Eneida,)

Wszyscy mieli na ubraniu spłowiałe czerwone wstążki albo naszyte na napierśnik (względnie, jak ja, na

kaftan) karminowe krzyże świętego Andrzeja, zwane także krzyżami burgundzkimi: były to, jakem już był

nadmieniał, znaki, dzięki którym Hiszpanie rozpoznawali się w ogniu walki. Na czwartym boku czworokąta,

zaraz wedle chorągwi całego regimentu, otoczony swym sztabem i gwardią osobistą złożoną z sześciu

niemieckich halabardników, siedział w siodle mość Pedro de la Daga. Dumną głowę miał odkrytą, szyję

spowijała mu flamandzka kreza koronkowa, spływająca na zbroję z taszkami, kutą z przedniej stali mediolańskiej, przy pasie zwisał mu rapier damasceński; dłonie pana marszałka polnego okrywały rękawiczki z łosiowej skóry, prawa wsparta na biodrze, lewa trzymała cugle.

- Na suchej gałęzi - dorzucił.

Zaraz też jął wolty czynić, powodując koniem za pomocą krótkich pociągnięć cuglami, ażeby wszystkie

dwanaście kompanii podziwiać jego oblicze mogło - jak gdyby usta chciał zamknąć wszystkim, którym

oponować by do głowy przyszło przeciw takiemu wyrokowi, co do kary śmierci dokładał jeszcze dyshonor

sznura i pozbawiał skazańców choćby towarzystwa zielonych gałązek. Ja społem z innymi giermkami stałem

przyciśnięty do naszego szyku, z dala od niewiast, ciekawskich i pospolitego gminu, którzy z oddalenia

widowisku się przypatrywali. Znajdowałem się kilka kroków ledwie od drużyny Diega Alatryste i łącznie

dostrzec mogłem, jako to niektórzy żołnierze w ostatnich szeregach, osobliwie Garrote, szemrać poczęli,

słyszając takie słowa. Sam Alatryste atoli stał nieporuszony, ze wzrokiem wbitym w marszałka polnego.

Mość Pedro de la Daga mógł dobiegać pięćdziesiątki. Był to niewysoki Kastylijczyk z Valladolid o żywych oczach i takimże umyśle, co znaczne miał w armii doświadczenie i niewiele respektu dla podwładnych - ponoć niemiłe jego usposobienie brało się z flegmatycznych humorów ciała jego, to jest

częstych zaparc. Cieszył się osobliwymi faworami samego naszego generała Spinoli oraz możnych protektorów w Madrycie.

Zasłużył się już jako regimentarz podczas kampanii w Palatynacie, a dowodzenie regimentem z

Cartageny

objął po tym, jak pod Fleurus mości Enriquemu Monzonowi kula z falkonetu wystrzelona nogę urwała.

Przezwisko „Bardaszurek” nie wzięło się z powietrza: nasz marszałek należał do tych, którzy jak Tyberiusz

wolą bojaźń i nienawiść wzbudzać u wojska i tą drogą dyscyplinę wdrażają, co w niczym nie przeczyło

temu, że mężem był walecznym i gardził niebezpieczeństwem w równym stopniu, co własnymi żołnierzami

- jak wspomniałem wyżej, otaczał się halabardnikami niemieckimi - a głowę miał nie od parady, gdy o

sprawy militarne chodziło. Na koniec powiem, że skąpy był nad wyraz, oszczędny w łaskach i okrutny w kar

wymierzaniu.

Wysłuchawszy wyroku, obydwaj podsądni ani nawet nie mrugnęli - między innymi po temu, że

miarkowali należycie, jak takie sprawy zazwyczaj się rozstrzyga, a snadź kto sierżanta zaszytytuje, temu

karty kłamać nie mogą. Znajdowali się pośrodku czworokątnego szyku, przez regimentarskiego profosa

pilnowani, głowy mieli odkryte, a ręce za plecami spętane. Jeden był starym wiarusem z niejedną blizną,

siwy i o sumiastych wąsach, on też pierwszy był rękę podniósł i on też teraz bardziej spokojny się zdawał.

Drugi, chudy i z nader

gęstą brodą, wyglądał na młodszego. O ile zasie ten bardziej wiekowy cały czas wzrok podniesiony miał i

spoglądał, jakby cała sprawa nie jego dotyczyła, ów chudy oznaki przygnębienia zdradzał, okiem rzucając to

na ziemię, to na kompanów swych, to znów na kopyta konia pana marszałka polnego, stojącego nieopodal.

Atoli obydwaj trzymali się zgoła dzielnie.

Na znak przez profosa dany dobosz w bęben uderzył, a trębacz mości Pedra de la Daga odegrał fanfarę, by

wagę wydarzenia podkreślić.

- Czy podsądni coś rzec jeszcze pragną?

Poruszenie niejake śród kompanii się uczyniło, a gdy żołnierze uszu jęli nastawiać, las pik zdał się skłaniać ku przodowi na podobieństwo łanu, który pod wiatru tchnieniem się pochyła. I wszyscyśmy ujrzeli,

jako to profos podchodzi do oskarżonych i głowę nadstawia ku starszemu, słuchając, co tamten ma do powiedzenia, I następnie zasię spogląda na marszałka polnego, który zaraz głową skinął - nie dla dobrotliwości swej, ale ponieważ taki obowiązywał zwyczajowo ceremoniał. I wówczas po równinie rozległ

się głos siwego żołnierza, który powiadał, że wiele już wojen ma za sobą i że sumiennie, podobnie jak jego

kompan, wszelkie powinności wypełniał aż do tego dnia, że śmierć ponieść to rzecz w tej profesji zwyczajna, ale że umrzeć na skutek „choroby sznura”, czy to na zielonej gałęzi, czyli też na suchej, czy na

jakiej tam licho wskaże, to, do diaska, jawna obelga wobec mężczyzn, którzy całe życie w portkach chodzą.

Tedy, skoro już mają obydwaj życie postradać, upraszają obydwaj, by dokonano tego za pomocą arkebuza,

co się należy im jako Hiszpanom i ludziom z ikrą, a nie wieszano ich jak lada włościan.

!) Mowa o epizodzie z wojny o Franche-Comte w 1637 r.

2) Pedro Enriquez Acevedo hr. de Fuentes (1525-1610) - hiszpański dowódca, oblężeniem Cambrai dowodził w roku

1595.

3) Księżniczka Elżbieta Klara Eugenia (1566-1633) - córka Filipa II, była od 1598 r. gubernatorem Niderlandów.

A jako że cała sprzeczka wybuchła z powodu oszczędności, do jakich wojsko było zmuszone, wnoszą

także obywatel, iżby pan marszałek polny, gwoli zaoszczędzenia na pociskach, przyjął od niego jego własne

kule, z zacnego ołowiu z Escombreras odlane, których całkiem spory zapasik nosił w swej prochownicy -

wszak tam u kaduka, dokąd zaraz potem ich posłał, i tak już się na nic amunicja mu nie przyda. I żeby w

takim stanie rzeczy wyekspediowano ich bez zaległego od pół roku żołdu, nieważne, sznurem, arkebuzem

czyli też w tanecznych podskokach.

Co rzekłszy, wiarus ramionami wzruszył z obliczem obojętnym, za czym splunął na ziemię stoicko a siarczyście, prosto między własne buty. Jego towarzysz splunął również i na tym skończyło się całe gadanie.

Nastało długie milczenie, po którym, z wysokości swego wierzchowca, mość Pedro de la Daga, wciąż z

prawicą na biodrze wspartą, za nic mając wyłożone przed chwilą racje, ozwał się sucho: „Powiesić ich”.

Natenczas wśród chorągwi wielki rumor się podniósł, który oficerów wielce zaniepokoił, szeregi burzyć się

jęły, niektórzy żołnierze nawet miejsca swe opuścili, gromko pomstując, i na nic zdały się wysiłki sierżantów i kapitanów, by kres tej ruchawce położyć.

A ja, w urzeczeniu wielkim całe zamieszanie obserwując, spojrzałem w tym momencie na kapitana

Alatriste, by zmiarkować, po której stronie stoi. I zobaczyłem, że powoli kręci głową, jakby nieraz już

podobnych wydarzeń świadkiem być mu przyszło.

Rokosze we Flandrii, zrodzone z niekarność, jaką złe rządy powodują, były chorobą, która podkopywała

prestż całej monarchii hiszpańskiej. Upadek tegoż w zbuntowanych prowincjach, a także w tych, które

pozostały wierne, więcej krzywd wyrządził wzburzoną oddziałom niżli całemu wojennemu

przedsięwzięciu. Za moich czasów tą jeno drogą można było wypłat się domagać, a sytuacja tym gorszą się

jawiła, że żołnierz hiszpański, na północy walczący, nie mógł dezercji się dopuścić, bo stanąłby twarzą w

twarz z wrogą sobie ludnością miejscową, której na równi z wrogimi wojskami wystrzegać się należało.

Tedy rokoszanie zajmowali jaką miejscowość i fortyfikowali się w niej - a wiedzieć trzeba, że wśród miast we

Flandrii zdobytych najokrutniejsze ofiary ponosiły te, które popadły w ręce oddziałów, zaległego żołdu

łaknących. Godzi się tu aliści zaznaczyć, że nie byliśmy tu jedyni. O ile bowiem Hiszpanie, również

uciemięzeni, co bezwzględni, krwią i ogniem szlak swój znaczyli, o tyle gorzej jeszcze zachowywały się

oddziały walońskie, włoskie albo germańskie, które nie cofały się nawet przed taką hańbą, że odprzedały

wrazym siłom fortece Sint-Andnes i Creyecoeur 1), do czego Hiszpanie przenigdy się nie posunęli - nie dla

braku ochoty, ale ze zwykłego poczucia przyzwoitości i ze strachu przed sromotą. Inna rzecz przecież

gardziele podrzynać i łupić, gdy wypłata zwleka, inna zaśię (przy czym, do diaska, nie mówię, że lepsza lub

gorsza, po prostu inna) nikczemności a wiarołomstwa się dopuszczać. I przypominam sobie w tej materii

różne zdarzenia, jako to pod Cambrai, gdzie sprawy tak źle się miały, że hrabia de Fuentes 2) uprzejmą

prośbę do szanownego zbuntowanego wojska, w Tirlemont stacjonującego, zaniósł, by „były tak łaskawe i

zechciały pomóc mu w zdobyciu cytadeli. Owe zaś hufce, na powrót zdyscyplinowane i bojaźń wzbudzające,

w wybornym porządku szturm przeprowadziły i zdobyły zarówno cytadelę, jak i całą twierdzę. Wspomnijmy

tu również o rokoszanach, którzy w najgorszym momencie bitwy na wydmach Nieuwpoort ubłagali, ażeby ich w najbardziej niebezpieczne miejsce przesunąć, albowiem pewna niewiasta, infantka Klara Eugenia 3), prosiła ich była o ratunek. Nie od rzeczy też będzie powiedzieć o buntownikach pod Aalst, którzy

odrzucili warunki zaoferowane im przez samego hrabiego Mansfield i żadnych przeszkód nie czynili kolejnym regimentom niderlandzkim, co toomalże ogromnego spustoszenia nie dokonały w królewskich

Niderlandach Południowych. Te same oddziały, co gdy zaległy żołd przyszedł, lubo nie w całości, nie

przyjęły ni marawedi i odmówiły walki, choćby i Flandria, i Europa wszystka miała się pod ziemię zapaść -

owóż te same oddziały, ledwie nowina je dosięgła, że sześć tysięcy Niderlandczyków pod Antwerpią i

czternaście tysięcy ich kamratów różnorakiego autoramentu gotują się wymordować stu trzydziestu

Hiszpanów, fortecy broniących, o trzeciej nad ranem w marsz wyruszyły, w pław i łodziami Skaldę przebyły

i z zielonymi gałązkami na kapeluszach i hełmach jako zwycięstwa zwiastowanie, przysięgę złożyli, że tego

dnia na wieczerzę albo w Raju do Chrystusa Pana naszego staną, albo w Antwerpii społem z rodakami. Na

1 koniec, gdy w ciężkich terminach się znaleźli na kontrskarpie, chorąży Juan de Navarrete sztandarem

potrzęsnał, wszyscy wezwali gromko świętego Jakuba i całą Hiszpanię, jak jeden mąż z kolan się podnieśli,

na wraże okopy ruszyli, łamiąc, rżnąc i siekąc, co im na drodze stanęło, i słowa danego dotrzymali: Juan de

Navarrete i jeszcze czternastu istotnie wieczerzało owego dnia z Chrystusem albo z kim tam do stołu siadają

ci, co umierają na stojąco, a pozostali pospołu z obłążonymi rodakami posilili się w Antwerpii. Słusznie

bowiem powiadają, że naszej nieszczęsnej ojczyźnie zawsze brakowało i sprawiedliwości, i mądrych

rządów, i urzędników poczciwych, i królów godnych tego, by koronę na głowach nosić - atoli, przebóg,

1) Luis de Requesens y Zuñiga (1528-1576) - wielki komandor Kastylii, gubernator Niderlandów za czasów Filipa II,

znany z umiarkowanych rządów.

2) Rekonkwista - trwające od VIII po XV wiek odzyskiwanie przez chrześcijańskie ludy Hiszpanii ziem Półwyspu

Iberyjskiego z rąk najeźdźców mauretańskich.

zawsze pod dostatkiem miała zacnych wasali, niedostatek, nędzę i krzywdę zapomnieć gotowych, za to

pierwszych, by zęby zacisnąć, żelaza dobyć i, zaprawdę, do boju ruszyć w imię honoru Hiszpanii. Ten zasię

to nic innego, jak suma skromnych honorów każdego człeka z osobna.

Wróćmy wszelako do Oudkerk. Był to pierwszy z wielu rokoszów, jakie i mnie z czasem przeżyć przyszło

w ciągu dwudziestu lat przygód mego żołnierskiego żywota, które zawiodły mnie ostatecznie na ostatnią

wielką scenę hiszpańskiej piechoty pod Rocroi, w dniu, kiedy we Flandrii zaszło słońce Hiszpanii. W czasie,

gdy dzieją się opowiadane tu przeze mnie wypadki, taki rodzaj niesubordynacji stał się niejako zwyczajnym

narzędziem w naszych rękach, a przebieg jego, znany od czasów wielkiego cesarza Karola, zgodny był z na

wskroś przeciwczonym rytuałem. Śród kompanii dały się słyszeć okrzyki „wypłata, wypłata” tudzież

„rokosz, rokosz”, i stał się bunt, wprzód kompanii kapitana Torralby, do której przynależni byli obydwaj

podśądni. A ponieważ nie doszło uprzednio do rozwieszenia nijakich obwieszczeń ni do zawiązania spisku,

wszystko potoczyło się zgoła samorzutnie, przy akompaniamencie przeciwstawnych opinii: niektórzy snadź

opowiadali się za utrzymaniem dyscypliny, inni zaś ku jawnej rebelii się przychyłali. Najwięcej humorów

napsuło wszakże usposobienie naszego marszałka polnego. Inny postąpiłby bardziej politycznie, pałac i Panu

Bogu świeczkę, i ogarek diabłu, a mianowicie ugłaskałby żołnierzy, mówiąc im to, co usłyszeć chcieli. Nie

zdarzyło się bowiem jeszcze, by jakiegokolwiek słowa najbardziej skąpego po kieszeni uderzyły. Mam tu na

myśli coś w rodzaju „panowie żołnierze, synowie moi” i tak dalej - podobne argumenty wielki pożytek

przyniosły i diukowi de Alba, i mości Luisowi de Requesens 1) i Alessandrowi Farnese, lubo wszyscy oni w

duchu równie nieugięci i pogardy dla wojska pełni byli, co sam Pedro de la Daga. Ale Bardasznurek był

godnym nosicielem własnego przezwiska, a w dodatku nie krył, że za nic ma swoich panów żołnierzy.

Rozkazał tedy profosowi i germańskiej eskorcie, ażeby odprowadzili obydwu skazanych pod najbliższe

drzewo, już nie robi mu różnicy, czy zielone, czyli też suche, swej zaś zaufanej kompanii, ze z górą stu

arkebuzerów złożonej, której marszałek polny był nominalnym dowódcą, polecił, by stanęła pośrodku czworoboku, lonty podpaliła i pociski załadowała.

Ci lubo też żołdu nie dostawali, aliści z przywilejów i korzyści innych korzystali, posłuchali więc bez

jednego szmeru, co jeszcze oliwy do ognia dołało.

Prawdą jest, że jeno czwarta część wojska do rokoszu przystąpić chciała, ale buntownicy stali w różnych

miejscach szyku, do rebelii przekonując, pozostali zaś wciąż się wahali. W naszej kompanii najgłośniej za

nieposłuszeństwem przemawiał Curro Garrote, a wtórował mu chórek zgoła niemały. Na przekór tedy

wysiłkom kapitana Catona cały oddział mógł lada chwila przejść na stronę niepokornych, podobnie zresztą,

jak to miało miejsce i w innych oddziałach. My, giermkowie, jak jeden mąż puściliśmy się pędem ku swoim,

by ni szczegółu nie uronić. Jaime Correas i ja przeciskaliśmy się między żołnierzami, którzy we wszystkich

narzeczach Hiszpanii okrzyki wznosili, tu i ówdzie widziałem już obnażone główne. I jak to jest we zwyczaju, zgodnie z owymi narzeczami i pochodzeniem, stawali jedni przeciw drugim: walencjanie brali

jedną stronę, Andaluzjczycy drugą, Leończycy przeciw Kastylijczykom, Galisyjczycy, Katalończycy,

Baskowie i Aragończycy zamykali się we własnych kółkach, swego odrębnego interesu broniąc,

Portugalczycy zasię, bo i tych było tam kilku, w jeszcze jedną grupkę się zbili i na bok odeszli. Nie było

królestwa ni prowincji, które pozostawałyby z innymi w zgodzie, i patrząc na dzieje nasze, mógłbyś

przysiąc, że cała rekonkwista 2) innego nie może mieć wytłumaczenia, jak to, że Maurowie też byli

Hiszpanami 1. Wracając do kapitana Catona, jedną dłonią pistoletu dobył, drugą sztyletu i wespół z chorążym

Coto i młodszym chorążym Minayą, co drzewce sztandaru dzierżył, daremnie usiłowali wzburzenie śród

ludzi uśmierzyć. Raptem od kompanii do kompanii jał rozlegać się okrzyk „rycerze wystąp”, rzecz wielce

charakterystyczna w dziejach owych osobliwych niepokojów. Żołnierze bowiem nader wysoko cenili sobie

swą kondycję, wszyscy mienili się być szlachtetnego rodu i zawsze do zrozumienia dawali, że rokosz

skierowany jest przeciw dowództwu, a nie przeciw władzy katolickiego króla. Tedy, by władzę ową od

ujmy, a regiment cały od skutków jej uchronić, niepisana zgoda była pomiędzy wojskiem a oficerami, że ci

ostatni opuszczali szeregi wraz ze sztandarami i z tymi żołnierzami, którzy buntu podnosić nie chcieli.

Takim to sposobem ni oficerów, ni insygniów regimentarskich dyshonor nie plamił, oddział jako taki zachowywał zącną reputację, a zbuntowani mogli po wszystkim powrócić pod komendę, której formalnie

nigdy nie kwestionowali. Nikomu nie było w smak, by powtórzył się los Starego Regimentu z Leivy, który

po rokoszu pod Tiel został rozwiązany, chorążowie, szlochając, drzewca łamali, a sztandary palili, byle ich

tylko nie oddać, weterani obnażali bliznami pokryte piersi, kapitanowie zrywali i na ziemię rzucali swoje

szarże, a wszyscy owi twardzi i nieustraszeni mężowie płakali jak bobry ze wstydu i upokorzenia.

Wystąpił tedy, lubo niechętnie, kapitan Catón z szeregu, unosząc sztandar, wraz z chorążym Coto, z

Minayą i sierżantami, a za nimi kilku kaprali i żołnierzy podążyło. Druh mój Jaime Correas, od tumultu

całego wniebowzięty, biegał to w jedną, to w drugą stronę, nawet parokrotnie zakrzyknął sam „rycerze

wystąp". Jako że na mnie wrzawa takóž ogromne wrażenie poczyniła, w któryms momentcie i ja mu

zawtórowałem, lubo głos mi w gardzieli uwiązł, kiedym zmiarkował, że oficerowie zaprawdę szeregi

opuszczają. Diego Alatryste znajdował się bardzo blisko, wedle swych towarzyszy z drużyny, a oblicze nader

miał chmurne. Dłonie obydwie złożył był na lufie arkebuza, kolbą o ziemię wspartego. W tym gronie nikt

słowa nie zamieniał ni szyku nie naruszał - nikt krom Curra Garrote, który już rej śród licznego chóru żołnierzy wodził.

Kiedy zasię Catón i inni oficerowie z szeregu wystąpili, mój pan zwrócił się ku Mendiecie, Rivasowi i

Llopowi, którzy ramionami wzruszyli i bez zbędnych ceregieli do rokoszan przystąpili. Copons z kolei,

nikomu wierności nie obiecując, ruszył w ślad za sztandarem i oficerami. Alatriście westchnął cicho, arkebuz

na ramię zarzucił i już miał zawrócić ku buntownikom. Aliści w tym momencie spostrzegł, że stoję tuż

nieopodal, zachwytem zdjęty i ani myśląc gdziekolwiek się ruszać, klepnął mnie tedy mocno w kark i nakazał za sobą iść.

- Twój król jest twoim królem - powiedział.

Za czym niespiesznie ruszył pomiędzy żołnierzami, którzy rozstępowali się, nijakiego wyrzutu mu nie czyniąc, choć widowym było, że się wycofuje z awantury. Po chwili stanął wraz ze mną na równinie, wedle

liczącej dziesięciu, może dwunastu mężów grupy kapitana Catona i oficerów lojalnych wobec władzy.

Podobnie atoli jak Copons, który stał nieopodal spokojnie i bez słowa, jakby cała sprawa nic go nie obchodziła, starał się trzymać nieco z boku, niemalże w połowie drogi pomiędzy tamtymi a naszą kompanią.

Ponownie arkebuz o ziemię oparł, dłonie położył na wylocie lufy i tylko z uwagą jasnymi oczami swymi

spod kapelusza baczenie dawał na wszystko, co się dzieje.

Bardaszurek nie zamierzał pozwolić sobie dmuchać w kaszę. Niemcy wieszali właśnie dwóch

podsądnych mimo ogromnej wrzawy w regimencie. Inne sztandary i służący pod nimi oficerowie też już

opuścili byli szeregi. Zdołałem naliczyć, że spośród tuzina kompanii cztery już ogłosiły rokosz, a

zbuntowani żołnierze skupiają się w jednym miejscu, coraz zuchwalsze okrzyki i groźby wznosząc. Raptem

padł wystrzał, ale kto strzelał, pojęcia nie mam, a i nikt skutkiem tego nie ucierpiał. Wówczas marszałek

polny nakazał swej chorągwi, by wycelowała arkebuzy i muszkiety w kierunku rokoszan, a pozostałym

lojalnym oddziałom, by naprzeciw nim w szyku stanęły. Dały się słyszeć rozkazy, warkot tarabanów,

sygnały trąbką, a sam mość Pedro de la Daga dumnie przecwałował po kilkakroć z jednego końca równiny

na drugi, by manewru całego osobiście dopilnować. I muszę tu przyznać, że miał nasz dowódca ikrę, wszak

każdy niezadowolony mógł mu tam na miejscu posłać grzeczną porcję z arkebuza, która zamknęłaby mu

usta na wieki wieków. Snadź waleczność i skurwysyństwo mogą czasem w jednym ciele mieszkać. W

każdym razie, rade nierade, a miejscami snadnie z widomą niechęcią, lojalne oddziały jęły przegrupowywać

się frontem do rokoszan. Znów zagrały tarabany i trąbki, wzywające wiernych oficerów i żołnierzy, ażeby

dołączyli do uszykowanych kompanii, tam też podążyli Catón i jego grupa. Copons stał wedle Diega

Alatriste i mnie, i wszyscyśmy, jakom rzekł, byli odrobinę z boku. Kiedy rozkaz posłyszeli i zmiarkowali, że

regiment stanął przeciwko buntownikom z bronią w ręku i z płonącymi lontami, obydwaj weterani swe

arkebuzy na ziemię odłożyli, pozbyli się dwunastu apostołów - czyli lederwerków z dwunastoma ładunkami

prochu, w poprzek piersi noszonych - i dopiero wówczas jęli iść za swym sztandarem.

Nigdy dotąd niczego podobnego nie był oglądał. Gdy lojalna część regimentu uszykowała się do walki,

cztery zbuntowane kompanie również były już przegrupowane i ustawiły się w ordynku bojowym: pikinierzy

w środku, arkebuzy na narożnikach. Nad porządkiem, z uwagi na nieobecność oficerów, czuwali kaprale

drużynowi, a tu i ówdzie prości żołnierze. Naturalnym instynktem weteranów wiedzeni, buntownicy

wiedzieli, że nieład w szeregach klęskę jeno oznaczać może i że - o paradoksie żołnierskiego fachu! - tylko

subordynacja wybawić ich może od skutków własnej niesubordynacji. Przeto, ani na jotę siły swej nie

uszczuplając, wykonali wszelkie manewry, jako mieli we zwyczaju, zajmując każdy sobie właściwe miejsce

w szyku, wkrótce też dobiegła nas woń podpalanych lontów, a gotowe do wystrzału muszkiety już wspierały

się na stawianych na ziemi forkietach.

Marszałek polny wszelako pożądał krwi i posłuszeństwa.

Obydwaj skazani dyndali już na drzewie, skoro więc ten obowiązek spełniony został, gwardia niemiecka -

same jasnowłose olbrzymy wrażliwe niczym połcie wołowiny - znów pojawiła się wokół mości Pedra de la

Daga, otaczając go swymi pikami.

Ten nowe rozkazy wydał, jeszcze raz odezwały się tarabany, trąbki i piszczałki, a Bardasznurek, nieodmiennie z prawicą na biodrze wspartą, przyglądał się, jak jego wierne kompanie jęły maszerować z

wolna naprzeciw buntownikom.

- Regiment z Cartageny!... Baaaa...czność!

Raptem cisza zapadła. Obydwie strony stały w odległości jakich trzydziestu łokci od siebie, z pikami złożonymi do ataku i pociskami w lufach arkebuzów. Sztandary, które opuściły swe szeregi, były teraz

zgrupowane w samym środku szyku, chronione przez lojalne wojsko. I ja wśród nich stałem, bo chciałem

znajdować się jak najbliżej mego pana - on zaś zajmował stanowisko pospołu z tuzinem innych żołnierzy

kompanii, którzy buntu nie podnieśli, pomiędzy młodszym chorążym Minayą a Sebastianem Coponsem.

Pozbawiony arkebuza, z rapierem w pochwie i kciukami za pas zatkniętymi Diego Alatryste sprawiał wrażenie, jak gdyby tylko odwiedził to miejsce, i nic nie zwiastowało, jakoby gotów był przyłączyć się do

swych dawnych towarzyszy.

- Regiment z Cartageny!... Arkebuzy... szykuj!

Wzdłuż szeregów przebiegł metaliczny odgłos, z jakim arkebuzerzy wsypywali proch do panewek, a zapalone lonty przystawiali do kurków. Skroś szarawy dym, z lontów płynący, dostrzegałem oblicza ludzi

stojących naprzeciw nas: ogorzałe, zarośnięte, pokryte szramami, ze srogimi brwiami, widocznymi spod

obdartych kapeluszy i hełmów. Ledwie drgnęły arkebuzy po naszej stronie, niektórzy po drugiej

odpowiedzieli tym samym, a niejeden w pierwszym szeregu i pikę pochylił. Atoli zdołaliśmy też dosłyszeć

śród nich pojedyncze głosy, mówiące: „panowie, panowie, gdzież rozum”, zaraz też arkebuzy i piki śród

buntowników uniosły się na nowo, czym tamci dowieść chcieli, że bić się z towarzyszami broni nie zamiarowali. My zaś oczy nasze zwróciliśmy teraz na marszałka polnego, nad równiną bowiem zabrzmiał

donośnie jego głos:

- Regimentarz!... Oddać tych ludzi w ręce królewskiej sprawiedliwości!

Regimentarz Idiaquez z buławą w dłoni oddalił się ku rokoszanom, by czym prędzej stanowisko swe przedłożyć. Była to czcza ceregiela, a Idiaquez, stary wiarus, który sam w swoim czasie niejednokrotnie bunt

był podnosił - osobliwie w 98 roku poprzedniego stulecia, gdy zwłoka z wypłatą żołdu i niesubordynacja

sprawiły, żeśmy połowę Flandrii utracili – rzecz swą wypowiedział krótko i rzeczowo, zaraz też ku naszym

liniom powrócił, na odpowiedź zgoła nie czekając. Żaden zresztą z żołnierzy naprzeciw nas stojących nie

przywiązywał do całej ceremonii snadź większej wagi niżli sam regimentarz, posłyszałem bowiem jeno

pojedyncze okrzyki „żołd, żołd”.

Co widząc, mość Pedro de la Daga, nieodmiennie na siodle swym wyprężony i z nieubłaganym licem

ponad kutą zbroją, uniósł jedną dłoń w skórzanej rękawicy.

- Arkebuzami... celuj!

Arkebuzerzy wycelowali broń, palce na języczkach kurków trzymając, zasyczały podpalone lonty.

Muszkiety, jako że dużo cięższe, trzeba było wesprzeć na forkietach. Tymczasem po drugiej stronie dało się

zauważyć niepokój w szeregach, lubo bez cienia wrogości.

- Ogień!... Na moją komendę!

Ten rozkaz rozległ się wyraźnie na całej równinie.

Wprawdzie niektórzy buntownicy cofnęli się nieco, przyznać muszę, że większość z nich bezwzględny

spokój zachowała, mimo że na wprost siebie mieli ciemne wyloty arkebuzów do strzału gotowych.

Zerknąłem na Diega Alatryste i zmiarkowałem, że jak niemal wszyscy żołnierze, nawet ci, którzy wciąż byli

uzbrojeni, i ci, co po przeciwnej stronie oczekiwali salwy, wpatrywał się w regimentarza Idiaqueza.

Spoglądali nań także kapitanowie i sierżanci, ten zaś oczu z jego miłości pana marszałka polnego nie

spuszczał. Który z kolei na nikogo już nie patrzył, wrażenie sprawiając, jakby odbywał nader wyczerpujące

ćwiczenia. I już, już dłoń Bardasznurek unosił, kiedyśmy wszyscy zobaczyli - a może ściślej będzie rzec,

jako to nam się zdało - że Idiaquez nieznacznie kręci głową, ruchem, który był niemalże niedostrzegalny,

którego właściwie zgoła nie było, tedy za niesubordynację nie mógł być wzięty. Dlatego później, kiedy

przełożeni dochodzenie przeprowadzali, nikt nie był w stanie pod przysięgą zeznać, że to widział.

I na ten gest, dokładnie w chwili, kiedy mość Pedro de la Daga wydał komendę „ognia”, osiem lojalnych

kompanii opuściło piki, a arkebuzerzy jak jeden mąż złożyli swą broń na ziemi.

IV. DWAJ WETERANI

Nieodzowne okazały się i trzy dni rokowań, i wypłata połowy zaległego żołdu, a wszystko w przytomności

samego naszego głównodowodzącego, generała mości Ambrosia Spinoli, by rokoszanie z Oudkerk jarzmo

na nowo przyjęli. Przez owe trzy dni dyscyplina w regimencie przestrzegana była jak nigdy, a wiedzcie,

waszmościowie, że w czasie tym oficerów i sztandary zgromadzono w miasteczku, wojsko zaś obozowało

poza murami. Mówiłem wszak już, że regimenty nigdy nie były bardziej zdyscyplinowane, jak podczas

rokoszu.

Przy tej sposobności wzmocniono nawet wysunięte posterunki wartownicze, inaczej Niderlandzycy

mogliby okazję wykorzystać i skoczyć na nas jak maciora do koryta. Żołnierze z zadziwiającą sumiennością

1dyscypliny przestrzegali, przez wybranych przedstawicieli zaprowadzonej, aże wręcz przykładnie ukarano

- i tu nikt protestu nie zgłosił - pięciu oczajduszów, co to na własną rękę chcieli miasteczko złupić. W porę

sąsiedzi ich znać dali, za czym bezzwłoczny sąd z ich kompanów złożony wydał wyrok, by ich rozstrzelać z

arkebuzów pod murem cmentarnym, i tam pokój wieczny napotkali, a potem i chwałę. Tak po prawdzie, to

tych skazańców było zrazu czterech. Aliści traf chciał, że dwóch innych podsądnych, za drobniejsze

przewiny zatrzymanych, skazano na obcięcie uszu, jeden zaś się zaklinać i zarzekać na wszystkie

świętości, że on, szlachcic i stary chrześcijanin, prawnuk różnych Mendozów i Guzmanów 1), woli umrzeć

niżli podobną hańbę ścierpieć. Co słysząc, trybunał, który w przeciwieństwie do naszego marszałka polnego

bardziej wyrozumiały był dla spraw honoru - wszak składał się z żołnierzy i towarzyszy broni -
zawyrokował, że ucho godzi się ułaskawić, a jego właścicielowi przeznaczono w zamian kulę z
arkebuza. Co

1) Mendoza, Guzman - arystokratyczne rody hiszpańskie.

nie przeszkodziło, by potem skazaniec ów - snadź był szlachcicem niestałym - odszczekać rzecz całą
usiłował, ledwie pod murem cmentarnym stanął, lubo z kompletem uszu.

Podówczas to właśnie pierwszy raz miałem sposobność zobaczyć mości Ambrosia Spinolę Doria,
markiza

de Los Balbases, granda Hiszpanii, głównodowodzącego naszych sił we Flandrii, a którego obraz -
zbroja

czarna, złotymi ćwiekami nabijana, buława generalska w lewej dłoni, szeroki kołnierz z
flamandzkich

koronek, czerwona szarfa i buty z łosiowej skóry - obraz zwycięzcy, co dwornie zapobiega, by się
przedeń

żaden pokonany Niderlandczyk nie wcisnął, na zawsze utrwalony został dzięki pędzlowi Diega
Velazqueza.

O jego sławetnym płótnie w swoim czasie opowiem, wszak nie darmo to ja właśnie opisałem po
latach

wielkiemu mistrzowi konieczne szczegóły. Owóz w czasie walk pod Oudkerk i pod Bredą nasz
generał

liczył pięćdziesiąt pięć albo pięćdziesiąt sześć wiosen, szczupłej był postury i takiegoż oblicza,
blady, z siwą

brodą i czupryną. Jego przebiegła i zdecydowana natura w zgodzie pozostawała z charakterem jego
genueńskiej ojczyzny, którą porzucił był gwoli oddanej służby naszym królom. Wojownik był zeń
cierpliwy

a szczęśny, atoli ani żelazną wolą diuka de Alba, ani sprytem innych swych poprzedników pochwalić
się nie

mógł, jego wrogowie na Dworze zasię, coraz liczebniejsi z każdym kolejnym jego triumfem -
jesteśmy w

Hiszpanii, jakżeby inaczej! - oskarżali go na przemian o cudzoziemskie pochodzenie i wygórowane

ambicje.

Nie da się wszelako zaprzeczyć, że największe wiktorie dla Hiszpanii odniósł w Palatynacie i we Flandrii,

oddawszy naszej monarchii swą osobistą fortunę, zastawiwszy swe dobra rodzinne, by móc oddziały spłacić.

Stracił nawet brata swego Federica w bitwie morskiej z Niderlandczykami. W epoce owej wielką cieszył się

chwałą wojenną, o czym niechże zaświadczy fakt, że gdy zapytano Maurycego Nassau, głównodowodzącego

wrażą armią, kogo za najlepszego żołnierza współczesnego uważa, odrzekł: „Spinola jest drugi”. Dodajmy

tu, że nasz mość Ambrosio był człkiem z ikłą, czym zaskarbił sobie wśród oddziałów wielki mir, i to podczas

kampanii rozejm dwunastoletni poprzedzających. Diego Alatryste sam mógłby poręczyć własnymi

wspomnieniami z odsieczy Sluys i z oblężenia Ostendy: podczas tego ostatniego na taki szwank i na takie

niebezpieczeństwo się pan markiz wystawiał, że wojsko, w tym także sam Alatryste, opuściło piki i arkebuzy,

niechając walki, dopóki się ich generał z dala od zagrożeń nie znalazł.

W dniu, kiedy mość Ambrosio Spinola osobiście bunt uśmierzył, wielu z nas zobaczyło go, jak opuszczał

namiot, w którym właśnie rokowania końca dobiegły. Za nim pośpieszyli oficerowie jego sztabu i nasz

marszałek polny z nosem na kwintę spuszczonej, który jeno wąs wściekle przygryzał, albowiem nie zdołał

doprowadzić do tego, by dla przykładu na gałęzi zawisł co dziesiąty buntownik. Mość Ambrosio atoli,

posługując się ręką sercu bliższą i swym dobrym usposobieniem, sprawił, że trudności zostały zażegnane.

Skoro zasię tylko dyscyplinę oficjalnie w regimencie przywrócono, każdy sztandar i oficer każdy do

kompanii swej powrócił, a u stołów rachmistrzowskich - pieniądze z osobistych szkatuł naszego generała

pochoǳiły - jęli się chciwymi rzędami ustawiać żołnierze. Zaraz też wokół obozowiska poczęła się gromadzić ciżba markietanek, ladacznic, przekupniów, karczmarzy wędrownych i inne pasożytnicze plemię,

wyraźną oskomę czując na jakąś cząstkę tego strumienia złota.

Diego Alatryste pospołu z innymi kręcił się wokół rzeczzonego namiotu. Owoż, gdy mość Ambrosio

Spinola wyszedł na dwór i zatrzymał się na moment, by mu oczy do jasności dnia przywykły, na sygnał

kornetu Alatryste i jego kompani bliżej podeszli, by na generała okiem rzucić. Starym wojennym obyczajem

większość z nich zdążyła wcześniej swe połatane mundury wyszczotkować, broń lśniła w słońcu, nawet

kapelusze odświętnego nabrały wyglądu mimo częściowo jeno pocerowanych dziur - wszak żołnierze,

którzy chlubili się swą profesją, gorliwie zabiegali, by wszem wobec pokazać, że bunt nijakiego uszczerbku

wojskowej służbie nie przynosi.

Zaiste paradoksem było, że nieczęsto regiment z Cartageny tak dziarsko i szykownie się prezentował, jak

przed swym generałem pod Oudkerk. Wysoko też ani chybi oszacował go Spinola, kiedy w asyście swych

doborowych arkebuzerów, sztabu, marszałka polnego, regimentarza i kapitanów szedł powoli, strojny w

złote runo na naszyjniku zbroi, mijając kolejne grupki, które z drogi mu ustępowały i gromko na cześć jego

wiwatowały, primo dla jego godności, secundo, ponieważ wypłacić żołd był zalecił. Czynili to jeszcze z

trzeciego powodu, a to żeby na nosie zagrać mości Pedrowi de la Daga, który zaraz za swym generałem

postępował i przeżuwał rozczarowanie, że nie ma kim sznura obciążyć, oraz filipikę, jaką był (wedle tego, co

dobrze poinformowani prawili) mość Ambrosio na osobności i nader dotkliwym językiem doń wygłosił,

grożąc mu, że stanowiska pozbawi, jeśli ten dbać o swych żołnierzy nie będzie jak o źrenicę własnego oka.

Tak przynajmniej powiadano, lubo śmiem wątpić, czy prawdą było to że źrenicami - toć wiadomo, że wszyscy generałowie i marszałkowie polni, czy sympatyczni, czyli też bezwzględni, zarówno głupi, jak i

bystrzy, jednakim są pomiotem i proste wojsko tyle ich obchodzi, co śnieg zeszłoroczny, nadaje się bowiem

do tego jeno, by krwią swoją ułatwić zaszczytów i laurów zdobywanie. Owego dnia wszelako Hiszpanie,

radując się pomyślnym tumultu zakończeniem, gotowi byli uwierzyć w każdą pogłoskę i w każdy

wymysł. Mość Ambrosio tymczasem rozsyłał ojcowskie uśmiechy na prawo i lewo, mówił „panowie żołnierze” i „synowie moi”, pozdrawiał wykwintnie swą długą na trzy piędzi buławą, czasem zasię, oblicze

jakiego oficera albo i starego wiarusa rozpoznawszy, kierował do takiego kilka uprzejmych słów. Słowem,

czynił swą powinność. I na Boga, czynił ją wybornie.

I raptem natknął się na kapitana Alatryste, który przyglądał mu się, nieco na uboczu swojej drużyny stojąc.

Cała grupa zaiste należyty podziw budziła, bo, jakom rzekł, oddział składał się z samych starych żołnierzy,

wąsatych i z licznymi bliznami na skórze skutkiem niepogody tak zahartowanej, że najprzedniejszy

kurdyban przypominała; a ich wygląd, osobliwie w taki dzień jak tamten, kiedy wszyscy w pełnym

rynsztunku byli, dwunastu apostołów spod ciemnej gwiazdy, z rapierami, lewakami i arkebuzami lub

muszkietami w dłoniach, najmniejszej wątpliwości nie pozostawiał, że nie masz Niderlandczyka, Turczyna

albo innej plagi piekielnej, któraby czoło stawić im potrafiła, gdy na dźwięk tarabanów w wir rzezi bitewnej

się rzucą. Owoż zatem mość Ambrosio całe to grono obserwował, wielkie wrażenie nań czyniące, i już miał

się do nich uśmiechnąć i podążyć dalej, kiedy pana mego rozpoznał, przystanął na chwilę i odezwał się doń

swą miękką hiszpańszczyzną, co dźwięczała od włoskich zaśpiewów:

- Do diaska, kapitanie Alatryste, toż to waszmość...? Sądziłem, żeś na zawsze pozostał pod Fleurus.

Alatryste głowę obnażył, kapelusz dzierżąc w lewej dłoni, prawą zaś oparłszy o lufę arkebuza.

- Blisko byłem - odparł powściągliwie - jak wasza miłość raczy łaskawie pamiętać. Ale snadź jeszcze nie

przyszła na mnie pora.

Generał z uwagą studiował szramy na ogorzałym licu wiarusa. Pierwszy raz ozwał się doń był dwadzieścia

lat wcześniej, podczas próby odsieczy pod Sluys, kiedy to, zaskoczony raptowną szarżą jazdy, mość

Ambrosio musiał się schronić w czworoboku uformowanym między innymi przez tego żołnierza. I z nimi

społem, nie pomnąc swej rangi, światły genueńczyk musiał bić się spieszony o własne życie, zadając

pchnięcia i z pistoletu rażąc, a trwało to cały długi dzień. Ni on tego nigdy nie zapomniał, ni sam Alatryste.

- Zapewne - rzekł Spinola. - A podobno, tak powiadał mi mość Gonzalo de Córdoba, w zasiekach pod

Fleurus stawałeś waszmość dzielnie i do upadłego.

-

Prawdę rzekł mość Gonzalo, mówiąc, że do upadłego. Prawie wszyscy kompani tam polegli.

Spinola podrapał się po bródce, jakby raptem coś sobie przypomniał.

- A nie podniosłem waszmości wtedy do rangi sierżanta?

Alatryste pokręcił z wolna głową.

- Nie, ekscelencjo. Sierżantem zostałem w roku osiemnastym, kiedy to wasza miłość wspomniał tamtą

historię spod Sluys.

- To dlaczego na powrót jesteście szeregowcem?

- Utraciłem szarżę rok później, z powodu pojedynku.

- Coś poważnego?

- Chorąży.

- Poległ?

- Na amen.

Zadumał się generał nad tą odpowiedzią, za czym wymienił spojrzenia z otaczającymi go oficerami. Mars

miał teraz na czole i zbierał się do dalszej drogi.

- Na Boga - ozwał się - dziwota, że waszmości wtedy nie powiesili.

- To było w czasie buntu pod Maastricht, ekscelencjo.

Alatriste wyrzekł te słowa ze stoickim spokojem. W generale snadź obudziły jakieś wspomnienia.

- Ach tak, coś pamiętam - czoło jego znów złagodniało, na usta powrócił uśmiech. - Ci Niemcy i marszałek polny, któremu ocaliłeś życie... A nie przyznałem waszmości wtedy za to ośmiu eskudów nawiązki?

I ponownie Alatriste głową pokręcił.

- To było za historię pod Białą Górą, ekscelencjo. Kiedy pospołu z obecnym dziś tu z nami kapitanem Catonem poszliśmy za panem de Boucquoy zdobywać górne szczyty... A co do samych eskudów, to zredukowano mi je do czterech.

Wzmianka o eskudach spłynęła po uśmiechniętym obliczu mości Ambrosia jak woda po kacze. Generał

rozglądał się z nieuważną miną.

- Dobrze - uciał. - W każdym razie kontent jestem, widząc waszmość pana ponownie... Czy mogę coś

dla

1 waszmości uczynić?

Trudno dociec, czy na twarzy Alatryste pojawił się uśmiech - może to tylko światło zamigotało mu w zmarszczkach wokół oczu. .

- Nie przypuszczam, ekscelencjo. Dziś pobieram połowę sześciu zaległych żołdów i nie mogę narzekać.

1) Juan de Esquivel Navarro (koniec XVI w. - poł. XVII w.) - autor jedyne zachowanego XVII-wiecznego

hiszpańskiego traktatu o tańcu Discursos sobre el arte del Dancado y sus excelencias y primer origen, reprobando las

acciones deshonoradas (Rozważania o sztuce tańca, jego doskonaleniu i pochodzeniu, tudzież przygana nieskromnie

postępującym, Sewilla 1642). Znajduje się w nim opis tańca villano (gminnego).

2) Francisco de Quevedo, Inscripción al Marques Ambrosio Spinola (Epitafium dla markiza Ambrosia Spinoli

- Rad jestem to słyszeć. I wcale przyjemne takie spotkanie starych wiarusów po latach, he?... - wyciągnął

przyjaźnie dłoń, jakby kapitana chciał lekko po ramieniu poklepać, atoli uważne, a rozbawione spojrzenie

mego pana snadź go od zamiaru odwiodło. - Myślę tu o waszmości i o mnie.

- Oczywiście, ekscelencjo.

- Jak żołnierz z, hm, żołnierzem.

- Jasne.

Mość Ambrosio chrząknął ponownie, ostatni raz uśmiechnął się i zerknął w stronę kolejnych oddziałów.

Mówił już głosem zgoła nieobecny.

- Pomyślności, kapitanie Alatryste.

- Pomyślności, ekscelencjo.

I ruszył przed siebie markiz de Los Balbases, głównodowodzący naszych sił we Flandrii. Przed siebie ku

chwale i wieczności, jakie uwiecznić miało - lubo podówczas on sam tego nie wiedział, nas zaś rzecz ta

miała kosztować siła trudu - wyborne płótno Diega Velazqueza; aliści także (wszak my Hiszpanie medal

zawsze w dwie zaopatrujemy strony) ruszył ku oszczerstwom i niesprawiedliwościom ze strony przybranej

ojczyzny, której z takim oddaniem służył. Kiedy bowiem Spinola torował szlaki ku kolejnym wiktoriom w

imieniu króla niewdzięcznego jako wszyscy monarchowie świata, inni kopali pod generałem dołki na

Dworze. Lubo sami z dala od pola walki się trzymając, szkalowali go wszak przed naszym władcą o

gnuśnym obliczu i duszy bezbarwnej, władcą, co usposobienie miał dobrotliwe, charakter aliści słaby, co

nigdy nie zbliżył się do miejsca, gdzie rany czcigodne odnieść można, wolał snadź nie w wojennej sztuce się

wprawiać, jeno w sztuce tańca dworskiego, a nawet w tańcach gminnych, bo i takich nauczał w swej

akademii mistrz Juan de Esquivel 1). I ledwie pięć lat po opisywanych tu wypadkach pogromca Bredy, ów

mądry i zdolny mąż, nader doświadczony żołnierz, człek wielkiego serca, co Hiszpanię umiłował był aż do

poświęcenia, człek, o którym mość Francisco de Quevedo pisał:

Schizmatyków ty zmiotłeś i podbiłeś

Palatynat dla hiszpańskiej korony;

Ku chwale wiodłeś wojsko roztomiłe.

Odszedłeś- Italia łączy dzisiaj roni,

Flandria czeźnie; ty zaś ostawiłeś,

Spinola, w bólu nas nieutulonych.2)

... owóż ów człek miał pożegnać się z tym światem chory rozgoryczony wynagrodzeniem, jakie otrzymał

za swe wojowania; zapłatą, jaką nasza ziemia Kainowa, macocha, a nie matka, nieodmiennie nikczemna i

podła, obdarza zawsze tych, co ją miłują i przykładowo jej służą: zapomnieniem, z zawiści płynącym jadem,

niewdzięcznością i hańbą. A największą ironią losu nieszczęsny mość Ambrosio, umierając, za jedyne

pocieszyciela miał swego osobistego przeciwnika, Giulia Mazariniego, jak on sam Włocha z urodzenia,

przyszłego kardynała i pierwszego ministra Francji - ten bowiem jedyny był przy jego łożu śmierci i ten jeno

wysłuchał starczych wyznań biednego, majaczącego generała: „Umieram honoru i reputacji pozbawiony...

Ograbili mnie z wszystkiego, z pieniędzy i czci... Byłem człekiem pocziwym... Nie takiej zapłaty wyglądasz po czterdziestu latach służby".

Kilka dni za ledwie po uśmierzeniu buntu osobliwą awanturę traf mi sprokurował. Zdarzyło się to tegoż

dnia, co żołąd wyplacano, a nasz regiment dostał dzień urlopu przed powrotem nad kanał Ooster. Całe

Oudkerk świętujący Hiszpanie we władztwo swe wzięli i nawet posepnym Flamandom, których takeśmy

byli rznąli kilka miesięcy wcześniej, z czół mars zemknął, gdy na miasteczko całe rzeki złota jęły płynąć. Jak

za dotknięciem różdżki, obecność wojska z pełnymi trzosami sprawiła, że i wiktuałów, które dotąd jakby

pod ziemię się zapadły, teraz wszędy było pełno. Piwo i wino - to drugie wyżej cenione w naszych

oddziałach, pierwsze zasię zwaliśmy, wielkiego Lopego idąc tu śladem, „oślimi szczynami" - lały się

strumieniami; nawet wątłe słońce tamtejsze przydało blasku ulicznym tańcom, hulankom i zabawom.

Domostwa opatrzone szyldami ze znakiem łabędzia albo dyni, czyli lupanary i karczmy (w Hiszpanii

posługiwaliśmy się odpowiednio gałązką wawrzynu i sosny) zbijały przedni interes. Jasnowłosym niewiastom o białej kompleksji gościnne uśmiechy na twarze powróciły, a niejeden mąż, ojciec i brat rad nierad spoglądał owego 1 dnia w inną stronę, gdy ich prawowita i rodzona krochmalila ci koszulę; najtwardszy snadź gładz mięknie pod wpływem brzęku złota, które i wolę skruszyć, i honor podreperować potrafi.

Lubo rzec się godzi, że Flamandki, wielce swobodne w obejściu i rozmowie, różniły się charakterem od

naszych obłudnych rodaczek, chętnie pozwalały się obłapiać i w liczka całować - i niewiele trzeba było

zachodu, by zadzierzgnąć przyjazne więzy z tamecznymi katoliczkami. Do tego stopnia, że siła ich

1) W tzw. talii hiszpańskiej występują następujące kolory: szpady (odpowiednik pików), złotka (odpowiednik kar),

pałki (odpowiednik trefli) i puchary (odpowiednik kierów).

2) Lope de Vega, El anzuelo de Fenisa (Wędka Feniksany).

3) Lope de Vega, El villano en su rincón (Wieśniak w swoim zakątku).

towarzyszyła naszym żołnierzom w powrotnej drodze do Włoch albo Hiszpanii - żadna aliści nie posunęła

się tak daleko, jak Flora, bohaterka Oblężenia Bredy, którą Pedro Calderón de la Barca z niewątpliwą

przesadą obdarzył wielkimi cnotami, iście kastylijskim poczuciem honoru i skłonnością do Hiszpanów,

czego po prawdzie ni ja, ni zgoła sam Calderón, nigdy nie spostrzeegliśmy u żadnej Flamandki.

Ale, ale. Wspominałem waszmościom, że tam w Oudkerk jak wszędy, gdzie wojsko stanie, cały orszak

żołnierskich małżonek, ladacznic, przekupniów, szulerów i podobnej hołoty rozstawił swe stragany tuż za

ogrodzeniem, a wojsko szwendało się od owego jarmarku do miasteczka i z powrotem, wyzbywając

się

niektórych łachmanów i nabywając nowe stroje, pióra do kapeluszy i inne szykowne wspaniałości -
snadź co

łatwo przyszło, łatwo pójdzie - i łamali przy tym wszystkie dziesięcioro przykazań, a wraz z nimi
uszczerbek

cnotom głównym i kardynalnym przynosząc. Flamandowie coś takiego zważ kermis [Kermis (niderl.)
-

kiermasz, odpust] , a Hiszpanie hulanką. Jak mawiają wiarusi, istna Italia.

Na swój sposób i moja młodość uciechy znacznej w tym wszystkim zaznała. Społem z druhem mym

Jaimem Correasem wałęsałem się owego dnia tędy i owędy, a lubo nie należałem do tęgich
wielbicieli wina,

suto sobie popiłem jak wszyscy, między innymi dlatego, że picie i gra to nader żołnierskie zajęcia, a
nie

brakowało znajomków, co wino darmo oferowali. Co się tyczy gry, niczemu nie ugrał, jako że
giermkowie

nie dostawali wypłat ni zaległych, ni bieżących, grać tedy nie miałem czym, przyglądałem się za to

żołnierzom, którzy kupili się wokół bębnów, co jako stoliki do kości albo do kart służyły. Bo
wprawdzie

ostatni nawet miles gloriosus [Miles gloriosus (łac.) - żołnierz samochwał, bohater komedii Plauta
(ok. 204 p.n.e.)

pod tym samym tytułem.] wśród naszych z dziesięciorgiem przykazań na bakier żył, wprawdzie ledwie
pisał i

czytał, atoli przecież gdyby alfabet składał się z symboli asa karcianego, wszyscy modlitewnik
przerobiliby z

równą biegłością, z jaką przerobili czterdzieści osiem stron talii.

Toczono tedy po membranach kości, rzetelne i szemrane, i tasowano obrazki, jak gdyby to było Potro
de

Córdoba albo sewilski Dziedziniec Pomarańczowy: gracze obstawiali grzeczne sumki, grając w
oczko, w

mariasza, w kanastę i w skata, a obóz ogromną stał się szulernią, pełną „wchodzę” i „odpadam”,

gdzie

prędzej wystrzałową wiązkę usłyszysz niżli wystrzał z arkebuz, kładź acan, pies trącał tego dupka, na Boga

i Przenajświętszą... W takich potyczkach najgłośniej zawsze rozprawiają ci, co w ogniu bitewnym miast

rapierem robić, łącniej w gacie narobią, za to owszem, śmiało sobie poczynają na tyłach, siekąc szpadą

malowaną lepiej niż własną1). Znalazł się owego dnia niejeden, co ze szczętem zgrał się z sześciomiesięcznej

wypłaty, o którą dopieroż bunt wszczywał, a teraz jęczał powalony ciosem Fortuny równie fatalnym, co

pchnięcie sztyletem. A nie mówię tego jeno w sensie metaforycznym, toż nieraz wyskakiwało skądciś jakie

kanciarskie nasienie, a to znaczony walet, a to piąty król, a to rtęcią przeważona kostka, a wtedy inni nuże

„jakem taki, jakem owaki" wołać, „gardłem waszmość odpowiesz", sztyletami na cudzej skórze żale

wypisywać, żelazem golić i krew hojnie puszczać, które to zabiegi nic wspólnego ze sztuką balwierską ni

hipokratejską nie miały: kładź acan, pies trącał tego dupka Na Boga i Przenajświętszą..

Cóż to za ciżba? Czy ludzie zacni?

Hiszpańscy żołnierze: znamiona męstwa,

Złorzeczenia, szcutki, tupet, przechwałki,

Obelgi tudzież inne wszeteczeństwa.2)

Przy wcześniejszej okazji napomknąłem już waszmościom, że Flandria wyzuła mnie podówczas z niewinności, lubo nie tylko z niej. Co się zaś tej pierwszej tyczy, to współ z Jaimem Correasem owego dnia

skierowałem kroki swe w stronę pewnego wozu, gdzie pod osłoną brezentu na rusztowaniu drewnianym

rozpiętego jeden czcigodny, takie czasy, kupler uwalniał wojsko od męskich trosk dzięki pomocy

trzech,

czterech parafianek:

Sześć czy siedem jest gatunków

Grzesznych dziewczek, co w tej porze

Przemierzają padół boży

W rozpasanym swym rynsztunku.3)

Owoż do jednego z tychże gatunków należeć musiała pewna niezmiernie wytworna i nadobna na liczku

podwika, całkiem młoda jeszcze i zgrabnej figury, i w nią też zainwestowaliśmy, mój druh i ja, znaczną

część łupu zdobytego podczas zdobywania Oudkerk. W sakiewkach niespecjalnie nam

lowego dnia dźwięczało, aliści dziewczę, pół-Hiszpanka, pół-Włoszka, co kazała zwać się Clara de

Mendoza – nigdy ladacznicy nie napotkał, która nie pyszniłaby się nazwiskiem niższym niż de Mendoza

albo de Guzman, choćby ze świniarczykowego plemienia się wywodziła - przychylnym patrzyła na nas

okiem z powodów dla mnie niepojętych. Chyba że to skutkiem naszego wieku młodocianego i jej

przekonania, że kto pacholę zadowoli, ten ma klienta na całe życie. Poszliśmy tedy do niej powdzięczyć się

raczej i popatrzeć, skoro kieszeń nie uprawniała nas do prawdziwego folgowania - aliści rzeczona Mendoza,

lubo zajęta sprawami ściśle z jej profesją związanymi, zdobyła się na to, by posłać nam czułe słówko i

zniewalający uśmiech, acz przyznać trzeba, że liczko jej zgoła nie panięńskim było. Wielce zalterował się

1) Durindana, zwana też Durendal - miecz Rolanda, wg legendy niegdyś należący do Hektora

tym wydarzeniem pewien żołnierz-zabijaka, co z nią rozkoszy właśnie zażywał, walencjanin o wąsiskach

paskudnych i szalbierskiej brodzie, człek wielce popędlivej i hultajskiej natury. I zaraz do swego „czmychać

mi stąd, ale już" dorzucił i cielesne połajanki, kopniakiem częstując druha mego, a policzek przeznaczając

dla mnie, każdy z nas dostał tedy swoją dolę. Bardziej niżli moja twarz ucierpiał honor, a skutkiem prowadzenia niemal wojskowego życia nie znajdowałem w sobie pobłażania, gdy kto miarę przebierał,

osobliwie zasię, gdy postrzegałem, że zbyt gwałtownie miarę lica mego chce zdjąć; tedy moja krew młoda

rychło znać o sobie dała: oto prawica powędrowała mi bezwiednie ku pasowi, za którym na krzyżu nosiłem

grzeczny sztylecik toledański.

- Wasza miłość raczy dać baczenie - ozwałem się – na nierówność, jaka między naszymi osobami zachodzi.

Nie wysunąłem broni z za pasa, wszelako gest mój godzien był zucha z Oñate. Mówiąc o nierówności,

miałem na myśli to, że byłem ledwie młodzikiem i giermkim, on zasię żołnierzem na schwał - ów

jednakowoż poczuł się dotknięty do żywego, tusząc, że cnoty jego w wątpliwość podałem. Dość powiedzieć,

że przytomność świadków dodatkowo rozjuszyła śmiałka, który na domiar złego i tę nade mną miał

przewagę, że pomiędzy pępkiem a grzbietem targał spory ładunek jerezu, co snadnie z tchnienia dawało się

zmiarkować. Bez zbędnych więc ceregieli kazał mi natychmiast gębę zamknąć, a sam ruszył na mnie niczym

zwierz dziki, chwytając za swą Durindanę.1) Gawiedź zaraz się rozstąpiła, nikt wtrącić się nie śmiał, bez

wątpienia uważając, że wiek już dozwala, by czyny me dorównały słowom. I niechże Bóg pokarze

wszystkich, którzy mnie w takich terminach ostawili, dając dowód, jak okrutna jest ludzka natura, gdy w grę

wchodzi widowisko; a nikt z ciekawskich za zbawiciela polowego się snadź nie uważał. A że w

takim

momencie języka już się wsunąć nie dawało, jedyne, com mógł uczynić, to wysunąć także mój sztylet, by

poła dotrzymać albo przynajmniej żeby nie zakończyć mej wojskowej drogi jako kurak z różną. Żyjąc u

boku kapitana Alatryste i mając za sobą szmat czasu na służbie we Flandrii spędzony, nabrałem niejakich

nawyków, poza tym patrzyła na mnie owa Mendoza. Nie spuszczać tedy z oczu walencjanina, cofnąłem się

przed punktą jego rapiera, osobliwie, że jął już zadawać ciosy na prawo i lewo, które po prawdzie życia

odebrać nie mogły, ale pokieroszować owszem. Ucieczka w grę nie wchodziła, choćby się paliło, a stawić

mu czoła także nie mogłem z uwagi na niejednakie uzbrojenie. Ogarnęła mnie chętka, by rzucić weń

sztyletem, aliści pomimo całej kabały rozum pracować mi nie poniechał, zaraz też pomiarkowałem, że

gdybym chybił, niezłego piwa bym sobie nawarzył. Tamten napierał na mnie, wywijając niczym bisurman,

ja się cofałem, pamiętając, że o ładnych kilka cali żelaza krótszy, że drobniejszy, węższy i mniej w

bojach zaprawiony, on wszak po trzeźwemu niezłe rapierem władał, sprawnym był wiarusem, ja natomiast

stawałem mu naprzeciw z nędznym sztylecikiem, a hart ducha mój za tarczę posłużyć mi nie mógł.

Kampania ta przynieść może – jakem kalkulował - łup w postaci co najmniej jednej rozbitej głowy: mojej.

- Zbliź się, huncwocie - powiedział frant.

Ledwie te słowa wyrzekł, wino sprawiło, że się zachwiał, toteż zbliżyłem się doń natychmiast, nie musiał

mi tego powtarzać. Na tyle biegle, na ile wiek mi dozwalał, uszedłem jego broni, twarz lewym ramieniem

zasłaniając, żeby mi jej choćby przypadkiem nie poharatał, i zadałem mu zacy cios sztyletem od prawej do

lewej i od dołu do góry. Gdybym pociągnął dłużej, nasz monarcha pozbawiony by został żołnierza, a

Walencja jednego ze swych umiłowanych synów. Fortunnie cofnąłem się na czas, samemu bez szwanku ze

starcia wychodząc, a tamtemu jeno pachwinę raniąc - w nią właśnie ostrze swe kierowałem - wyrywając mu

z odzienia rzemyczek, a z ust żalosne „Cap de Deu!” [Cap de Deu (katal.) - Boże Najwyższy] które gromki

śmiech wśród zebranych obudziło, a tu i ówdzie i brawa się ozwały, z czego mogłem pocieszenie wziąć, że

zbiegowisko po mojej stało stronie.

Atak mój wszelako okazał się błędem, wszyscy bowiem zmiarkowali, że nie jestem bezbronnym

pocziwcem, przeto nikt już wtrącać się nie zamierował, aże nawet druh mój Jaime Correas zagrzewał mnie

do boju, zachwycony mą postawą podczas potyczki. Najgorsze zaś, że walencjanin skutkiem draśnięcia

trzeźwość odzyskał i teraz nacierał już zgoła pewnym krokiem, gotując się iście rzeźnicki cios mi zadać –

rzecz tedy nabrała całkiem poważnych kształtów. Zatrwożony perspektywą odejścia w inne okolice bez

spowiedzi, a innego wyjścia nie mając, jak bić się, postanowiłem rzucić się drugi i ostatni raz, by wcisnąć się

między jego rapier a brzuch, dopaść go tam jak najbliżej i kłuć, i kłuć, ile wlezie, aż któryś

..

z nas dostanie bilet w jedną stronę do piekieł. Z braku rozgrzeszenia i świętych olejów już bym stosowne

wyjaśnienia miał napodorędziu. Zajmująca rzecz: gdym wiele lat później przeczytał u pewnego Francuza, że

„Hiszpan, do sztychu się szykując, zadaje go tak, jakby go mieli zaraz na drobno posiekać”, przyszło

mi do

głowy, że nikt trafniej nie oddał desperacji, jaką odczułem byłem w owej chwili, stojąc twarzą w twarz z

walencjaninem. Wstrzymałem wówczas bowiem oddech, zacisnąłem zęby, wczekałem, aż przeciwnik mój

zakończy kolejny cios oburącz, a gdy punta jego rapiera doszła do najdalszego końca zakreślanego w powietrzu łuku, jużem skakał doń z wyciągniętym przed się sztyletem. I tak by się stało, do diaska, gdyby w

tymże momencie za kark i za ramię nie chwyciły mnie czyjeś silne dłonie, a czyjaś postać nie wsunęła się

pomiędzy mnie a rywala mego. A kiedym wzrok podniósł, ze zdumieniem ujrzałem nad sobą jasne i chłodne

oczy kapitana Alatryste.

- Acan jesteś mocarny, a znalazłeś sobie trochę za małego przeciwnika.

Scena się nieco zmieniła, dysputa toczyła się w innym miejscu, nieco bardziej dyskretnym. Diego Alatryste

i walencjanin znajdowali się teraz jakie pięćdziesiąt kroków dalej u stóp wysokiej na osiem, może dziesięć

łokci grobli, która zasłaniała ich od strony obozu.]\ja jej szczycie zasię stali druhowie pana mego i trzymali

ciekawskich z dala od wydarzeń. Czynili to, rzekłbyś, od niechcienia, ustawili się bowiem po prostu w

nieprzepuszczalne ogrodzenie. Byli wśród nich Llop, Rivas, Mendieta i jeszcze kilku, w tym także Sebastian

Copons - on to właśnie swymi żelaznymi dłońmi chwycił mnie był w trakcie mej potyczki. Wedle niego i ja

sterczałem, wyciągając szyję, by śledzić, co się dzieje na dole nad brzegiem kanału. Wokół mnie przyjaciele

kapitana Alatryste pozory czynili, popatrując to na jedną, to na drugą stronę, a ich srogie spojrzenia, podkręcane wąsy i dłonie co i raz na główkach rapierów się zaciskające przepędzały tych, co

wspiąć się

chcieli, by rzucić okiem. Gwoli należytego przebiegu rzeczy całej przywołali również dwóch znajomków

walencjanina na wypadek, gdyby później o zajściu musiałby kto zaświadczyć.

- Chyba nie chcesz acan - dodał Alatryste - żeby cię potem zwano Dzieciożercą.

Wyrzekł te słowa tonem jak lód zimnym i wielce szyderyczym, na co walencjanin wybąkał jakies „pies

trącał", któreśmy wszyscy na szczycie nasypu posłyszeli. Wszelkie wapory winne już się zeń ulotniły, teraz

człek ów lewą dłonią brodę i wąs gładził nerwowo, mocno zalterowany, lubo w prawicy wciąż dzierzył

obnażoną broń. Na przekór groźnej postawie, przekleństwu w ustach zmielonemu i świecącemu żelazu w

ręku snadnie widać było, że nijakiej ciągotki do bijatyki nie ma - inaczej już by się na kapitana rzucił, byleby

go uprzedzić i pierwszy cios zadać.

Przyszedł w owo miejsce, powodowany fałszywym wstydem i niechlubnym wynikiem potyczki ze mną,

aliści coraz to zerkał na szczyt grobli, w nadziei może, że ktoś jednak z odsieczą mu przyjdzie, nim do czego

dojdzie. Głównie jednakowoż na ruchy kapitana Alatryste baczenie dawał, ten zaśię powoli, jakby całą

wieczność miał do dyspozycji, zdjął kapelusz, następnie –wciąż nader niespiesznie - uniósł nad głowę

prochownicę z dwunastoma apostołami, położył ją na ziemi obok arkebuza, na samym brzegu kanału, na

koniec jął z niezmienną flegmą rozpinać kaftan.

- Acan zaprawdę jesteś mocarny... - powtórzył, oczu z tamtego nie spuszczać.

Słyszając, że trzeci już raz „acan" się doń zwracają, w dodatku z tak nieubłaganą drwiną, walencjanin sapnął

zajadle, rzucił okiem na szczyt grobli, uczynił jeden krok naprzód i jeden w bok i przelozył rapier z prawicy

do lewicy. Jeśli rozmówca nie był krewnym, przyjacielem albo osobą duzo niższej kondycji, forma „acan”

miast „waszeć”, „waszmość” lub „wasza miłość” brzmiała wielce nieuprzejmie, a każdy Hiszpan, że z natury

podejrzliwy, tytuł taki mógł mieć za obraźliwy. Skoro wspomnimy, że w Neapolu hrabia de Lemos i mość

Juan de Zuñiga za broń chwycili, nie tylko oni, ale i całe świty ich i służba, ogółem jakie sto pięćdziesiąt

kawałków żelaza, a wszystko dlatego, że jeden drugiego zatytułował „wielmożny panie” miast

„ekscelencjo”, a drugi tamtego „wasza miłość” miast „wielmożny panie” - łatwiej pojmiemy rzeczy sedno.

Widowym było, że walencjaninowi owo „acanowanie” mocno nie w smak i lubo nadal się wahał - snadź z

widzenia i z reputacji mąż naprzeciw stojący z pewnością był mu znany - poczuł, że oto bić się zaraz przyjdzie. Gdyby teraz wsunął z powrotem rapier do pochwy wobec człeka, który „acanem” go zwał, rapier,

tak zuchwale dotąd w dłoni dzierzony, wielką sprokurowałby sobie plamę na honorze. A w kastylijskiej

mowie słowo „honor” brzmiało podówczas nader dumnie. Nie darmo my, Hiszpanie, przez półtora wieku

walczyliśmy w Europie, dając się posiekać za prawdziwą wiarę i za własny honor, gdy tymczasem luteranie,

kalwini, anglikanie i inne heretyckie nasienie, lubo suto strawę swą Biblią i wolnością sumienia

przyprawiali, do walki stawali jeno w imię tego, by ich kompanie indyjskie i kupcy zarabiali większe krocie,

honor zasię za nic mieli, jeżeli nie przynosił wymiernych pożytków. Arcyhiszpańska to cecha kierować się

raczej „orapronobis” i „co powiedzą” niżli względami praktycznymi. Wiadomo zresztą, jak się to skończyło

dla Europy i dla nas samych.

- Nikt tu waszmości na wypominki nie zapraszał - wychrypiał walencjanin.

- Zgoda - skinął głową Alatryste, jakby kwestię wypominek do cna przetrawił. - Pomyślałem aliści, że taki

mocarny żołnierz jak acan potrzebuje godnego siebie przeciwnika... Mam ci tedy nadzieję posłużyć.

Stał w samej koszuli, lecz ni jej łąty, ni pocerowane portki, ni stare buty pod kolanami podwiązane lontami

Od arkebuza w niczym nie umniejszały wspaniałej jego postaci. Woda w kanale zamigotała, gdy odbił się

w niej rapier kapitana, z pochwy właśnie wyciągnięty.

- Czy byłbyś łaskaw zdradzić mi swe nazwisko?

Walencjanin, który rozpinał właśnie swój kaftan, równie pocięty i pocerowany jak kapitańska koszula,

ponuro głową pokręcił. Wzroku przy tym z rapiera przeciwnika nie spuszczał.

- Zwą mnie Garcia de Candau.

1 Pasy (Aragonia), zamki (Kastylia), lwy (Leon), łańcuchy (Nawarra) –motywy hiszpańskiej heraldyki.

- Jestem zaszczycony - Alatryste sięgnął drugą dłonią do tyłu, skąd wydobył zaraz swój lewak z zakrzywioną gardą.

- Mnie zasię...

- Wiem, jak się zwiesz - uciął tamten. - Jesteś acan tym malowanym kapitanem, co się tytułuje szarżą, której nigdy nie otrzymał.

Żołnierze stojący na szczycie nasypu popatrzyli po sobie. Wino snadź dodawało walencjaninowi buty.

Znając wszak Diega Alatryste i wiedząc, że można by się wszak wykpić jedną lekką raną z głupia frant

zadaną i paroma tygodniami szpitala polowego, takie harde odzywki gwarancją były rychłego końca.

Wszyscyśmy tedy zamarli, by ni jednego szczegółu nie uronić.

I wtedy ujrzałem, że Alatryste uśmiecha się. A żem sporo czasu u jego boku już był przeżył, znałem ów uśmiech na wylot: ot, grymas pod wąsem, posępny jak przepowiednia, krwiożerczy jak oblicze wilka znużonego perspektywą zagryzienia kolejnej ofiary. Już nie z racji afektu czy z racji głodu, ale z zawodowego nawyku.

Kiedy odciągnięto już walencjanina z brzegu kanału, gdzie leżał na poły w wodzie pogrążony, pozostała po nim czerwona plama na powierzchni delikatnych fal. Wszystko odbyło się z zachowaniem prawideł fechtunku i przyzwoitości – walka była ostra, cięcia szybkie, stopy poruszały się w takt ruchów kapitańskiego sztyletu, aż wreszcie rapier pana mego sięgnął upatrzonego celu. Zaraz też stwierdzono zgon

pyszałka - owego dnia przy karcianych kłótniach i jatkach naliczono jeszcze trzech poległych, krom następnego pół tuzina takich, co z rozmysłem zadżgani zostali - świadkowie zasię, żołnierze króla naszego i ludzie honoru, bez krępacji zeznali, że walencjanin w sztok urznięty wpadł sam do kanału i własną bronią się

naszpikował. Profos regimentarski przeto z wielką ulgą uznał rzecz za zamkniętą i każdy poszedł swoimi sprawami się zająć.

A poza tym owej nocy nastąpił atak Niderlandczyków, tedy i profos, i marszałek polny, i wojsko całe, i kapitan Alatryste, i ja sam wreszcie - Bóg mi świadkiem - wszyscyśmy mieli ważniejsze ambarasy na głowie.

V. WIERNA PIECHOTA

Wróg zaatakował o północy, a wysunięte straże zostały zgoła odsunięte na tamten świat, padłszy pod razami nieprzyjacielskiego żelaza, nim zdążyły okiem mrugnąć. Maurycy Nassau wykorzystał niespokojny czas rokoszu i przez szpiegów swych powiadomiony poszedł na Oudkerk od północy, usiłując posłać

ku

Bredzie odsiecz niderlandzko-angielską, liczącą znaczne siły piechoty i jazdy, które podeszły pod nasz obóz

i usiekły

w mig nasze posterunki. Nasz regiment z Cartageny i jeszcze jeden, w pobliżu obozujący regiment piechoty walońskiej pod wodzą marszałka polnego Karla Soesta, dostały rozkaz natychmiastowego wyjścia

naprzeciw wrażym oddziałom i opóźnienia ich marszu, nim nasz generał Spinola zdoła kontratak

przygotować. Skutkiem czego w środku nocy zbudziły nas tarabany, piszczałki i komendy „do broni”. I nikt,

kto tego ni razu nie przeżył, nie potrafi imaginować podobnego zamieszania i rozgardiaszu: w świetle

poходni widać było bieganinę, przepychanki, nagłe skoki, oblicza spokojne, poważne i zatrwożone, wokół

rozlegały się sprzeczne rozkazy, wrzaski kapitanów i sierżantów, usiłujących ustawić w szeregi zaspane i na

wpół ubrane wojsko, które niezdarnie nakładało na siebie wojenny rynsztunek; a wszystko to przy

ogłuszającym warkocie bębnow od obozu po miasteczko, gdzie gawiedź tłoczyła się już w oknach i na

murach i patrzyła na zwalone namioty, rżące wniebogłosy konie, poskramiane dłońmi, które już ferwor

bliskiej walki czuły.

Blask rapierów, pik, morionów i pancerzy. Pomszczone sztandary, z pokrowców wyciągnięte i już

powiewające, krzyże burgundzkie, aragońskie pasy, zamki, lwy i łańcuchy 1), lśniące w czerwonym

świecie pochodni i ognisk.

Kompania kapitana Catona wymaszerowała dosyć wcześnie, za plecami zostawiwszy ogień w warownym

miasteczku i w obozie, i zanurzyła się w mrok, spowijający groblę tudzież okoliczne rozległe mokradła i

torfowiska. Z ust do ust pomknęła pogłoska, że idziemy w stronę młyna Ruijter, wedle którego

Niderlandczyk musiał przechodzić, kierując się na Brede, a było to miejsce ciasne i, jak powiadali, jedyne,

gdzie można się było przez wodę w bród przeprowić. Ja pospołu z innymi giermkami szedłem razem z

kompanią Diega Alatryste, dźwigając jego arkebuz i drugi, który należał do Sebastiana Coponsa. Obydwaj

maszerowali tuż obok, dlatego w bagażu mym znajdował się jeszcze zapas prochu, pociskówi część pozostałej amunicji - krótko mówiąc, byłem jak muł objuczony, które to ćwiczenie, że na marginesie wspomnę, z każdym dniem coraz wyraźniej mięśnie me kształtowało. Bo też dla Hiszpana - cóż poradzić,

zawsześmy się własną niedolą karmili - nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Albo na odwrót:

Wiecie, panowie i panie,

Jak to podczas wojny bywa:

Ze zaszczytów zdobywanie

W wielkim znoju się odbywa.

Marsz po ciemku nie był łatwy, księżyc bowiem świecił słabo, a głównie za chmurami się krył, toteż coraz

to któryś wojak potykał się albo oddział zatrzymywał, przez co jedni na drugich wpadali, a wówczas jak

grobla długa leciały „psiekrwie” i „diaski” niczym grad pocisków. Mój pan, jak to miał we zwyczaj,

zachowywał milczenie, a ja podążałem za nim jak cień za cieniem, i tak szliśmy, a tymczasem w głowie mej

i w sercu aż huczało od zmiennych nastrojów: z jednej strony rwałem się, jak to młodzian, do rychłego boju,

z drugiej zaś się lękałem się niewiadomego, co wszechobecna ciemność dodatkowo potęgowała, i

niedalekiego starcia z licznym wrogiem w otwartym polu. Z tego też powodu zapewne tak mnie było

osobliwie poruszyło, kiedy w Oudkerk, zaraz po sformowaniu szyku w świetle pochodni, nawet najbardziej

zatwardziali ateusze znaleźli chwilę spokoju, by na kolana paść i głowy odkryć, gdy tymczasem kapelan

Salanueva udzielał nam wszystkim po kolei ogólnego rozgrzeszenia - ot, na wszelki wypadek. Albowiem

lubo nasz pater był ponurym imbecylem, co łacinę na amen w winie potrafił utopić, stanowił wszelako

jedyną oazę świętości, jaką pod ręką mieliśmy. Jedno przecie drugiemu na przeszkodzie nie stoi, a nasi

żołnierze, gdy w trudne terminy popadali, zawsze woleli otrzymać ego te absolvo choćby i z niedoskonałej

ręki, niżli dać się zjeść kostusze na surowo.

Był atoli szczegół, który wielce mnie zalterował, a sądząc po cichych rozmowach naokoło, i starym

wiarusom dał do myślenia. Przemierzając jeden z pobliskich mostów, ujrzeliśmy, że saperzy przy świetle

latarni jęli siekier i łopat dobywać, by po przejściu oddziału konstrukcję ową roztrzaskać - bez wątpienia

odcinaliśmy w ten sposób drogę Niderlandczykowi, ale oznaczało to również, że sami z tej strony nijakiej

odsieczy spodziewać się nie możemy oraz że tutaj nie wchodziło w grę żadne „ratuj się, kto może”.

Oczywiście pozostały i inne mosty, aliści wystawcie sobie, waszmościowie, jakie wrażenie rzecz taka czyni,

kiedy maszerujecie po ciemku na spotkanie wroga.

Most mostem, w każdym razie do młyna Ruijter dotarliśmy tuż przed świtem. Stamtąd dobiegały nas już

odgłosy strzelaniny, jaką wysunięte oddziały naszych arkebuzerów wymieniały z napotkanymi luteranami.

Tu na miejscu płonęło ognisko i w jego świetle zobaczyłem młynarza wraz z rodziną, żoną i czwórką małych

pacholąt. Cała szóstka była w samych koszulach i, mocno bojaźnią zdjeta, spoglądała bezradnie, jak w

zajmowanym dotąd przez nich domostwie żołnierze wyważają wniścicia i okna, umacniają górne piętro i

stawiają barykadę, ze skromnych mebli utworzoną. Płomienie odbijały się w hełmach i pancerzach, dzieciaki

plakały przerażone najściem bezwzględnych mężów w stal odzianych, młynarz zasię za łepetynę się chwycił,

widząc, że dobytek jego na zatracenie idzie, lubo nikt się tym nie przejmuje. Na wojnie tragedia z czasem

staje się codziennością, a serce żołnierskie twardnieje tak wobec cudzej niedoli, jak i wobec własnej. Młyn

nasz marszałek polny wybrał na swoje stanowisko dowodzenia i obserwacyjne, i widzieliśmy, jak mość

Pedro de la Daga przy drzwiach z marszałkiem walońskim konferuje, obydwaj w towarzystwie sztabów i

chorągwi. Raz po raz zerkali na odległe o jakie pół mili ognie, niby płonące przysiółki, tam bowiem zapewne

grupowały się główne siły niderlandzkie.

Na polecenie dowódcy posunęliśmy się jeszcze dalej, za plecami młyn zostawiając, po czym kompanie

rozwinęły szyki wśród płotów i drzew, brodząc w przesiąkniętej wilgocią trawie, od której nogi mokły nam po

kolana. Rozkaz brzmiał: nie rozpalać ognisk i czekać. Co jakiś czas wystrzał pobliski lub fałszywy alarm

poruszenie w szeregach budził, rozlegały się zaraz różne wojskowe okrzyki w rodzaju „stój, kto idzie”,

albowiem strach i czuwanie miernymi są odpoczynku sprzymierzeńcami. Żołnierze z awangardy trzymali

lonty zapalone, co w mroku zdawały się jakoby robaczki świętojańskie.

Najbardziej doświadczeni w mokrą trawę się pokładli, chcąc przed walką odetchnąć, pozostali zasię

nie

chcieli albo nie mogli, najwyższą czujność przeto zachowywali, ciemność wzrokiem przebić usiłując, i

bacznie wsłuchiwali się w każdy wystrzał, jaki oddawały wysunięte do przodu oddziały, które pierwszą

potyczkę właśnie toczyły. Ja na krok nie odstępowałem kapitana Alatryste, który wespół ze swą drużyną udał

się na spoczynek pod płot. Pośpieszałem za nimi po omacku, kilkakrotnie niepomyślnym trafem twarz i

dłonie cierniami sobie kalecząc. Parę razy pan mój wołał na mnie, by upewnić się, że jestem w pobliżu.

Nareszcie uwolnił mnie od swego arkebuz, Sebastian Copons także, po czym nakazali mi, bym lont z obu

stron zapalony w pogotowiu trzymał. Dobyłem tedy z plecaka krzesiwo i krzemień, korzystając z osłony,

jaką płot mi dawał, wypełniłem dane mi polecenie, tego na lont podmuchałem, zatknąłem go w

rozszczepiony i w ziemię wbity kijek, by sznur nie zawilgl, dzięki czemu wszyscy mogli teraz zeń

skorzystać. Co uczyniwszy, skuliłem się wedle pozostałych, by po marszu odsapnąć i może nawet oko na

chwile zmrużyć. Nadaremno. Ziąb panował dojmujący, a skutkiem mokrej trawy od dołu i nocnej rosy od

góry odzienie nasze na wskroś przesiąkło, co widząc, Belzebub ręce musiał zacierać.

Bezwiednie przylgnąłem do ciała Diega Alatryste, który leżał spokojnie z arkebuzem między nogami.

Czułem woń jego brudnego ubrania, zmieszana z zapachem skóry i stali, atoli szukałem przede wszystkim

ciepła. Nie stronił ode mnie, a gdym przywarł do niego, całkiem znieruchomiał. I dopiero później, kiedy

świtać jęło, a mnie dygot złapał, pochylił się nade mną i okrył mnie swą starą żołnierską kurtą.

Niderlandczycy na tyle byli uprzejmi, że spadli na nas dopiero z pierwszym brzaskiem. Wraża lekka jazda

rozpędziła wysunięte oddziały naszych arkebuzerów i rychło mieliśmy tuż przed sobą ich zwarte szyki,

zmierzające do zdobycia młyna Ruijter i otwarcia drogi, przez Oudkerk na Bredę wiodącej.

Chorągiew kapitana Catona dostała rozkaz dołączenia do pozostałych kompanii regimentu na błoniach płotami i drzewami otoczonym, pomiędzy trzęsawiskiem a drogą, po drugiej stronie traktu usadowiła

się piechota walońska mości Karla Soesta - z flamandzkich katolików, wiernych naszemu monarsze, złożona

- dzięki czemu siły nasze rozciągnęły się na ćwierć mili wszcz, uniemożliwiając luteranom marsz na

Oudkerk. I klnę się waszmościom, że osobliwie dech w piersiach zapierał widok owych dwóch regimentów,

oczekujących nieruchomo pośrodku łąk, ze sztandarami wśród pik uniesionych, z lufami arkebuzów i muszkietów wyszczerzonymi na przedzie i po bokach - gdy tymczasem na szczytach okolicznych grobli jęło

się pojawiać mrowie nieprzyjaciół, sunących nieubłaganie naprzód. Owego dnia stawaliśmy jeden przeciwko

pięciu, rzekłbyś - Maurycy Nassau ogołocił Stany zbuntowane z ludzi, by wszystkich przeciwko nam rzucić.

- Na życie króla naszego, bój to będzie zażarty - posłyszałem słowa kapitana Catona.

- Szczęśliwie, że artyleria z nimi nie ciągnie - zauważył chorąży Coto.

- Na razie.

Oczy mieli zmrużone i spod nisko nasuniętych kapeluszy okiem znawców baczenie dawali, jak zresztą

wszyscy Hiszpanie, na lśniące piki, pancerze i hełmy, stopniowo zalewające teren naprzeciw regimentu z

Cartageny położony. Drużyna Diega Alatryste wysforowała się naprzód, przygotowała arkebuzy, muszkiety

na forkietach wsparła, pociski załadowała, lonty z każdego końca podpaliła i tym sposobem wzmacniała

osłonę lewego skrzydła, w pancerze odzianego i najeżonego gołymi pikami. Każdy pikinier o łokieć stał

oddalony od sąsiada. Pierwszy szereg, lekko opancerzony, broń trzymał na ramionach, drugi zaś, osłonięty

stalowymi morionami, naszyjnikami, napierśnikami i naplecznikami, pochylił wsparte o ziemię piki ćwierć

sta piędzi mierzące i czekał. Ja stanąłem na odległość głosu od kapitana Alatryste, w każdej chwili gotowy

dostarczać mu i towarzyszom jego zapasów prochu, ołowiu i wody, gdyby tylko potrzebę taką odczuli.

Spojrzenia me na przemian biegly ku gęstniejącym coraz bardziej masom Niderlandczyków i ku

niewzruszonemu obliczu mego pana i pozostałych żołnierzy, którzy stali spokojnie i co najwyżej uwagę jakąś

między sobą wymieniali, rzucali skąpe zdania, zmawiali pod nosem zdawkową modlitwę, podkrećali węża

albo językiem po wargach wysuszonych przesuwali. I takóž trwali w oczekiwaniu. Rychłą walką

rozgorączkowany, chcąc się użytecznym okazać, podszedłem do Diega Alatryste, by mu wody podać lub

czego by tam sobie wieszował, on aliści ledwie mnie zauważył. Kolbę arkebuza oparł na ziemi, dłonie

położył na lufie, dymiący lont wprzódy wokół lewego przegubu obwiązawszy, i pilne baczenie dawał na

nieprzyjacielskie oddziały. Twarz miał pograżoną w cieniu przez rondo kapelusza rzucanym, napierśnik z

bawolej skóry skrupulatnie dopięty pod przewiązanym wypłowiałą czerwoną wstążką pasem z dwunastoma

apostołami, rapierem, lewakiem i puszką prochu. Orli profil jego, uwydatniony dzięki gęstym wężom,

ogorzała skóra i zapadnięte policzki, od dnia poprzedniego niegolone - wszystko to wrażenie sprawiało, jak

gdyby jeszcze chudszy był niżli zazwyczaj.

- Uwaga z lewej! - ostrzegł Catón, zarzucając pelerynę ze znakami na ramię.

Od tamtej strony, skroś pobliskie torfowiska i zagajniki, nadciągała niderlandzka lekka jazda i teren rozpoznawała. Dalszych komend nie czekając, Garrote, Llop i jeszcze czterech albo pięciu arkebuzerów

postąpiło kilka kroków naprzód, podsypało nieco prochu na panewki, wymierzyło skwapliwie i spuściło

deszcz pocisków na schizmatyków, którzy zaraz zaciągnęli cugle i zrejterowali. Po drugiej stronie drogi

wróg już na regiment Soesta nacierał, prażąc obficie z arkebuzów, Walonowie wszelako dzielnie na ogień

ogniem odpowiadali.

Z miejsca mego dostrzec mogłem, jak znaczny konny oddział zbrojnych zbliża się do nich, by szarżą wyłom uczynić, ale już piki walońskie pochyliły się na ich powitanie niczym samodzielne wojsko z jesionu i

stali.

- Idą - ozwał się Catón.

Chorąży Coto, błyszczącą kolczugą okryty mając korpus i ramiona (dźwigał wszak sztandar, co narażało

go na strzały i wszelaki szwank z wrażej ręki), poderwał drzewce z dłoni swego podwładnego i ruszył, by

dołączyć do pozostałych znaków w środku naszych sił. Spomiędzy drzew i płotów, ostro odcinających się na

tle niskiego jeszcze słońca, całymi setkami wyłazili Niderlandczycy, zaraz też na błoniach na nowo w szyki się

ustawiali. Krzyczeli przy tym gwoli większego animuszu - wśród nich niemało Anglików szło, również prędkich

do wrzawy, co i do popijawy - wkrótce też, ani na chwilę marszu nie niechając, uformowali zacną linię jakie

dwieście kroków od nas, a arkebuzerzy miotali pociski w naszą stronę, lubośmy jeszcze w ich zasięgu nie

byli. Napomykałem już waszmościom, że wprawdzie jużem był szmat czasu we Flandrii zmitrężył, ale była

to pierwsza moja bitwa w otwartym polu, dlatego nigdy dotąd nie miałem sposobności widzieć Hiszpanów,

jak w gotowości bojowej wroga oczekują. Najosobliwsze było milczenie i absolutny bezruch tych

1 posępnych, zarośniętych mężczyzn, co przybyli z najbardziej buntowniczego kraju na świecie, teraz zasię

patrzyli, jak nieprzyjaciel podchodzi, patrzyli bez jednego słowa, drgnienia czy miny, które z rozkazami

1 Tirso de Molina, *Quien calla, otorga* (Milczenie oznacza zgodę).

Najjaśniejszego Pana byłyby niezgodne. Owego dnia właśnie, wedle młyna Ruijter, zmiarkowałem

wyraźnie, dlaczego to naszej piechoty podówczas i jeszcze przez wiele lat najbardziej się w Europie

obawiano: owóz regiment podczas bitwy przeistaczał się w doskonałą, zdyscyplinowaną maszynę wojenną,

w której każdy wojak miejsce swe rozumiał. Na tym polegała ich siła i ich duma. Oto wielka zbieranina

ludzka, ze szlachciców, awanturników, łotrów i szumowin z całego królestwa złożona, a przecie rzetelna

walka za katolickiego monarchę i za prawdziwą wiarę przydawała każdemu z nich, nawet człękowi

najpodlejszego autoramentu, godności, której nie uświadczylbyś nigdzie indziej:

Na Flandrię zmieniłem ziemię ojczystą,

Zem nie pierworodny, z kwitkiem zostałem.

W pole ruszam więc z oręża asystą,

By niedolę zmóc lub rozstać się z ciałem. 1)

... jak trafnie, a i z naturą niniejszej opowieści w zgodzie napisał płodny geniusz toledański, brat Gabriel

Tellez, bardziej znany jako Tirso de Molina. A że niepodważalna fama szła za naszymi regimentami, toteż i

ostatni chudopacholek chwycił lada wicher w żagle własnego honoru, by szlacheckim imieniem się chełpić:

Ród mój ma we mnie początek, ,

Snadź lepiej jest się zajmować

Nowego rodzaju zniszczeniem

Niżli starego zniszczeniem,

Gdy spadnie srom na twą głowę.

Niderlandczycy wprowadzili ni nosów nie zadzierali, ni wagi żadnej do rodowodów nie przykładali, aliści

owego ranka nacierali nader mężnie, sunęli prosto na Brede, stopniowo odległość zmniejszając: ołowiane

kule ich muszkietów wciąż padały na trawę, szkody nie czyniąc, ale wcale blisko nas. Spostrzegłem, że nasz

szczelnie osłonięty mediolańską zbroją marszałek polny, mość Pedro de la Daga, co wedle sztandarów się

trzymał, jedną dłonią nakłada szyszak na głowę, a drugą buławę swą unosi.

Najpierw ozwał się wielki taraban, w mig też zawtórowały mu pozostałe bębny regimentu. Warkot ten

zdawał się końca nie mieć, a krew się niemal w żyłach ścinała, bo naokoło zapanowałaśmiertelna cisza. Sami

Niderlandczycy, tak blisko już będący, żeśmy zgoła mogli rozróżnić ich oblicza, odzienie i broń, też na

moment ucichli i zawahali się na odgłos owego łomotu, który dobiegał od strony nieruchomych szeregów,

przejścia im broniących. Zaraz atoli, przez kaprali i oficerów ponaglani, podjęli marsz i krzyk swój na nowo.

Znajdowali się całkiem nieopodal, jakie sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt kroków, piki i arkebuzy mieli w

pełnej gotowości. Widać było nawet rozżarzone końce ich lontów.

I naówczas przez regiment przebiegło wezwanie, gromkie i dufne, i coraz bardziej na sile przybierało,

biegnąc od szeregu do szeregu, aż nareszcie do cna zagłuszyło łoskot tarabanów:

- Hiszpania!... Hiszpania!... Naprzód, Hiszpanio!

Owo „naprzód” było starożytnym zawołaniem i zawsze jedno oznaczało: strzeżcie się, bo oto Hiszpania

naciera.

Słyszac to, ażem oddech wstrzymał i na Diega Alatryste znowu spojrzałem, ale nie zdołałem zmiarkować,

czy on też ów okrzyk powtórzył. W takt bębnów pierwsze szeregi hiszpańskie poszły naprzód, on zaś wraz

z nimi, ramię w ramię z towarzyszami, arkebuz mając w pogotowiu. Po jednej jego stronie, bardzo blisko

kapitana Catona, szedł Sebastian Copons, po drugiej Mendieta, tak ciasno, że szpilki byś nie wetknął.

Maszerowali wszyscy miarowo, powoli, równo i dumnie, jakby właśnie przed samym królem defilowali. Ci

sami wojacy, co jeszcze kilka dni temu bunt podnosili z powodu niewypłaconego żołdu, teraz kroczyli z

zaciśniętymi zębami, wąsami nastroszonymi i gęstymi brodami, w łachmanach osłoniętych natłuszczoną

skórą i błyszczącą stalą, nieustraszeni i groźni, z wroga oczu nie spuszczaali - a za nimi jeno dym

podpalonych lontów. Pobiegłem w ślad za nimi, by niczego nie uronić, lubo kule nieprzyjacielskie świs-

tały już nad naszymi głowami - piechota luterańska i arkebuzerzy byli tuż-tuż. Szedłem, tchu nie mogąc

złapać, ogłuszony łomotem mej własnej krwi, która tętniła mi w żyłach i w bębenkach, jakbym całą armię

doboszów w sobie nosił.

Pierwsza palba niderlandzka zabrała nam kilku ludzi, a szyki nasze czarną chmurą spowiła. Kiedy

dym się

rozwiął, ujrzałem, że kapitan Catón unosi buławę. Na znak ów Alatryste i jego towarzysze bez słowa stanęli,

dmuchnęli w lonty, wycelowali arkebuzy i przytknęli do nich policzki. Tak oto, trzydzieści kroków od

nieprzyjaciela, Stary Regiment z Cartageny wszedł do bitwy.

- Zewrzeć szeregi!... Zewrzeć szeregi!

Słońce od dwóch godzin stało już na niebie, a regiment bił się od samego świtu. Wysuniętym oddziałom

arkebuzerów hiszpańskich długo udawało się utrzymać pozycje, wielkie przy tym szkody czyniły wśród

wrażych sił. Kiedy jednak natarła na nie lekka jazda, strzelając, kłując i siekąc, cofnęli się, ani na chwilę

wszelako pleców lutrom nie pokazując, i na powrót wtopili się w główny korpus regimentu, gdzie rychło

sformowali, wspólnie z pikinierami, ludzki mur nie do przebycia. Ledwie na skutek szarży albo palby wyłom

w nim powstawał, zaraz nowi na miejsce zabitych wchodzili, tedy z każdym nowym atakiem

Niderlandczycy napotykali nieodmiennie zaporę z pik i muszkietów, która do odwrotu ich zmuszała.

- Znow nacierają!

Rzekłbyś, sam bies heretyków ze swych wątpiów womituje, oto bowiem trzecia szarża w naszą stronę

nadchodziła.

Lance ich połyskiwały coraz bliżej wśród gęstego dymu. Gardziele naszych dowódców całkiem już ochrypiły

od nieustannego komend wydawania, kapitan Catón postradał był kapelusz w ogniu walki, twarz miał całą

od prochu czarną, a krew schizmatycka na rapierze jego ani myślała zaschnąć.

- Piki stawiaj!

Nasi lekkobrojni, w pierwszej linii ciasno stojący i dobrze osłonięci pancierzami i morionami ze stali i

miedzi zrobionymi, przysunęli piki do piersi. Następnie każdy zrównoważył broń na lewej ręce, za czym

prawą ujął w poziomie i naprzód wymierzył, gotów skrzyżować ją z nieprzyjacielem.

W tym samym czasie ustawieni po bokach arkebuzerzy srogo ogniem nacierających smagali. Śród nich i ja

się znajdowałem, wciśnięty pomiędzy żołnierzy drużyny mego pana, i starałem się jeno nie być zawadą dla

ludzi zatrudnionych przy ciągłym ładowaniu arkebuzów i muszkietów, przy czym te ostatnie, jako cięższe,

nie z ręki odpalano, a z ustawionych na ziemi forkietów. Uwijałem się jeno, już to prochu jednemu, już to

pocisków innemu donosząc, już to wreszcie trzeciemu bukłaczek z wodą, który przywiązany trzymałem do

pasa na piersi. Palba taki dym wzniecała, że aż ślepełem i dusiłem się, ślęzy z oczu mi płynęły i często gęsto

musiałem po omacku ku potrzebującym się kierować.

Właściem dostarczył kapitanowi Alatriście porcję pocisków, jako że już zaczynało mu ich brakować, i

patrzyłem, jak wsuwa część z nich do woreczka przytroczonego do prawego uda, dwa w usta, a jeden w lufę

arkebuza, ubija go dobrze, następnie podsypuje prochu na panewkę, dmucha na rozżarzony lont wokół

lewicy owinięty, po czym unosi broń ku twarzy i celuje w najbliższego Niderlandczyka. Wszystko to czynił

niemal mechanicznie, jednocześnie szukając wzrokiem kolejnego wroga, a kiedy strzał padł, spostrzegłem,

jak wrazemu pikinierowi w ogromnym morionie dziura się tworzy w napierśniku. Niemal natychmiast do

tyłu się zwalił, a chmara towarzyszy już go całkiem zasłoniła.

Na prawo od nas już bój szedł na piki, a i w naszą stronę nacierała znaczna grupa zbrojnych

heretyków.

Diego Alatryste podniósł lufę rozgrzanego arkebuza ku ustom, wypłuł do środka pocisk, z niebywałą flegmą

powtórzył te same ruchy i znowu wypalił. Skutkiem wyziewów własnego jego prochu twarz całkiem mu

poszarzała, a wąsy siwymi się zdawały. Sadza jeszcze bardziej uwydatniała mu zmarszczki, a widoczne śród

niej oczy, całe od dymu poczerwieniałe, nieustanne baczenie dawały na nadchodzące szeregi niderlandzkie.

Ledwo jaki nowy cel sobie upatrzył, już go z oka nie spuszczał, jak gdyby utracić się go bał, jak gdyby

rzeczą honoru było zabić tego właśnie, a nie innego nieprzyjaciela. Wnosiłem, że z rozmysłem sam sobie

ofiary wybiera.

- Tam są!... - wrzasnął kapitan Catón. - Nie ustawać!... Nie ustawać!

Po to snadź, by nie ustawać, kapitan Catón od Boga otrzymał był dwoje rąk, rapier i setkę Hiszpanów. I

czas już był wielki, by się nimi wybornie posłużyć, jako że piki niderlandzkie całkiem chwacko się do nas

zbliżały. Pomimo huku strzelaniny posłyszałem, jak Mendieta klnie w żywe kamienie, jak tylko my

Baskowie przeklinać potrafimy, albowiem odpadł mu zamek od arkebuza. Zaraz potem ołowiany ptaszek

przefrunął o cal od mego lica, wiizzz, trach, i tuż za mną jeden z żołnierzy na ziemię się osunął. Po prawej

rozpościerał się prawdziwy gąszcz pik niderlandzkich i hiszpańskich, a owa najeżona fala stalowych grotów

z wolna sięgała już i naszego oddziału. Zobaczyłem, że Mendieta obraca arkebuz, chwyta go za lufę i gotuje

się machać nim jak cepem. Wszyscy w pośpiechu oddawali ostatnie wystrzały.

- Hiszpania!... Święty Jakubie!... Hiszpania!

Z tyłu, za lasem naszych pik, powiewały na wietrze krzyże świętego Andrzeja, kulami srodze podziurawione. Niderlandczycy byli tuż-tuż, istna lawina oczu przepelnionych grozą lub szałem, pokrwawionych twarzy, wrzasków, panczerzy, morionów i blach, rośli heretycy, płowi i nader bitni, co już się

szykowali, by pikami i halabardami nas dosięgnąć albo rapierami posiekać. Spostrzegłem, że Alatryste i

Copons społem arkebuzy na ziemię cisnęli i dobyli swego żelaza, mocno stopami na ziemi stając. I już piki

niderlandzkie między nasze szeregi się wdarły, a groty ich nuże kłuć i kaleczyć, w krwi katolickiej się

nurzać. Diego Alatryste na przemian ciął i sztychy zadawał, lubo miejsca wśród tej jesionowej plątaniny miał

niewiele. Chwyciłem jedno drzewce, co się wedle mnie pojawiło, a stojący obok Hiszpan zaraz wraził swe

ostrze w gardziel schizmatyka, co pikę na drugim końcu dierzył, iż dobyli swego żelaza, mocno stopami

na ziemi stając krew jego, po drewnie spływając, dłoń mi całą zbrukała.

Rychło dostaliśmy wsparcie i naszych pikinierów, którzy przeciwko Niderlandczykom wychynęli ponad

naszymi ramionami oraz wszędzie tam, gdzie śmierć zabrała któregoś z Hiszpanów i wyłom w szeregu

uczyniła. Jak okiem sięgnąć, gmatwanina pik się rozpościerała, a wewnątrz niej wzmagala się sumienna

jatka.

Ruszyłem w stronę Alatrystego, łokciami drogę sobie torując pomiędzy towarzyszami broni. Raptem

Niderlandczyk jakiś, na odlew przezeń chlaśnięty, padł mu do stóp i ramionami je oplótł, chcąc pogromcę

swego tą metodą za sobą na dół pociągnąć. Na widok ów krzyknąłem dziko, własnego głosu nie słysząc,

dobyłem sztyletu i jak grom na nieprzyjaciela spadłem, gotów bronić pana mego, choćby mnie na

kawałki

posiekać mieli. Zdjęty szalem, zacisnąłem dłoń na twarzy tamtego, dociskając ją do ziemi, Alatryste tymczasem kopniakami z owych niespodziewanych wyników się wyswobadzał, zarazem rapier swój w

nieprzyjaciela od góry parokrotnie wrażając. Niderlandczyk atoli wił się wciąż, snadź nie chciał tak łącno

dać się na tamten świat odkomenderować. Człkiem był zwawym i mocarnym, krwią wprawdzie broczył

niczym byk z Jaramy pod koniec korridy, i z ust, i z nosa, do dziś pamiętam lepką posokę jego, zmieszaną z

prochem i kurzem, spływającą mu po bladym, piegopatym, płowo zarośniętym obliczu. Sukinsyn nie chciał

umierać, mocował się do ostatka, a ja z nim. Przycisnąłem go jeszcze silniej lewą ręką, w prawej zasię

zacisnąłem mizerykordię i zadałem mu trzy energiczne pchnięcia między żebra, że jednak uderzałem z

bardzo bliska, wszystkie ześliznęły się po skórzanym napierśniku. Po oczach jego poznałem wszelako, że

sztuchy moje odczuł, bo z westchnieniem ciężkim puścił nogi pana mego, by twarz własną chronić, jakby

trwożył się, że tam go snadź ugodzę. Mnie strach i wściekłość zgoła zaślepiły, w głowie mi się bowiem nie

mieściło, jak można tak długo przed ekspedycją do czarta się wzbraniać. Niewiele myśląc, wsunąłem sztylet

mój między sznurki jego kaftana - Neen... Srinden... Neen!1, mamrotał piekielnik - i całym ciężarem swym

się na rękojeści wsparłem. Zdrowaśka jedna nie minęła, a puścił z gęby ostatni krwawy potok, oczy bielmem

mu zaszyły i zastygł bez ruchu, jakby nigdy życia w nim nie było.

- Hiszpania!... Wycofują się!... Hiszpania!

Zdziesiątkowane oddziały Niderlandczyków zarządały odwrót, depcząc po trupach swych

kamratów,

które gęsto usłały trawiaste pole. Kilku porywczych młodzików z naszych szeregów już chciało w pogoń za

tamtymi się puszczać, większość jednak pozostała tam, gdzie była: regiment z Cartageny składał się głównie

ze starych wiarusów - zbyt wielu, by teraz szyki załamywać i biec tam, gdzie groziło wciąż atakiem z flanki

albo zasadzką. Alatryste ucapił mnie za kołnierz kaftana, obrócił, chcąc zmiarkować, czym ranny nie został, i

wówczas oczy me napotkały jego jasnozielone oczy. Bez słowa ni gestu zbędnego uniósł mnie z luterskiego

cielska i odepchnął do tyłu. Kiedym patrzył, jak ociera swój rapier o napierśnik leżącego, unosi ramię i

wsuwa broń do pochwy, zdało mi się, że wielce jest znużony i wyczerpany. Oblicze uwalane miał krwią,

podobnie dłonie i strój - nie była to atoli jego własna. Rozejrzałem się. Sebastian Copons, który właśnie

szukał swego arkebuza pod zwalonymi ciałami Niderlandczyków i Hiszpanów, broczył z otwartej rany na

skroni.

- Srał to pies - mamrotał oszołomiony Aragończyk, macając sobie szeroki na dwa cale kawał skóry z

włosami, co mu nad lewym uchem zwisał. I podnosił kciukiem i palcem wskazującym ów kawałek ciała, nie

bardzo wiedząc, co ma dalej czynić. Alatryste dobył tedy z kieszeni czystą chustkę i ułożywszy mniej więcej

naderwaną skórę na swoim miejscu, obwiązał druhowi głowę.

- Prawie mnie te gównojady załatwiły, Diego.

- Czyli jeszcze nie przyszła pora.

Copons wzruszył ramionami.

- Jeszcze.

Podniosłem się chwiejnie, wojsko tymczasem na nowo szyki formowało, odciągając na bok niderlandzkie

ścierwa. Niektórzy wykorzystali sposobność, by pośpiesznie obszukać trupy i zgarnąć skąpe trofea.

Widziałem, jak Garrote bez alteracji lewakiem swym palce jednemu obcina i pierścienie z nich do kieszeni

wsuwa, a Mendieta nowy arkebuz u jednego nieboszczyka obstalowuje.

- Zewrzeć szyki! - ryknął kapitan Catón.

Jakie sto kroków od nas oddziały niderlandzkie, otrzymawszy wsparcie, szykowały się do ponownego

natarcia. Można było dostrzec lśniące zbroje ichniej jazdy. Nasi zostawili przeto grabież na później i na

powrót stanęli ciasno, ranni zasię człapali na tył, chcąc jak najrażniej umknąć z pierwszej linii. Trzeba było

też uprzątnąć hiszpańskich poległych, by szyki znowu ustawić: regiment nie oddał ani piędzi terenu.

Tak to zatrudnialiśmy się cały poranek i południe nas zastało przy niezłomnym odpieraniu kolejnych ataków niderlandzkich, wzywaniu świętego Jakuba i Hiszpanii, gdy byli już bardzo blisko, odciąganiu

naszych poległych i opatrywaniu na miejscu naszych ran - aż nareszcie heretycy, snadź pewni, że nie da się

wzruszyć owego niezachwianego muru ludzkiego ni o cal, już z mniejszym wigorem jęli nacierać. Mój zapas

prochu

i kul dawno się wyczerpał, przeto czas wypełniałem, obszukując trupy w nadziei, że będzie sposobność co

niewco zarekwirować. Niekiedy korzystając, że Niderlandczycy w przerwach między szarżami odstępowali na

większą odległość, zapuszczałem się głęboko w pole, by zaopatrzyć się u martwych wrażyh arkebuzerów,

nieraz też pierzchałem jak zając, ścigany świstającymi mi nad głową pociskami muszkietów.
Skończyła mi

się także woda, którą pan mój i jego kompani pragnienie uśmierzali - na wojnie pali gardło jak
wszyscy

diabli - tedy kilkakrotnie szedłem też nad kanał za naszymi plecami. Droga ta nie należała do
przyjemnych,

usłana była bowiem naszymi rannymi i dogorywającymi żołnierzami, którzy zdołali wycofać się na
tyły -

maszerowałem tak przez nader posępny krajobraz wśród okrutnych ran, okaleczeń, krwawiących
kikutów,

1 Neen, vrienden (niderl.) - nie, swój.

lamentów we wszystkich językach Hiszpanii wznoszonych, drgawek przedśmiertnych, modlitw,
błuznierstw

i formułek kapelana Salanuevy, który dłonią znużoną udzielał ostatnich namaszczeń, a że oleje mu się
też

skończyły, używał do celu tego własnej śliny. Głupcom, co rozpowiadają farmazony o chwale z
wojen i

bitew płynącej, należałoby przypomnieć słowa markiza de Pescara1: „Daj mi, Boże, sto lat wojny i
ni

jednego dnia bitwy", albo sprokurować spacer podobny temu, jaki i mnie przypadł w udziale owego
dnia -

wtedy łącznie pojęliby prawdziwe oblicze i ukrytą maszynię całego tego spektaklu, gdzie na
pierwszym

planie są sztandary, fanfary i opowieści zmyślone przez tchórzliwe szelmy i pyszałków z ostatnich
szeregów.

Tacy i im pokrewni najczęściej na monetach z profilu i na posągach figurują, nigdy zasię świstu kul
nie

słyszeli, nigdy agonii towarzysza nie widzieli, nigdy wreszcie rąk we krwi wrażej nie zbrukali, nie
groziło

im także nigdy, że celny strzał prosto w pachwinę klejnotów ich pozbawi.

Podczas wędrówek mych po wodę do kanału rzucałem przy sposobności okiem na drogę od młyna

Ruijter

i od Oudkerk wiodącą - w nadziei, że posiłki stamtąd nadciągną, alem żywego ducha nie obaczył. Z

oddalenia mogłem także całość pola bitwy wzrokiem ogarnąć, Niderlandczyków na wprost i dwa regimenty

nasze, co im z obu stron przejście grodziły - hiszpański po mojej lewej, a wojsko Soesta po prawej. Jak

okiem sięgnąć, stał lśniła, błyskały muszkiety, dymiały lonty, a chorągwie powiewały wśród nieprzeliczonego

mrowia sterczących pik. Nasi walońscy towarzysze dzielnie stawali, ale godzi się też wspomnieć, że

trudniejsza rola im przypadła, z bardzo bliska bowiem wraże arkebuzy ogniem ich smagały, a ciężka jazda

nękała szarżami. Wraz z kolejnymi atakami coraz mniej grotów się podnosiło, a lubo wojsko Soesta z

godnego i bitnego składało się żołnierza, przecie nieubłaganie słabło z każdą chwilą. Sprawa taki paskudny

obrót przyjąć mogła, że gdyby Walonowie ulegli, lutry mieliby sposobność, by zająć ich teren i nasz

regiment z Cartageny od flanki zaskoczyć, szkody znaczne poczynić, a młyn Ruijter tudzież szlak na

Oudkerk i Bredę ostatecznie wpadłby w ich ręce. Powróciłem do mego regimentu z bojaźnią w sercu, a

gdym mijał naszego pana marszałka polnego, który w środku naszego zgrupowania siedział na koniu,

otoczony swymi oficerami i przygodnymi gapiami, jeszcze bardziej na duchu upadłem. Jakaś zbłąkana kula

niderlandzkiego muszkietu, lubo impet zdążyła stracić, zdołała wszak utkwic w jego wybornie tłoczonym

mediolańskim napierśniku, czyniąc w nim głębokie wgniecenie. Krom tego aliści dowódca nasz snadnie w

dobrym zdrowiu pozostawał, w przeciwieństwie do pierwszego trębacza, który poległ od kuli, co go w usta

była dosięgła, a teraz na ziemi spoczywał, tuż koło kopyt końskich, i nikt już nim sobie łba nie zaprzętał. Jak

zmiarkowałem, mość Pedro de la Daga i sztab jego ze zmarszczonymi czołami obserwowali dziesiątkowane

oddziały walońskie. Nawet ja, choć byłem dopiero wyrostkiem, pojmowałem, że jeśli Soest padnie, Hiszpanom, pozbawionym wsparcia jazdy, nic innego nie pozostanie, jak wycofać się do młyna Ruijter,

byleby nie dać się zejść od flanki. Widok rejterującego regimentu musiałby wielkie spustoszenie sprawić.

Albowiem co innego szacunek i bojaźń ze strony wroga, gdy ten natrafia na mur zdecydowanych na wszystko żołnierzy, co innego zasię, gdy żołnierze ci pierzchają, by walki uniknąć, choćby robili to bez

pośpiechu i głów nie tracąc. Osobliwie w epoce, kiedy wojsko nasze słynęło nie tylko z okrucieństwa w

ataku, ale także z nieustraszonej dumy w chwili, gdy umrzeć przychodziło - podówczas mało kto mógł dostrzec, jakie mundury nasze mają barwy na plecach, nawet na obrazku. Oto dlaczego tyleż warta była siła

naszych pik, co i nasza fama.

Słońce zenitu już sięgało, kiedy Walonowie, mężnie odsłużwszy swoje monarsze i prawdziwej wierze,

ostatecznie ulegli. Szarża ciężkiej jazdy i natarcie piechoty niderlandzkiej zdołały rozproszyć ich szeregi, a

my z naszej strony traktu widzieliśmy, jak wbrew staraniom oficerów wielu z nich salwuje się ucieczką w

kierunku młyna Ruijter, a inna, bardziej waleczna grupa ciągnie w naszą stronę, by tu szukać schronienia.

Wraz z nimi nadjeżdżał ich marszałek, mość Karel Soest, bardziej przypominający teraz śmierć na chorągwi,

bez hełmu, z obydwoma rękami potrzaskanymi przez kule z arkebuzów, w gronie oficerów, którzy usiłowali

ratować sztandary. Pędząc w nieładzie i z takim impetem,omal nas nie poturbowali. Gorzej jednak, że w

śląd za nimi nadciągała też jazda i piechota niderlandzka, najwidoczniej chcąc na jednym ogniu upiec dwie

pieczenie. Na nasze szczęście byli już uznojeni poprzednim natarciem, liczyli tedy, że może sami zmylimy

szyki, taki widząc obrót spraw. Nadmieniałem wszelako waszmościom, że regiment z Cartageny nie składał

się z żółtodziobów, w niejednym ogniu bitewnym już się był hartował, przeto zgoła bez komendy nijakiej

przepuścił wprzód sporą liczbę czmychających Walonów, za czym nasza prawa flanka zamknęła się na

powrót na podobieństwo wrót żelaznych, a sroga palba z arkebuzów i muszkietów w mig trupem położyła

zarazem resztkę niedobitków z regimentu Soesta, jak i mnogość Niderlandczyków, co im na pięty następowali.

- Stawiaj piki po prawej!

Bez pośpiechu, ze swą sławetną zimną krwią nasi zbrojni z flanki zwrócili się na prawo, by stawić czoło

heretykom, następnie ustawili końce pik na ziemi, zapierając je dodatkowo butami, a groty pochylili

1 Fernando Francesco d'Avalos, markiz de Pescara (1490-1532) - rycerz neapolitański w służbie hiszpańskiej, wsławił

się błyskotliwym dowodzeniem podczas bitwy z Francuzami pod Pawią w 1525 r.

naprzód, podtrzymując drzewca lewymi dłońmi, prawymi zaś dobyli rapierów. Sposobili się, by poszatkować nadciągającą konnicę.

- Święty Jakubie!... Hiszpanio i święty Jakubie!

Niderlandczycy zatrzymali się, jak gdyby od ściany się odbili. Siła uderzenia atoli tak wielką była, że w

drzazgi poszły drewniane lance, łamiąc się o cielska koni, trzaskając o piki nieprzyjaciół i grzęznąc w

plątaniu drzewców, rapierów, sztyletów, cięć i ciosów.

- Stawiaj piki na wprost!

Schizmatycy napierali teraz także od przodu, na powrót z lasów się wynurzywszy - pierwsza mknęła jazda,

a za nią pancerni. Nasi arkebuzerzy ze zwyczajną im flegmą ponowili swą robotę, mierząc i strzelając jak na

komendę, nie wołali przy tym głośno o proch czy pociski, szyków też nie psuli.

Śród nich ujrzałem także Diega Alatryste, jak dmucha na lont, celuje i spust naciska, wszystko w stosownym tempie. Palba położyła sporą liczbę Niderlandczyków, większa część ich sił aliści dotarła do nas

bez przeszkód, skutkiem czego oddziały arkebuzerów, a ja z nimi społem, musiały schronić się za pikinierami. W tym pomieszaniu mego pana z oczu postradałem, dostrzegłem jeno Sebastiana Coponsa,

któremu bandaż

na łbie jeszcze bardziej aragońskiej hardości dodawał, teraz zasię bez wahania za rapier swój chwycił.

Kilku Hiszpanów ogony podkuliło i ratunku szukać jęło śród mężniejszych towarzyszy, co snadź dowodem

jest, że nie zawsze z łona matki Iberii lwy na świat wychodziły. Większość jednakowoż stawała dzielnie. Co

chwila kula w kogoś trafiała, iże trzask się rozlegał. Pikinier jakiś krwią swoją mnie ochlapał i padł na mnie,

wzywając przy tym po portugalsku: Madre de Deus 1.

Wyswobodziwszy się spod niego, wysunąłem sobie spomiędzy nóg jego lancę i zmiarkowałem, że wokół

mnie istne morze ludzi się przewalało to w jedną, to w drugą stronę, roztaczając z brudnych, poszarpanych

mundurów odór potu, spalonego prochu i krwi.

- Trzymać się!... Hiszpania!... Hiszpania!

Z tyłu, skryte za osłoną wojska, co sztandary chroniło, nieustannie warkotały tarabany. Coraz więcej

kul

świstało, coraz więcej ludzi padało bez ducha, a każdy wyłom w szeregu zapełniany był natychmiast przez

kolejnego żołnierza, a ja potykałem się co rusz o jakiegoś uzbrojonego nieboszczyka. Już zgoła niewiele

widziałem z tego, co się naokoło działo, wspinałem się przeto na palce, by cokolwiek dostrzec ponad głowami walczących, pomiędzy ich kaftanami i pancerzami, pomiętymi kapeluszami, hełmami i morionami,

śród arkebuzów, muszkietów, pik, halabard i rapierów. Dusilem się już od gorąca i dymu i całkiem zmysły

traciłem, tedy ostatnim przeblyskiem świadomości dobyłem mizerykordii.

- Ońate!... Ońate! - wrzasnąłem z całych sił.

Chwilę później chrupnęły drzewca, zarżały poranione wierzchowce, zaszczekało żelazo i wśród tego hałasu

spadła na nas ciężka jazda niderlandzka. Od tego momentu już tylko Bóg był w stanie rozpoznać swoich.

VI. PO GARDLE

Bywa, spoglądam na obraz i wspominam. Gdzieś w głębi płótna, za zasłoną dymów i szarych mgieł, coś

zda się majaczy, atoli nawet Diego Velazquez, pomimo że mu opowiedział, ile potrafiłem, nie zdołał oddać

długiej a morderczej drogi, jaką wszyscy przebyć musieliśmy, zanim ustawiliśmy się w ową majestatyczną

scenę, ani też lanc, które nigdy wschodu słońca nad Bredą nie ujrzały, bo postradaliśmy je podczas marszu.

Mnie samego i po latach nie ominął widok grotów tychże pik, unurzanych we krwi pod Noordlingen i

Rocroi, a były to ostatnie przeblyski hiszpańskiej gwiazdy i okrutny zmierzch chwały wojsk naszych we

Flandrii. Ze wszystkich owych batalii, także z tej pod młynem Ruijter, osobliwie pamiętam dźwięki: krzyki

ludzi, stukot drzewców, szczepek stali o stal, chrzęst rozpruwanego odzienia i trzask łamanych kości.
Pewnego

razu, znacznie później, Angelica de Alquezar zapytała mnie niedbale, czy znam odgłos przykrzejszy niż

zakopywanie gracą ziemniaka. Odparłem bez wahania, że owszem, chrupot, z jakim rapier przebija czaszkę.

A ona naówczas uśmiechnęła się i spojrzała na mnie uważnie i z zadumą tymi modrymi oczami swymi, ani

chybi podarunkiem od samego biesa, zaczym dłoń wyciągnęła i palcami dotknęła moich powiek, którymi po

tylekroć odgrodzić się nie mogłem od koszmaru, ust, co tyleż razy krzyki strachu i odwagi z siebie

wydawały, wreszcie dłoni, które żelazem raziły i krew przelewały. Potem zaś pocałowała mnie szerokimi i

ciepłymi wargami, a uśmiech z nich nie znikł ani na moment i trwał, gdy się ode mnie odsunęła. Lecz do

dzisiaj, gdy z Angeliki życie już uszło, jako i z owej Hiszpanii i epoki, o których tu prawię, nie potrafię

uśmiechu jej z pamięci wymazać. Uśmiechu, co towarzyszył wszelkim jej niecnym postępkom, każdej

chwili, gdy na szwank żywot mój wystawiała albo kiedy blizny me okrywała pocałunkami. Blizny, z których

jedną - jak w innym miejscu nadmieniałem - sama mi, do diaska, zadała.

I pamiętam też dumę. Śród uczuć, co się po głowie tłuką podczas walki, pierwszy idzie strach, za nim

zapał i szaleństwo. Za nimi w duszę żołnierską sączą się zmęczenie, rezygnacja i zubożenie. Wszelako

1 Madre de Deus (port.) - Matka Boża.

gdy taki przeżyje, i jeżeli z twardej gliny jest ulepiony, która męźnych jest budulcem, dochodzi wówczas

jeszcze ukontentowanie z dobrze spełnionego obowiązku. A nie gadam tu waszmościom o obowiązku

żołnierza wobec Boga albo króla ni o żądzy łachmyty, by na żołd zapracować, ani także o powinności

towarzysza broni wobec kompanów. Mówię tu o rzeczy zgoła innej, którą u boku kapitana Alatryste byłem

poznałem: o obowiązku walki, gdy przyjdzie pora, niezależnie od tego, w imię jakiego narodu i sztandaru

czynić to przyjdzie - te bowiem przecież u każdego pozostają kwestią przypadku. Mówię o chwytaniu za

broń, zapieraniu się nogami w ziemię i targowaniu się o cenę własnej skóry za pomocą celnych sztychów

miast oddawania jej za darmo niczym owca w rzeźni. Mówię o tym, by tę prawdę znać i z niej korzystać,

gdyż nieczęsto życie mamy sposobność tracić z godnością i honorem.

Sprawy tak się miały, że szukałem mego pana. Pośród owego oblędu, wśród koni, co oszalałe swe własne

patrochy deptały, wśród zacieklej szermierki i palby brnąłem ze sztyletem w dłoni, rozpychając się i uskakując, i wzywałem kapitana.

Wszędy trwała nieustanna, wyborna jatka, aliści nikt nie siekł wroga w obronie króla, jeno po to, by jestestwa swego tanio nie zbyć. Pierwsze szeregi naszej drużyny zwały się z Niderlandczykami w jedną

dziką masę, która dźgała się nawzajem zaciekle, przy czym czerwone bądź pomarańczowe wstążki jedynym

były znakiem, kogo kłuć żelazem, a kogo wesprzeć braterskim ramieniem.

Była to moja pierwsza rzetelna bitwa, rozpaczliwa, przeciwko każdemu, kto nieprzyjacielem mi się jawił.

Wcześniej bywałem już w ciężkich opałach, jużem był strzelał do człowieka w Madrycie, skrzyżowałem

ostrza z Gualteriem Malatestą, zdobywałem szturmem rogatki Oudkerk i potykałem się to tu, to tam w całej

Flandrii - przebóg, nie każdy młokos mógł się takową biografią pochwalić. Dopiero co przeciłem był nawet

dobił własną mizerykordią schizmatyka, ciężko przez kapitana Alatryste ranionego, czego dowodem

plamy

krwi psubrata na mym kaftanie. Wszelako nigdy dotąd, przed ową szarżą niderlandzką, nie ujrzałem się w

takich terminach jak w tamtej chwili, zewsząd otoczony takim szaleństwem, gdzie bardziej szczęście się

liczy niżli odwaga czy talenty.

Wszyscy nader sprawnie a zaciekle łupnia sobie dawali, wokoło kłębił się srogi gąszcz walczących ciał, w

ścisku deptano po trupach, rannych, pokrwawionej trawie tudzież po zbędnych już pikach, arkebuzach,

nawet rapierach, miejsca bowiem tyle było, by częstować z bliska lewakami i sztyletami, a wszystko to przy

akompaniamencie suchych wystrzałów z pistoletów.

Nie mam pojęcia, jak z życiem ująć zdołałem wśród takiej jatki, to wiem aliści, że po upływie kilku chwil, a

może stulecia całego - snadź nawet czas przestał płynąć tak, jak to miał we zwyczaju - odnalazłem się, cały

poturbowany, skołowany, przepełniony zarazem bojaźnią i odwagą, tuż obok kapitana Alatryste i kompanów

jego.

Klnę się na życie króla naszego miłościwego, że podobni byli wilkom. Pierwsze szeregi sprawiały

wrażenie wielkiego galimatiasu, drużyna pana mego wśród nich jawiła się niczym maleńki czworobok.

Tworzący go mężowie, plecami do się zwróceni, siekli wokół rapierami i lewakami tak wybornie, jakby to

nie wojsko, ale jakaś zębata bestia bój toczyła. Przy tym nie wznosili okrzyków „Hiszpania” albo „święty

Jakub” dla dodania sobie animuszu, woleli bić się z zaciśniętymi zębami, oszczędzali oddech jeno na to, by

skuteczniej rznąć heretyków; musicie, waszmościowie, dać wiarę, że pilnie się do roboty przykładali,

naokoło bowiem już cała ciżba bez ducha ni patrochów leżała. Sebastian Copons nadal straszyl

pokrwawionym zawojem na łbie, Garrote i Mendieta wywijali kikutami lanc, by Niderlandczyków dalej od

siebie trzymać, Alatryste zasię uwijał się z lewakiem i rapierem we krwi unurzany aż po jelce. Całości

grupy dopełniali bracia Olivaresowie i Galisyjczyk Rivas. Jose Llop leżał już, niestety, martwy na ziemi. Nie

od razu zdołałem rozpoznać w nieboszczyku naszego wojaka z Majorki, albowiem wystrzał z arkebuza

połowy twarzy go był pozbawił.

Patrząc na Diega Alatryste, przysięgłbym, że myślami jest w jakiejś innej sferze. Odrzucił był kapelusz i

teraz brudne włosy opadały mu bezładnie na uszy i czoło. Nogi rozstawione miał szeroko, jakby w ziemię

bretnalami wbite, a cała siła i złość jego skupiły się w oczach, jaśniejących niebezpiecznym żarem pośród

czarnego od prochu oblicza. Manewrował bronią nader sprawnie, wyprowadzając śmiertelne pchnięcia,

jakby kierowała nim jakaś inna siła wewnątrz jego jestestwa. Zatrzymywał klingi i groty lanc, ciał bez

pardonu, a każdą chwilę przerwy pożytkował na to, by ręce opuścić i dać im odrobinę wytchnienia, nim

znów do walki je zaprzęgnie, niby sknera, co zapasy energii skąpo wydziela. Przysunąłem się doń bliżej, on

wszakże ni jednym drgnieniem twarzy nie zdradził, że mnie rozpoznaje. Wyglądał na kogoś, kto znużony

długą drogą, znalazł się hen, na progu piekieł i bije się desperacko, nie rzuciwszy nawet okiem za siebie.

Od ściskania rękojeści sztyletu aż mi dłoń zdrętwiała.

Nareszcie, zgoła nad sobą nie panując, upuściłem broń, zaraz przeto schyliłem się, by ją podnieść. W

tymże momencie kilku Niderlandczyków rzuciło się na nas hurmem, krzycząc jak potępieńcy, zahuczały

muszkiety, a nad łbem moim starły się lance, tworząc istną gęstwinę. Czułem, jak wokół mnie padają ludzie, tedy ucapiłem sztylet i nuże się prostować, zmiarkowałem bowiem, że snadź przyszła i dla mnie pora.

W tejże chwili coś mnie w głowę łupnęło, dostałem kręćka, a przed oczami cała skier gromada zatańczyła.

Omal zmysły do cna postradałem, aliści zacisnąłem rękojeść w garści, gotów wbić ostrze w cokolwiek, co by

się nadarzyło - było mi wszystko jedno, byle tylko nie ostać się bez broni. Zaraz potem pomyślałem o macierzy mej i jałem się modlić. „Ojcze nasz, Gure Aita”, mamrotałem pośpiesznie, powtarzając to samo po

kastylijsku i baskijsku, otumaniony i niezdolny przypomnieć sobie dalsze słowa. Raptem ktoś wyszarpnął

mnie za kaftan spośród walczących i pociągnął jak worek przez trawę, przez martwe i ranne ciała. Zadałem

na oślepa ze dwa ciosy sztyletem, tusząc, żem popadł w nieprzyjacielskie łapy, lecz oto ów ktoś klepnął mnie

dwukrotnie w kark, przetom się uspokoił. Ledwie oczy otwarłem, okazało się, że znajduję się w niewielkim

kręgu, przez ubłocone nogi i buty utworzonym, leżę na trawie, a tymczasem gdzieś nad mą głową rozlega się

łoskot szczękającej broni: kling, trach, krek, szust, klang - przeraźliwy koncert na żelazo, rozcinaną odzież i

ciała, łupane z chrobotem kości i charkot dobywający się z przerzynanych gardzieli, pełen wściekłości, bólu,

przerażenia i śmierci. Dalej zasię, poza murem wojska, co nieugięcie broniło naszych sztandarów, taraban

dudnił dumnie i wytrwale, zagrzewając do boju starą, nieszczęsną Hiszpanię.

- Cofają się!... Równaj i na nich!... Cofają się!

Regiment wytrzymał, lubo pierwsze szeregi padły na posterunku, tworząc uformowaną masę martwych

ciał, co front batalii stanowiła. Surmy na nowo zagrały, a i warkot tarabanu

rażności nabrał, temu ostatniemu coraz więcej nowych bębnow wtórowało, idąc mu z odsieczą, na grobli

zasię i wzdłuż traktu od młyna Ruijter wiodącego falowały chorągwie i istny łan pik błyskał, przybyłych z

wyczekiwaną pomocą. Cały szwadron włoskich kurt, w jakie odziani byli konni arkebuzerzy, mimo nas

przejechał, pozdrowiwszy nas przelotnie, i na schizmatyków ruszył, tamci tedy, solidnie przetrzepani

wskutek naszej młócki, nuże rejterować w nieładzie i popłochu, ratunku w pobliskim zagajniku szukając.

Takoż i nasi, co wojować jeszcze byli zdolni, jako to pancerni, pikinierzy i muszkietierowie, szarżować jęli

na drugą stronę traktu, gdzie właśnie po godnej walce dogorywał waloński regiment Soesta.

- Na nich, na nich!... Naprzód, Hiszpanio!... Naprzód!

Nasza strona już ogłaszała wiktoryę, a ci sami, co przez cały poranek bili się w milczeniu uporczywym,

teraz gromko wychwalali Najświętszą Panienkę i Jakuba Apostoła, a tu i ówdzie widać było, jak znużony

wiarus broń opuszcza i całuje różaniec względnie medalik. Tarabany głosiły krwawą a bezlitosną masakrę, a

w ich takt nasi najpierw dopadli, potem rozgromili wroga, złupili go i ograbili, srogą pobierając zapłatę za

naszych zabitych i za ową mordęgę, jaką nam byli od świtu zgotowali. Szyki naszego regimentu wnet się

połamały, żołnierze bowiem już za heretykami gonili, dopadając w pierwszej kolejności rannych i

maruderów. Niejedną głowę rozłupano, niejedną kończynę oderżnięto, niejedną gardziel rozcięto i raczej się

nikt tu z nikim nie cackał - wiedzcie bowiem, waszmościowie, że lubo piechota hiszpańska słynęła z

okrucieństwa podczas ataku i obrony, to jeszcze sroższą była, gdy brała się do odwetu. Włosi i Walonowie

bynajmniej w tyle nie pozostawali, osobliwie ci ostatni wielki zapał czując do tego, by krew przez ich

pobratymców pod sztandarem Soesta przelaną pomścić. Jak okiem sięgnąć, wszędy widać było mężów, co

gęsiego biegną, zabijają ile sił, obdzierają licznych rannych i zabitych, tak poszatkowanych, że u niektórych

największą nietkniętą częścią ciała okazywało się ucho.

Do dzieła owego zabrali się też wspólnie z całym wojskiem kapitan Alatryste i towarzysze jego, i to tak

niezwłocznie, jak tylko możecie sobie, waszmościowie, wyobrazić. Ich śladem podążyłem i ja, nadal

oszołomiony rzezią i z guzem wielkości jaja na łbie, ale jak wszyscy wokół darłem się z całych sił. Z

pierwszego napotkanego trupa zerwałem osobliwą krótką szpadę, robotę snycerzy z Solingen, po czym swój

sztylet schowałem, a nową zdobyczną stałą teutońską jąłem sieć każdego wroga, któremu napotkał,

dychającego jeszcze czy martwego, jakbym kiszkę krwawą w talarki kroił. Wszystko to było zarazem

masakrą, zabawą i szaleństwem, a gdzie wcześniej wrzała bitwa, teraz widziałeś rzeźnię angielskich

byczków i jatkę flamandzkich członków. Byli i tacy, co się zgoła nie bronili, jak chociażby gromadka, którą

dopadliśmy, jak grzęzła po pas w torfowisku. Urządziliśmy tam rzetelny połów wśród kalwinów, zalewając

ich potokiem żelaza i siekąc na prawo i lewo, nie bacząc na ich prośby i uniesione błagalnie ręce, aż czarna

woda poczerwieniała cała, a psubraty pływały w niej jak śnięte i poszatkowane tuńczyki.

Siła wrogów poległa, bo też mieliśmy gdzie ich zabijać, i niejedna gardziel nieprzyjacielska otworem

stała. Pogoń ciągnęła się całą milę i trwała aż po zmrok, pod koniec zasię pospołu z żołnierzami dzieła

zniszczenia dokonywali także i giermkowie, krom nich jeszcze okoliczne chłopstwo, najchętniej

służące

tylko jednemu panu, któremu na imię chciwość - a nawet towarzystwo złożone z kilku markietanek, ladacznic i kramarzy, co z Oudkerk przybyło, łupów zapachem znęcone. Postępowali tedy w ślad za wojskiem, łupili, co jeszcze się dało, niczym stado kruków, które już jeno gołe ścierwa owych nieszczęśników za sobą ostawia. Ja w pościgu uczestniczyłem u boku awangardy, nijakiego znużenia całym

dniem owym nie odczuwając, jak gdyby wściekłość i żądza zemsty dodały mi sił, by tak gonić aż do końca

świata. I niech mi Bóg wybaczy, jeśli zdoła, alem całkiem od wrzasku ochrypl i od stóp do głów skąpany

byłem we wrażej krwi.

Rdzawy zmierzch zapadał już nad ogniskami rozpalonymi po drugiej stronie lasu i nie było miejsca ni w

kanale, ni na ścieżce, ni na grobli, ni na wiodącym jej szczytem trakcie, gdzie nie leżałyby coraz liczniejsze

szczątki. Nareszcie przystanęliśmy wyczerpani wedle pięciu, sześciu może domostw, gdzie nawet chudobę

już żelazem potraktowano - tam bowiem schroniła się grupka maruderów, tedy ostatnie promienie światła

należało wykorzystać, by i z nimi skończyć. Wytchnienie dał nam dopiero czerwony poblask płonących

dachów i krzepiący ciężar łupów w kieszeniach, przeto żołnierze jęli opadać na ziemię to tu, to tam, raptem

utrudzeni, i dyszeć niby zziajane bestie. Dureń jeno utrzymywać może, że zwycięstwo wesołością napawa -

gdy zmysły powracają, wszyscy milkną, unikają spojrzeń towarzyszy, jakby sromali się z powodu swych

potarganych, brudnych włosów, zbrukanych i napiętych obliczy, poczerwieniałych oczu i krwi na odzieniu i

broni zaschniętej. Teraz jedynym dźwiękiem, jaki nam towarzyszył, był trzask ognia i chrzęst

płonących

żagwi, którym z dala w ciemności wtórowały pojedyncze wystrzały i okrzyki, snadź gdzieś jeszcze masakra

kresu nie dobiegła.

Przykucnąłem obolały i znużony pod jednym z domków, plecami wsparłszy się o ścianę. Oczy ślózami mi

zaszły od wieczornego powietrza, oddychałem z trudem i umierałem z pragnienia. W blasku ognia

dostrzegłem, jak Curro Garrote zawiązuje tobolek pełen pierścieni, łańcuszków i srebrnych guzów, które

zdarł był z poległych. Mendieta leżał twarzą do ziemi i przysięgłbyś, że nie więcej ducha w nim ostało, niżli

w porozrzucanych wszędy Niderlandczykach, gdyby nie jego donośne chrapanie. Gdzieniegdzie widziałem

i innych naszych, jak spoczywali w pojedynkę bądź grupkami, zdało mi się nawet, że dostrzegam kapitana

Catona z ręką na temblaku. Z wolna jęły dobiegać mnie ciche uwagi i pytania o to, co z tym czy owym

kompanem. Ktoś zagadnął o Llopa, lecz odpowiedzią było milczenie. Co poniektóry rozpałał już ogień, by

podpiec kawałki mięsa z ubitych zwierząt wycięte, wkrótce też wokół płomieni żołnierze gromadzić się

poczęli. Niebawem rozmowa toczyła się już na głos, a gdy wreszcie któryś zdanie lub może facecję rzucił,

zaraz zawtórowały mu gromkie śmiechy. Pamiętam, że osobliwe wrażenie na mnie to uczyniło, skłonny

byłem już bowiem wierzyć, że po takiej robocie śmiech na wieki z powierzchni ziemi zniknie.

Obróciłem się ku kapitanowi Alatryste i zmiarkowałem, że mi się przypatruje. Siedział po turecku wsparty

o ścianę kilka kroków ode mnie i objął ramionami kolana, nadal z arkebuzem w ręku. U boku jego spoczął

Sebastian Copons, głowę miał o mur opartą, rapier ułożony między nogami, lico pokryte burą

skorupą, a

opaskę zsuniętą aż na potylicę, skutkiem czego odsłoniła mu się rana na skroni. Rysy ich twarzy mieniły się

w pełgających płomieniach z pobliskich domostw, odcinając się wyraźnie na tle pogorzeliśka. Rozjarzone od

blasku oczy Diega Alatryste patrzyły na mnie z podejrzliwą uwagą, jakby chciały wyczytać coś z mego

wnętrza. Mnie zasię przepełniały i wstyd, i duma; i znużenie, i nieustający łomot serca; trwoga, smutek,

gorycz i radość, żem z życiem uszedł - i zaklinam się przed waszmościami, że wszystkie te odczucia i

doznania pospołu mogą człkiem owładnąć po tak srogiej bitwie. Kapitan spoglądał na mnie w milczeniu tak

badawczo, iże jałem czuć się nieswojo - spodziewałem się pochwał, uśmiechu, co by ducha we mnie

zagrzał, czegoś, co zaświadczy o jego szacunku, żem tak mężnie stawał jak rycerz pełną gębą. Dlatego

właśnie zbił mnie z pantałyku ten wzrok jego, z którego wyczytać jeno dawało się skupienie, częste i przy

innych sposobnościach. Wyraz jego oblicza, a może zgoła brak wyrazu, nie dozwalał mi przeniknąć, co za

nim się skrywa - umiejętności tej nabyłem dużo później, po latach. I ku memu wielkiemu zaskoczeniu, kiedy

już sam na starego wygę wyrosłem, zmiarkowałem (a może mi się zdało), że ja również tak na świat spoglądam.

Nieswój, postanowiłem uczynić coś, co sytuację rozładuje. Wyprostowałem się tedy mimo boleści, wsunąłem mą niemiecką szpadę za pas tuż obok sztyletu i wstałem.

- Pójdę po coś do jedzenia i picia, dobrze, panie kapitanie?

Odblask płomieni wciąż tańczył mu na policzkach. Długo nic nie mówił, w końcu tylko skinął głową, aż

zarysował się na tle ognia jego orli profil i sumiasty wąs, po czym popatrzył za mną, jak odwracam

się i

podążam w ślad za własnym cieniem. .

Ściany izby całe czerwieniały od dobiegającego zza okna blasku pożaru. Wszystko wewnątrz było

porozrzucane, zasłony walały się po podłodze, skrzynie leżały dnem do góry, meble w nieładzie.

Stopy

chrzęściły mi po tym poboju, gdy walałem się po domu w poszukiwaniu jakiej komory albo

spizarki, której jeszcze nie zdążyli odwiedzić nasi łapczywi towarzysze. Pamiętam dojmujący smutek, jakim

napawało mnie owo spustoszone, mroczne gospodarstwo, opuszczone przez żywych, co niedawno jeszcze

ogrzewali jego ściany. Rozpacz i zniszczenie niegdysiejszego ogniska, gdzie ani chybi śmiech dziecka się

niegdyś rozlegał i gdzie dorośli obsypywali się pieszczotami i słodkimi słówkami. A ciekawość, z jaką intruz

buszuje sobie w najlepsze po miejscu zwykle dlań niedostępnym, jeszcze w moim mniemaniu rozpacz tę

pogłębiała. Oczami imaginacji ujrzałem mój własny dom w Ońate, skutkiem wojennych działań

splądrowany, matkę moją nieszczęsną i siostrzyczki uciekające w popłochu albo i w gorszym nawet stanie,

gdy tymczasem po ich izbach myszkuje jakiś cudzoziemski młokos, który - jak ja w owej chwili -

przypatruje się rozrzuconym, połamanym lub spalonym skromnym resztkom naszych wspomnień i naszego

życia. I z iście żołnierską małodusznością uradowałem się, że w Flandrii, a nie w Hiszpanii. Zaklinam się

bowiem waszmościom: w czas wojny zawsze niejaką pociechę znajdziesz w tym, że największe cierpienia

stają się udziałem obcych i że można pozazdrościć tym, co nikogo na świecie nie mają, a jedyne, co na szalę

kładą, to ich własna skóra.

Nie znalazłem niczego godnego uwagi. Przystanąłem na chwilę, by urynąć pod ścianą oddać, i jużem się do

odejścia zabierał, zapinając pluderki, gdy raptem coś obudziło we mnie najwyższą czujność. Zamarłem na

chwilę i nadstawiłem uszu, aż posłyszałem to coś na nowo. Był to długi, cichy jęk, wątpa skarga, dobiegająca

z drugiego końca zawalonego rumowiskiem wąskiego korytarza. Można by pomyśleć, że to zwierzak jakiś

się żali, gdyby nie obecne chwilami niemal ludzkie tony.

Wyciągnąłem przeto cichcem sztylet - w takiej ciasnocie ze szpady niewielki miałbym pożytek - i Ignąc do

ściany, jałem zbliżać się, by zmiarkować, co to zacz. Pożar na dworze oświetlał połowę izby, rzucając cienie

o czerwonawych brzegach na ścianę z wiszącym na niej posiekanym przez rapiery gobelinem. Tuż pod

nim na podłodze siedział człek jakiś, plecami wciśnięty w kąt między ścianą a rozchwierutaną szafą.

Płomienie odbijały się w stalowym napierśniku, który żołnierza w jęczącym zdradzał, i pozwalały dostrzec

długie płowe włosy, całe zmierzwione i zbrukane błotem i krwią, zszarzałe oczy i zgrozę budzące oparzenie,

co pół twarzy do żywego mięsa mu przeżarło. Ani drgnął, patrzył jeno tępo w jasność przez okno wpadającą,

a z ust jego dobywał się ów lament, którym był usłyszał w korytarzu, zgaszony, nieustanny jęk, chwilami

zmieszany z niezrozumiałymi słowami w obcym języku.

Zbliżyłem się doń z wolna, sztyletu z ręki nie wypuszczając i czujnie okiem bacząc na dłonie jego, czy

czasem broni jakiejś tam nie dierży. Biedaczysko nie miał atoli sił, by dierżyć cokolwiek. Wyglądał

niczym wędrowiec, co siadł nad brzegiem rzeki umarłych, bo przewoźnik Charon zapomniał go zabrać w

ostatnią podróż. Ukucnąłem i przez krótką chwilę przypatrywałem mu się z zaciekawieniem, on wszakże

jakby mnie zgoła nie zauważył. Nadal spoglądał bez ruchu w okno, dobywał z siebie nieskończony lament i

urwane, dziwaczne słowa - nawet gdy tknąłem mu ramię czubkiem sztyletu. Oblicze jego przypominało

straszliwą wersję Janusa: jedna strona całkiem nietknięta, druga zaś przemieniona w miazgę spalonego i

poszarpanego ciała, w którym migotały drobniutkie kropelki krwi. Ręce też musiał mieć zwęglone.

Jak pamiętałem, w spalonej oborze na tyłach domostwa leżało siła niderlandzkich trupów, miarkowałem

tedy, że ten, ranę odniósłszy w walce, doczołgał się aż tu skroś zagwie, by schronienie znaleźć.

- Vlamminck 1 ? - spytałem.

Odpowiedzią był jeno kolejny przeciągły jęk. Po dalszej obserwacji zmiarkowałem, że to człek młody,

niewiele ode mnie starszy. Wnosząc zaś z napierśnika i odzienia, należał do pancерnej jazdy, która z rana

była na nas szarżowała przed młynem Ruijter. Kto wie, może nawet walczyliśmy nieopodal, kiedy

Niderlandczycy i Anglicy usiłowali przełamać szyki nasze, a my z desperacją broniliśmy się do upadłego.

Dumałem teraz, że dziwnie podczas wojny losy się plotą, a fortuna osobliwie jest zmienna. Skoro jednak

koszmar bitwy miałem za sobą tudzież pościg za uciekinierami, wyzbyłem się też i wszelkiej wrogości i

urazy. Widziałem owego dnia śmierć wielu Hiszpanów, ale wrogów jeszcze więcej. W owym momencie

rachunki miałem wyrównane, ów młodzian był całkiem bezbronny, a jam już był swą żądzę krwi nasycił.

Tedy wsunąłem z powrotem sztylet i wyszedłem na zewnątrz, do kapitana Alatryste i pozostałych.

- Tam ktoś jest - rzekłem. - Żołnierz.

Kapitan, który nawet nie drgnął od chwili, kiedy go zostawił, ledwie wzrok uniósł.

- Hiszpan czy Niderlandczyk?

- Chyba Niderlandczyk. Albo Anglik. I ciężkie ma rany.

Alatriste skinął niespiesznie głową, jak gdyby o tak późnej porze napotkanie żywego i całego heretyka

graniczyło z cudem. Po chwili wzruszył ramionami na znak, że nie bardzo wie, po co mu o tym prawię.

- Takem sobie pomyślał - podsunąłem - że moglibyśmy mu pomóc.

Teraz odwrócił oblicze nader powoli od gorejących nieopodal belek i nareszcie na mnie spojrzał.

- Takeś sobie pomyślał - mruknął.

- Tak.

I znów zamilkł, przyglądając mi się badawczo, by po chwili zwrócić się do Sebastiana Coponsa, który

wciąż siedział bez słowa u jego boku z głową o ścianę opartą i pokrwawionym bandażem nadal zsuniętym na

kark. Alatriste wymienił z nim krótkie spojrzenia i na powrót wzrok na mnie przesunął. Słysząc tylko

skwierczenie ognia.

- Takeś sobie pomyślał... -powtórzył beznamiętnie.

Powstał z niemałym wysiłkiem, jak gdyby kości do cna miał zdrętwiałe i siła go kosztowało przebudzić je

na nowo. Widowym było, że ni ochoty, ni siły do działania nie ma.

Zaraz za nim podniósł się też i Copons.

- Gdzie jest?

- W domu.

Powiodłem ich przez izbę i korytarzyk aż do owego pokoiku z tyłu. Heretyk dalej leżał w kącie między

ścianą a szafą i cichutką skargę zanosił. Alatriste zatrzymał się na progu i spojrzeniem sytuację

ocenił, nim

się doń zbliżył. Wreszcie pochylił się i jeszcze czas jakiś obserwował nieszczęśnika.

- Niderlandczyk - zakonkludował.

- Damy radę go uratować? - spytałem.

1 Ylammink (niderl.) - Flamand.

Kapitan Alatryste rzucał teraz nieruchomy cień na przeciwległą ścianę.

- Pewnie.

Poczułem, że Sebastian Copons mija mnie w wejściu, kierując się ku rannemu. Złamana deska podłogi

skrzyknęła mu pod butem. W tym momencie Alatryste podszedł do mnie.

Ujrzałem, jak Copons sięga za siebie i dobywa lewaka.

- Idziemy - ozwał się do mnie kapitan.

Lubo popychał mnie dłonią, oparłem mu się i patrzyłem, jak Copons opiera ostrze lewaka na gardzieli

Niderlandczyka i podrzyna mu ją od ucha do ucha. Uniosłem lico strwożony ku ciemnej plamie, jaką w tej

chwili była twarz Alatrystego. Nie widziałem jego oczu, ale domyśliłem się, że utkwił je we mnie.

- Myślałem... - jąłem bełkotać.

I zaraz zamilkłem, bom poczuł, że tu wszelkie gadanie po próżnicy. Odruchowo, nie myśląc, co robię,

odsunąłem się, by dłoń kapitana z ramienia zrzucić - ta wszelako ścisnęła mnie nader krzepko.

Tymczasem

Copons już się podnosił, obtarł zakrwawioną stal o ubiór biedaka i wetknął broń na powrót do pochwy.

Wreszcie przeszedł mimo nas i ruszył korytarzem, jak gdyby nigdy nic.

Otrząsnąłem się gwałtownie, uwalniając się w końcu z uścisku, i uczyniłem dwa kroki w kierunku

martwego już młodzieńca. Niemal nic się nie zmieniło krom tego, że już nie jęczał, a po naszyjniku zbroi

spływała mu ciemna, gęsta i połyskliwa wstęga, której czerwień mieszała się z ognistym blaskiem zza okna

dobiegającym. Wydawał się jeszcze bardziej samotny niżli wprzód, samotnością tak przejmującą, że ogarnęła mnie dogłębna żałość, tak straszna, jakbym to ja sam albo może kawałek mnie leżał tam na ziemi,

plecami do ściany, i wbijał nieruchome, szeroko rozwarte oczy w ciemność nocy. I pomyślałem, że przecież

ani chybi ktoś gdzieś czeka na powrót tego, który donikąd już nie pójdzie. Matka może albo ukochana, siostra albo ojciec modlą się zań, za jego zdrowie, za jego życie, za jego powrót. Pewnie jest gdzieś łóżko, w

którym sypiał w dziecięctwie, i krajobraz, wśród którego dorastał. I że nikt w tamtych stronach nie wie jeszcze, że już go nie ma między żywymi.

Nie umiem powiedzieć, ile czasu tak spędziłem, w nieboszczyka się wpatrując. Wiem atoli, że nareszcie

kroki posłyszał, i nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że kapitan Alatryste cały czas stał nieopodal.

Dobiegła mnie znajoma, ostra woń potu, skóry i żelaza, jaką roztaczały jego mundur i uzbrojenie. A potem -

jego głos.

- Człek wie, kiedy nadchodzi kres... Ten tu wiedział.

Nie odpowiedziałem. Wciąż patrzyłem na ukatrupionego żołnierza. Pod nogami jego widniała ogromna,

ciemna kałuża z krwi. Aż niewiarygodne - powiedziałem w duchu – ileż krwi nosimy w swym ciele, będzie

co najmniej garniec. I jakże łatwo całą ją spuścić.

- Tyle mogliśmy dla niego uczynić - dodał Alatryste.

I na to nic nie rzekłem, długa zresztą cisza po jego słowach zapadła. Posłyszałem wreszcie, jak się poruszył. Jeszcze chwilę stał obok, jak gdyby wahał się, czy dalej winien przemawiać do mnie. Jak gdyby w

powietrzu wisiała nieskończona liczba niewypowiedzianych słów i jeśli on wyjdzie stąd w milczeniu, to na

wieczność już będą przemilczane. Aliści się nie ozwał, a jego kroki z wolna jęły oddalać się w głąb korytarza.

I dopiero wówczas ja też się obróciłem. Byłem przepelniony głuchą, cichą wściekłością, jakiej do owej

nocy nigdy nie zaznał. Wściekłość, w której i rozpacz się kryła, i gorycz, tak właściwe samemu kapitanowi Alatriście, kiedy zwykł milczeć posępnie.

- Czyli chce mi wasza miłość powiedzieć, kapitanie, że to był zbrojny czyn?... Ze to przysługa?

Nigdy jeszcze dotychczas takim tonem do mego pana się nie zwracał. Kroki ustały, a głos kapitana zabrzmiał nadspodziewanie głucho. Siłą wyobraźni widziałem, jak wpatruje się jasnymi oczami w mroczną pustkę.

- Gdy pora nadejdzie - rzekł - proś Boga, by ktoś uczynił to samo dla ciebie.

Tak właśnie było owej nocy, gdy Sebastian Copons poderżnął gardziel rannemu Niderlandczykowi, a ja

zrzuciłem z ramienia dłoń kapitana Alatriście. I tak właśnie przekroczyłem, zgoła nieświadom, ową smugę

cienia, jaką każdy człek przytomny przekroczy wcześniej czy później. Tam, stojąc samotnie wedle trupa,

jąłem inaczej na świat spojrzeć. Pojąłem, że oto wszedłem w posiadanie straszliwej prawdy, którą dotychczas wyczytać mogłem jeno w zielonych oczach kapitana Alatriście: kto z dala zabija, niczego nie wie

o zabijaniu. Kto z dala zabija, nijakiej lekcji nie odbiera na temat życia i śmierci, nie ryzykuje, rąk krwią

sobie nie bruka, oddechu nieprzyjaciela nie słyszy, strachu, odwagi ni obojętności w oczach jego odczytać

nie umie. Kto z dala zabija, swego ramienia, serca ni sumienia na próbę nie wystawia, w jego głowie nie

rodzą się upiory, co go później regularnie nocami nawiedzają do końca życia. Kto z dala zabija, łotrem jest,

co innym zleca brudną, straszliwą robotę, którą sam winien wykonać. Kto z dali zabija, gorszym jest od

innych ludzi, albowiem nie wie, o to złość, nienawiść, zemsta i przemożne cierpienie ciała i krwi w bliskim

zetsknięciu ze stalą - ale nie wie też, co to zmiłowanie i wyrzuty sumienia.

Oto dlaczego kto z dala zabija, nie wie, co traci.

VII. OBŁĘŻENIE

Od Iníga Balboi do mości Francisca

de Quevedo y Villegas * Do rąk jego w Gospodzie

Pod Turkiem * Przy ulicy Toledo,

opodal Puerta Cerrada w Madrycie

Drogi mości Francisco,

Piszę do Waszej Miłości wedle życzenia kapitana Alatríste, abyś waszmość zmiarkował - powiada - jakie

postępy w tej sztuce poczyniłem. Przeto zechciej waszmość błędy mi wybaczyć. Na wstępie pochwałę się,

że, o ile okoliczności pozwalają, kontynuuję moje lektury i gdy tylko czas po temu sposobny, ćwiczę się w

stawianiu ładnych liter. W chwilach wytchnienia, których w życiu giermka, jako i żołnierza, tyleż samo albo

i więcej, co innych, uczę się od wielebnego Salanuevy deklinacji i czasowników łacińskich. Ojciec

Salanueva to nasz kapelan regimentarski, jak powiadają tu w wojsku, wiele mu do świętości brakuje, ale że

ma niewyrównane rachunki z panem moim, to i odpłaca się przysługami. Wszelako traktuje mnie z

oddaniem i czas, kiedy pozostaje trzeźwy (a należy do tych, co piją i podczas mszy, i znacznie więcej pomiędzy nimi) poświęca na pogłębianie mego wykształcenia, a czyni to wspomagając się

Pamiętnikami

Cezara i świętymi księgami, choćby Starym i Nowym Testamentem.

A skoro już o księgach tu prawię, spieszę wdzięczność waszmości wyrazić za przysłanego mi tu

Przemysłnego rycerza don Kichota z Manczy, to jest drugą część Przemysłnego szlachcica, którą
czytam z

ukontentowaniem i pożytkiem równym lekturze części pierwszej.

Co się tyczy naszego pożywania tu we Flandrii, musi WM wiedzieć, że ostatnimi czasy uległo ono

pewnym zmianom. Kresu dobiegła zima, a wraz z nią nasze kwaterowanie wzdłuż kanału Ooster.
Stary

Regiment z Cartageny stacjonuje teraz pod samymi murami Bredy i bierze udział w jej oblężeniu.
Niełatwe

to zadanie, bowiem Niderlandczycy całkiem wybornie się ufortyfikowali, każdy nasz podkop
napotyka ich

podkop, każda nasza mina przeciwninę, każdy nasz okop - ich okop, tedy bardziej niżli żołnierską
zatrudniamy się robotą krecią. Co sprawia, że pod dostatkiem mamy niewygód, brudu, błota i wszy.
Na

domiar złego działanie nasze wystawione jest na ryzyko, albowiem łącznie możemy paść ofiarami
wypadów,

jakie tamci z warowni czynią, i ognia ze strony arkebuzerów. Mury twierdzy nie z cegieł są
uczynione, a z

ziemi, co utrudnia budowę nasypów do ataku sposobnych, bo przy tym artyleria nasza wali bez
przerwy.

Twierdza umocniona jest piętnastoma dobrze strzeżonymi bastionami i fosami, do tego dochodzi
czternaście

półksiężyców, a wszystko to razem tak zmyślnie urządzone, że mury, bastiony, półksiężyce, osłony i
fosy

bronią się wzajemnie nader udatnie, iże na każde nasze podejście tracimy mnóstwo wysiłku, a
nierzadko i

ludzkich istnień. Obroną miasta dowodzi Niderlandczyk Justyn Nassau, krewny innego Nassaua,

Maurycyego. A powiadają, że ma oddziały francuskie i walońskie przy bramie Ginneken, angielskie przy bramie Den Bosch, a flamandzkie i szkockie u bramy Antwerpskiej. Wszystkie zaś wielce w sztuce wojennej doświadczone, tedy zdobyć miasta szturmem nie ma sposobności. Stąd konieczność cierpliwego oblężenia, które z takim wysiłkiem i poświęceniem prowadzi nasz generał mość Ambrosio Spinola i piętnaście regimentów katolickich. Są wśród nich, jak zwykle, Hiszpanie, choć nie tak liczni, ale przecie zawsze pierwsi tam, gdzie niebezpieczeństwem pachnie i gdzie potrzeba żołnierza zaprawionego w boju i zdyscyplinowanego.

Zdumiałbyś się Wasza Miłość, oglądając roboty inżynieryjne i koncept, z jakim się je wykonuje. Ani chyba cała Europa nadziwować się nie może, skoro każda wioska i fort wokół miasta połączone są okopami i bastionami, by obleganym wypady niecne udaremnić i zapobiec nadejściu pomocy z zewnątrz. Bywają tygodnie, że w naszym obozie dużo częściej zatrudnienie znajdują łopaty i inżynierzy niżli armaty i rapiery.

Kraj to płaski, łąk pełen i drzew, w wino zgoła nie obfituje, woda tu smaku nie ma, za to przynosi, wszędy zniszczenie tylko i spustoszenie wskutek wojny, stąd i narzekamy na prowianty. Miarka pszenicy kosztuje osiem florenów, o ile fortuna zdarzy, że tyle najdziesz. Nawet siemię brukwi cenniejsze jest od driakwi. Włóścianie i handlarze z okolicznych wsi nie śmiają niczego do obozu naszego dostarczać, chyba że po kryjomu.

Niektórzy spośród żołnierzy hiszpańskich, co w mniejszym poważaniu honor mają niżli żołądek, posilają

się mięsem padłych koni, co nader lichą stanowi strawę. My, giermkowie, w poszukiwaniu żywności zapuszczamy się niekiedy bardzo daleko, nawet na tereny nieprzyjacielskie, gdzie myszkuje heretycka kawaleria, która czasem bierze nas za niedobitków, a czasem to i żelazem nas częstuje. Ja sam nieraz zdrowie zawierzałem szybkości własnych nóg. Niedostatek jest przeogromny, jak już nadmieniałem, zarówno w naszych okopach, jak i w mieście. To zasię działa ku naszej korzyści i na pożytek prawdziwej

wiary, albowiem Francuzom, Anglikom, Szkotom i Flamandom warowni broniącym, jako że plemiona to

zwyczajne dużo wystawniejszego życia, bardziej głód i bieda doskwiera niżli naszej stronie, osobliwie

Hiszpanom. Tu bowiem większość stanowią ludzie wiekowi, nawykli do mizერი w ojczyźnie i wojny na

obczyźnie, gdzie trzeba się opędzić skibką czerstwego chleba i paroma łykami wody czy wina.

Gdybyś waszmość pytał o nasze zdrowie, to ja czuję się dobrze. Jutro kończę piętnaście lat, urosłem też o

kilka cali. Kapitan Alatryste miewa się jak zwykle, skąpy na ciele i skąpy w słowach. Atoli niedostatki nie

zdają się robić na nim wrażenia. Dlatego może, jak sam powiada (podkreśając węża, czyniąc ten swój

grymas, co za uśmiech można by poczytać), że niemal od urodzenia przestawał z panią biedą i żył się z nią,

a że żołnierz do wszystkiego przywyknie, tedy i nie dziwota. Sam Wasza Miłość wiesz, że człek to nieskory

do tego, by za pióro chwycić i epistoły smażyć. Ale polecił mi, bym Waszej Miłości dzięki przekazał za

waszmościne listy. Nalega też, bym pozdrowił waszmość odeń z całą serdecznością i uważaniem. To samo

zechciej waszmość przekazać pozostałym druhom jego spod Turka i Cyganisze.

I ostatnia rzecz. Wiem od kapitana, że WM ostatnimi czasy bywa w Pałacu. Jeśli to prawda, możesz

waszmość spotkać tam dziewczynkę, młodkę może, którą wołają Angelica de Alquezar. Tuszę, że ani chybi

już ją poznałeś. Była, a pewnie jest nadal dworką Najjaśniejszej Pani. W takim przypadku zanoszę do waszmości łaskawą a osobliwą prośbę. Jeśli sposobność się nadarzy, zechciej waszmość przekazać jej, że

Ínigo Balboa przebywa we Flandrii, gdzie służy naszemu królowi i najświętszej wierze katolickiej, i że już

zdążył wziąć z honorem udział w walce, jak na Hiszpana i na żołnierza prawdziwego przystało.

Jeśli uczynisz to dla mnie, drogi mości Francisco, będę darzył waszmość pana jeszcze większym umiłowaniem i przyjaźnią.

Niech Bóg strzeże Waszą Miłość, jako i nas wszystkich.

Ínigo Balboa Aguirre

(Pisane pod murami Bredy, pierwszego dnia kwietnia roku Pańskiego tysiąc sześćset dwudziestego piątego)

Do okopu docierały odgłosy prac minerskich, jakie heretyk prowadził. Diego Alatryste przyłożył ucho do

jednej z wrażonych w grunt belek, co chrust i kosze szanćcowe umacniały, i ponownie wsłuchał się w głucho

szur-szur, dobiegające gdzieś z wnętrza ziemi. Już od tygodnia obrońcy Bredy nocą i dniem trudzili się,

ażeby przeciąć drogę do okopu i przejścia podziemnego, które nasi kierowali w stronę półksiężycy zwanego

Cmentarnym. I tak, piędź za piędzią, my posuwaliśmy się z miną, a tamci z kontrminą, my gotowaliśmy się,

by wysadzić niemało beczulek prochu pod niderlandzkimi umocnieniami, a oni przymierzali się, by to samo

uczynić pod stopami minerów Jego Katolickiej Mości. Rzecz w tym leżała, kto sprawniej i szybciej swego

dopnie. Kto pierwszy wykop ukończy i lont podpali.

- Przeklęte bydłę - powiedział Garrote.

Wsparty na koszu, z głową przekrzywioną i wzrokiem wbitym w dal, stał za osłoną desek, co za strzelnicę

mu służyły, i gotował się do wystrzału z muszkietu, którego lont już się ćmił. Skrobał się przy tym z niechęcią po nosie. Rzeczonym przeklętym bydłkiem był muł, co od trzech dni leżał martwy na słońcu kilka

łokci zaledwie od okopu, na ziemi niczyjej. Czmychnął był z hiszpańskiego obozu, poszwendał się od jednych do drugich, aż nareszcie jakiś muszkietier zza murów, trach, sprawił, że chudoba kopytka wyciągnęła. I teraz psuła się, przyciągając istną chmarę much.

- Mierzysz, mierzysz, a heretyka nie masz – napomknął Mendieta.

- Już niedługo.

Mendieta siedział w głębi wykopu, u stóp Curra Garrote, i iskał się z wszy z iście baskijską skwapliwością

- te utrapienia, jeśli już nie mogły buszować sobie w najlepsze we włosach naszych i łachach, niezwykle

powoli wylaziły na przechadzkę. Biskajczyk, zajęty sobą, uwagę swą uczynił bez szczególnego zainteresowania. Brodę miał gęstą, a strój postrzępiony i powalany ziemią, jak zresztą wszyscy pozostali, w

tym także kapitan Alatryste.

- A widział ty go czy jak?

Garrote pokręcił głową. Kapelusz zdjął był wcześniej, by nie wystawiać się na cel tym z przeciwka.

Przetłuszczone kędziory zebrane miał na karku w brudną kitkę.

- Teraz nie, ale czasami łeb wystawia... Za następnym razem już skurwysyn oberwie.

Alatryste rzucił okiem ponad przedpiersiem, za deskami i chrustem się kryjąc. Upatrzony przez Garrote

Niderlandczyk należał być może do saperów, co jakie dwadzieścia łokci od nas uwijali się u wnijścia do

tunelu. A że nie stał tam nieruchomo, to i zdradzał się ze swą obecnością, co chwila ukazując głowę -

niewiele, ale wystarczająco, by Garrote, uznany za niezrównanego strzelca, celował weń bez pośpiechu, by

na koniec posłać mu kulkę. Nasz malagijczyk, wyznający zasadę ząb za ząb, chciał odpłacić za bohaterską

śmierć muła.

Z półtora tuzina Hiszpanów siedziało w okopie, jednym z najdłuższych, który wił się zygzakiem zgoła

blisko pozycji niderlandzkich. Drużyna Diega Alatryste spędzała w nim dwa z każdych trzech tygodni, reszta

zasię chorągwi kapitana Catona rozproszona była po pobliskich rowach i fosach. Wszystkie znajdowały się

między półksiężycem Cmentarnym a rzeką Mark, w odległości dwóch wystrzałów z arkebuza od głównego muru i cytadeli Bredy.

- Tuś mi, psubratku - mruknął Garrote.

Mendieta, który dopiero co wesz wyiskał i przypatrywał się jej z poufałą atencją, nim ją między palcami

zgniótł, uniósł nagle zaciekawiony wzrok.

- Heretyka masz?

- Mam.

- Do diabłów posyłaj, no.

- Właśnie się przymierzam.

Garrote, językiem wargi zwilżywszy, dmuchnął na lont i nader ostrożnie uniósł muszkiet, przymykając

lewe oko. Jego palec wskazujący pieścił spust, jakby to był sutek dziewczki za pół dukata. Alatryste też nieco

się wychylił i przez chwilę dostrzegł odkrytą głowę, co nieostrożnie wyjrzała z niderlandzkiego okopu.

- I jeszcze jeden, co w grzechu śmiertelnym umiera - dobiegł nas powolny szept Garrote.

Za czym wystrzał się rozległ i zza chmury czarnego prochu Alatryste ujrzał, jak głowa tamtego

raptownie

przepadła.

Zaraz też okrzyki wściekłości do nas dobiegły, a i ze trzy, cztery może pociski trafiły w przedpole okopu.

Garrote, który natychmiast opadł na dno rowu, śmiał się w kulak, dymiący jeszcze muszkiet między nogami

trzymając. Z oddali słychać było kolejne strzały i obelgi we flamandzkiej mowie.

- A niech się pierdola - rzekł Mendieta, natrafiając na kolejną wesz.

Sebastian Copons uniósł jedną powiekę i zamknął ją ponownie. Strzał Garrote zbudził go z drzemki, jaką

ucinał sobie pod samym przedpiersiem, z głową wspartą na powalonym rękawie. Takóż i bracia

Olivaresowie wystawili z zaciekawieniem swe najeżone po turecku łby zza zakrętu okopu. Alatryste

przykucnął i siadł plecami do nasypu, sięgnął ręką do kieszeni i wyjął kawałek czarnego, czerstwego chleba

z fasunku, który trzymał tam od poprzedniego dnia. Wsunął go do ust, zwilżył śliną i jął z wolna żuć. Przy

woni rozkładającego się muła i stęchłym powietrzu w okopie nie była to wyśmienita strawa, ale też wyboru

nijakiego kapitan nie miał, przeto nawet ta szydercza skibka jawiła się niczym uczta Baltazara. Na nowe

prowianty nie było co liczyć przed nadejściem nocy, gdy ciemność osłony udzieli. Za dnia było nazbyt

niebezpiecznie.

Mendieta puszczał kolejną wesz po wierzchu swej dłoni. W końcu znużyła go ta zabawa, tedy rozgniół ją

mocnym kłaśnięciem. Garrote stemplem czyścił lufę jeszcze ciepłego arkebuza, nucąc przy tym jakąś piosnkę włoską.

- Ech, nie ma to jak w Neapolu - rzekł po chwili, odsłaniając śród poczerniałej, bisurmańskiej twarzy biały

uśmiech.

Wszystkim wiadome było, że Curro Garrote dwa lata przewojował był w regimencie sycylijskim i cztery

w neapolitańskim, a do zmiany przydziału zmusiły go nie do końca jasne sprawy - wspomniano o

niewiastach, sztylcie, nocnej kradzieży z podkopem, o jakimś nieboszczyku, o przymusowych wczasach w

turmie wikariatu i kolejnych dobrowolnych pod osłoną kościoła Capella, gdzie dokonało się to, o czym pisał

poeta:

Kto się wyrwał, gdym go gonił,

Kto mi płaszcz ostawił w dłoni,

Temu nie zagrozi sąd,

Skoro łącno pierzchnął stąd

I się u papieża schronił.

Owóz pomiędzy tymi wypadkami Garrote zdążył jeszcze na galerach królewskich zwiedzić wybrzeże

berberyjskie i wyspy Wschodu, niezgorzej spustoszyć ziemie niewiernych i ograbić tureckie karamuzale i

fusty. Jak zapewniał, w ciągu owych lat zdołał był tak się w łupy obłowić, że wystarczyłoby na spokojną

starość. I tak też by było, gdyby w paradę nie weszła mu nadmierna czereda niewiast, a on sam gdyby nie

czuł zbytniego pociągu do kart. Skoro bowiem tylko nasz malagijczyk talię jaką gdzie zoczył albo stoliczek

greczny, ize nisko grać nie zwykł, potrafił słońce przegrać, nim się do wschodu przysposobiło.

- Włochy - powtórzył z cicha, spoglądając w przestrzeń z szelmowskim uśmieszkiem.

Wymówił tę nazwę jak ktoś, kto imię damy wspomina, co akurat kapitana Alatryste ani trochę nie zdziwiło.

Lubo nie tak ochoczo się tym przechwalał, ale sam przecie miał za sobą bogate wspomnienia

włoskie, które,

jeśli to możliwe, teraz we flamandzkim okopie zdawać się musiały jeszcze miłsze sercu. Jak wszyscy

weterani dawnych kampanii w Italii, darzył ów kraj osobliwym uczuciem - a może nie tyle kraj, ile raczej

młodość własną pod ciepłym i gościnnym śródziemnomorskim niebem. Gdy ze swego regimentu zwolniony

został w wieku dwudziestu siedmiu lat po buncie morysków w Walencji, zamustrował się na galery

apolitańskie i wojował z Turkami, Berberami i Wenecjanami. Pływając na galerach markiza de Santa Cruz 1,

widział, jak płonie bisurmańska flotylla pod Goletą, pod rozkazami kapitana Contrerasa 2 opłynął wyspy

Adriatyku, brał też udział w niesławnej a tragicznej bitwie na mieliźnie przy Qerqennach, skąd dzięki

1 Chodzi zapewne o syna słynnego admirała Alvara de Bazan, markiza de Santa Cruz (1526-1588), wsławionego w bitwie pod

Lepanto. Epizod, o którym mowa, miał miejsce 24 lata po śmierci wielkiego markiza.

2 Alonso de Contreras (1582-1641) - awanturnik, korsarz, unieśmiertelniony przez Lopego de Vega w komedii El rey sin reino

pomocy kompana imieniem Diego Duque de Estrada 1 wyciągnął solidnie ранego junaka Alvara de la

Marca, przyszłego hrabiego de Guadalmedina. W owych latach młodości na przemian doświadczał srogich

wypadków losu i rozkoszy italskich, czemu niejedno cierpienie albo niebezpieczeństwo towarzyszyło,

nic wszelako nie zdołało przyćmić kapitanowi słodkich wspomnień winnic na łagodnych zboczach

Wezuwiusza, przyjaciół, muzyki, wina w Gospodzie nad Strumykiem i precudnych białogłów. W roku

naszego stulecia trzynastym jego galera wpadła między Scyllą a Charybdą prosto we wraże łapy - a było to u

ujścia Bosforu - naszpikowana po czubek masztu tureckimi strzałami, a połowę załogi psubraty

usięły. On

sam, ranny w nogę, swobodę odzyskał, gdy statek wiozący go w jasyr został sam napadnięty. Dwa lata

potem, roku piętnastego, ledwie Alatryste osiągnął wiek Chrystusowy, znalazł się wśród tysiąca sześciuset

żołnierzy włoskich i hiszpańskich, którzy na pięciu okrętach przez cztery miesiące pustoszyli wybrzeże

Lewantu, by nareszcie w Neapolu wylądować z imponującymi łupami. I tam ponownie szczęście przestało

się doń uśmiechać.

Jedna smagłej płci niewiasta, pół Włoszka, pół Hiszpanka, czarnowłosa i o wielkich oczach - z tych, co to

rzekomo trwożą się na widok myszy, za to chętnie przyjmują towarzystwo całej kompanii arkebuzerów - jęła

go prosić zrazu o śliwki genueńskie, potem o złoty naszyjnik, a na wety o jedwabne szatki.

Ostatecznie wyssała zeń na to wszystko ostatnie grosze. A później awantura przebiegała jak w komediach

Lopego: odwiedziny nie w porę, inny mężczyzna w samej koszuli i w takim miejscu, gdzie nie powinien.

Osobnik w koszuli z miejsca podważył zaufanie kapitana do urodziwej szelmy, która nuże protestować, że to

przecie jej szwagier (lubo po prawdzie wyglądał raczej na suchego szwagra). Zresztą Diego Alatryste zbyt

dawno już stracił był mleko pod nosem, żeby takim bajdurzeniom wiarę dawać. Przeto wymierzywszy

podwice siarczasty policzek sztyletem i wetknąwszy nieproszonemu gościowi piędź żelaza między pierś a

grzbiet - rzekomy szwagier musiał bez gaci do walki stanąć, co znacznie wigoru mu ujęło w chwili prawdy -

Diego Alatryste postanowił czym prędzej sprawdzić, gdzie pieprz rośnie, nim w łapy sprawiedliwości

wpadnie. To w jego przypadku oznaczało natychmiastowe wejście na pokład statku do Hiszpanii płynącego,

co udało mu się dzięki pomocy starego znajomka, wspomnianego już Alonsa de Contreras.

W jednym wieku byli, a znali się od czasu, gdy jako trzynastoletnie pacholęta do Flandrii ruszyli pod sztandarami księcia Alberta 2

- Catón idzie - ozwał się Garrote.

Kapitan Carmelo Catón nadchodził rowem schylony, kapelusz w dłoni trzymał, by się na cel nie wystawiać, i przemarszu wrażeń arkebuzerów wypatrywał, stacjonujących w półksiężycu naprzeciw nas. A

i tak, mimo tej przezorności, na jego przybycie zaświstało parę pocisków muszkietowych, ziang, ziang, i w

przedpiersie uderzyło - snadź niełatwo ukryć przed okiem schizmatyka męża jego postury, jako że kapitan

był krzepkim leonczykiem i na sześć stóp wyrastał.

- Niech im Bozia plagą pobłogosławi - burknął Catón, padając pomiędzy Coponsem a Alatristem.

Wachlował sobie spocone oblicze kapeluszem w prawej dłoni trzymanym, drugą oparł na rękojeści rapiera, niedomagala mu bowiem od czasu bitwy przy młynie Ruijter, gdzie stracił po kawałku serdecznego i

małego palca. Po chwili, podobnie jak wprzód Diego Alatryste, przyłożył ucho do jednej z wbitych w

ziemię desek i zmarszczył czoło.

- Uwijają się te bezbożne krety - powiedział, po czym opadł na plecy, drapiąc się w wąsy, po których

spływały mu z nosa krople potu.

- Dwie złe nowiny przynoszę - dodał.

Tu rozejrzał się po brudnym i nędznym okopie, po wymizerowanych żołnierzach, i skrzywił nos, gdy odór

gnijącego muła poczuł.

- Lubo rzecz trzeba, że dla Hiszpana - zażartował - tylko dwie złe nowiny to już dobra nowina.

Co rzekłszy, na powrót zamilkł. Wreszcie z nieprzyjemnym grymasem potarł sobie nos.

- Wczoraj w nocy zabili Ulloę.

Ktoś Boga wezwał, inni milczeli. Ulloa był kapralem, dowódcą drużyny, starym wiarusem. Zaczynał kompan

tak długo, dopóki swojej doli nie wywalczył. Catón skąpymi słowami wyjaśnił, że Ulloa wyszedł był po

zmroku na rekonesans w kierunku okopów niderlandzkich. Towarzyszył mu pewien Włoch, sierżant, i ten

już wrócił.

- Komu spadek zapisał? - zaciekawiał się Garrote.

- Mnie - odparł Catón. - I udział w intencjach za duszę.

1 Diego Duque de Estrada (1589-1647) - żołnierz i pamiętnikarz, autor wspomnień Comentarios del desengaño de sí mismo (Uwagi

człeka, co się sam sobą rozczarował).

2 Książę Albert Habsburg (1559-1621) - arcydiuk i kardynał, siostrzeniec Filipa II i zarazem jego szwagier przez

siostrę Annę Austriaczkę.

Przez jakiś czas milczeli, i tak to pożegnano kaprała Ulloę. Copons dalej drzemał, Mendieta wszy

wyłapywał. Garrote, który skończył już właśnie muszkiet pućować, robił porządek z paznokciami: obgryzał i

wypluwał czubki nie mniej czarne niżli jego własna dusza.

- Jak się posuwa wasz podkop? - zapytał Alatryste.

Catón minę zniechęconą uczynił.

- Prawie się nie posuwa. Saperzy natrafili na ziemię nader miękką, na domiar złego przesiąka woda z

rzeki. Siła roboty mają przy stemplowaniu, a to czas zabiera... Obawiam się, że heretycy skończą pierwi i

poślą nas do wszystkich diabłów.

Z drugiego, niewidocznego końca okopu dobiegły odgłosy ostrej strzelaniny - i zaraz umilkły. Na powrót

spokój zapanował. Alatryste wpatrywał się w swego kapitana, czekając, kiedy ten wreszcie przekaże im

drugą złą nowinę. Catón nie zwykł ich nawiedzać tylko po to, żeby nogi rozprostować.

- Na waszmościów - ozwał się wreszcie oficer - wypadło pójść do kaponier.

- Chryste, w dupę - zaklął Garrote.

Kaponiery, drążone przez saperów, były to wąskie tunele, biegnące pomiędzy fosami, a przykryte derkami,

drewnem i koszami. Używano ich, by nieprzyjaciołom w ich pracach przeszkodzić tudzież by podejść do ich

okopów i osłon, gdzie można było petardy odpalić i przeciwnika zaczadzić dymem z siarki i mokrej słomy.

Ot, łotrowski sposób prowadzenia wojny pod ziemią, po ciemku, w korytarzach tak ciasnych, że czasem

tylko dwóch ludzi mogło się minąć, a i to z trudem, gdzie człek dusił się od skwaru, pyłu i siarkowych

wyziewów, a mimo to walczyć musiał na sztylety i pistolety, choć oko wykol. Kaponiery naprzeciw

półksiężycy Cmentarnego wiły się wokół głównego tunelu hiszpańskiego i nader blisko jednego z tuneli

niderlandzkich, a służyły naszym do nękania wroga, i nierzadko ściana ziemnej konstrukcji padała dzięki

kilofom albo petardom, saperzy z obydwu stron stawali oko w oko, dalej więc sztyletów dobywać i z

pistoletów z bliska walić, a czasem to i krótkie łopaty w ruch poszły, które dla tych zatrudnień ostrzono

kamieniami szlifierskimi, by ostrości klingi sztyletu nabrały.

- Już czas - powiedział Diego Alatryste.

Przycupnął u wnijscia do głównego tunelu z całą grupą, kapitan Catón zasię obserwował ich, klęcząc nieopodal z resztą drużyny i jeszcze z tuzinem ludzi tej samej chorągwi, bacząc, czy na pomoc rzucić

się nie

trzeba. Mojemu panu towarzyszyli Mendieta, Copons, Garrote, Galisyjczyk Rivas i obaj bracia

Olivaresowie. Manuel Rivas, jasnowłosy i niebieskooki pocziwina, mężem był śmiałym i zaufania godnym

i gadał paskudną hiszpańszczyznę z silnym akcentem z Finisterre 1. Olivaresowie z kolei wyglądali na

bliźniaków, lubo nimi nie byli. Rysy mieli uderzająco podobne, lica jakby cygańskie, a gęste, czarne czupryny i brody okalały dumne, semickie nochale, po których snadź na milę można było wnosić, że ktoś z

pradziadków ani chybi boczku nie jadał - ten akurat szczegół ich kompanów tyle obchodził, co zeszłoroczna

pogoda, jako że w regimentach nigdy kwestii czystości krwi nie podnoszono: kto dobrze wojował, musiał

chlubić się krwią czystą i szlachetną. Bracia wszędy pospołu chodzili, spali grzbiet w grzbiet, dzielili się

nawet ostatnim kęsem chleba i jeden drugiego osłaniał podczas bitwy.

- Kto pierwszy idzie? - zapytał Alatryste.

Garrote trzymał się z tyłu, najwyraźniej niezwykle zajęty sprawdzaniem, czy sztylet należycie był naostrzył. Rivas z bladym uśmiechem już, już miał do przodu się wysunąć, atoli Copons, jak zwykle w

słowach i gestach oględny, podniósł kilka słomek i rozdał towarzyszom. Najkrótsza dostała się Mendiecie.

Spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, po czym lewak poprawił, kapelusz i rapier na ziemi położył, wziął od

Diega Alatryste nabity pistolet i ruszył w głąb kaponiery, niosąc w drugiej dłoni wybornie naostrzoną łopatę.

Za nim ruszyli Alatryste i Copons, również pozbywszy się wprzód rapierów i kapeluszy i napierśniki na

sobie poprawiwszy, a ich śladem poszła reszta, żegnana milczącym spojrzeniem Catona i pozostałych

żołnierzy.

Początek głównego przekopu rozświetlony był smolną pochodnią. Jej mętny blask wydobył z mroku spocone nagie torsy niemieckich saperów, którzy poniechali na moment swych robót, by na kilofach i szpadlach się wesprzeć i na mijających ich żołnierzy spojrzeć. Teutoni równie zacie kopalni, co walczyli,

osobliwie, gdy byli dobrze opłaceni i trzeźwi. Nawet ich niewiasty, co obładowane niczym muły donosiły im

prowianty z obozu, też nie próżnowały przy koszach i narzędziach. Ich kapral, rudobrody osiłek z ramionami

jak połcie szynki andaluzyjskiej, poprowadził oddział przez gmatwaninę tuneli umocnionych deskami,

derkami, chrustem i koszami, a im bliżej Niderlandczyków, tym niżej i ciasniej się robiło. Nareszcie saper

przystanął u wnijscia do kaponiery, co więcej jak trzy stopy wysokości nie mierzyła. W świetle

zawieszonego tu kaganka widać było lont, który gubił się gdzieś w ciemnościach, złowrogi jak jaka czarna

zmija.

- Łokiecz eine, jeden - rzekł Niemiec, rękami pokazując, jaka grubość ziemi dzieli czoło kaponiery od

tunelu niderlandzkiego.

1 Finisterre - najbardziej na zachód wysunięty przylądek Galicji, w pñn.-zach. Hiszpanii.

Alatriste skinął głową i wszyscy odsunęli się od wylotu i do ściany przyłgnęli, by osłonić sobie usta i nosy

gałganami.

Wówczas Niemiec posłał im uśmiech.

- Zum Teuffell. 1

Tyle rzekł. Za czym ujął kaganek i przyłożył ogień do lontu.

Tunel biegł pod cmentarzem, przeto zewsząd spadały na nich kości pomieszane z ziemią. Długie i

krótkie,

i nagie czaszki, piszczele, kręgi. Całe szkielety przyobleczone w porwane, brudne całuny, w postrzępione

szaty, które czas z wolna pożerał. Wszystko to jeszcze z pyłem zmieszane i gruzem, z przegniłymi kawałkami trumien i nagrobków, a także z odurzającym fetorem, który wypełnił kaponierę po tym, jak

Diego Alatryste po wybuchu jął z pozostałymi pełznąć w stronę otworu, mijając po drodze przerażone

szczury. W sklepieniu powstała niewielka dziura aż do samej powierzchni, przez którą sączyło się teraz co

niewiele światła i powietrza. Gdy jednak przecisnęli się już przez tę mętną smugę, dodatkowo zasnutą

dymem od niedawnej eksplozji, powitała ich kolejna ciemność, tym razem pełna jęków i krzyków w cudzoziemskim języku. Alatryste czuł, jak pod napierśnikiem ciało zalewa mu pot, usta za to coraz bardziej

suche i piachu pełne pomimo gałgana, jakim twarz osłaniał.

Posuwał się naprzód na łokciach, gdy raptem spod nóg człeka, co go poprzedzał, coś okrągłego potoczyło

się pod nos. Była to ludzka czaszka - pozostała część roztrzaskanego przez wybuch szkieletu plątała mu

się pod rękami i nogami, srodze kalecząc ostrymi końcami skórę na udach. O niczym nie myślał. Podążał

piędz za piędzą, z zaciśniętymi szczękami i powiekami, by ziemi do ust i oczu nie dopuścić, z trudem

oddech łapiąc spod okrywającego oblicze materiału. Niczego nie czuł. Dla jego nieustannie napiętych mięśni

ważne było jedno: sprawić, by za życia odbył tę wędrówkę tam i z powrotem przez królestwo umarłych i

ujrzał na nowo światło dnia. Świadomość jego sprowadzała się jeno do tego, że mechanicznie powtarzał te

samo czynności z zawodową skrupulatnością żołnierza. Pełził naprzód, ponieważ pogodził się z tym, co

nieuniknione, i ponieważ jeden kompan szedł przed nim, a drugi za nim tuż postępował. To właśnie miejsce

Los wyznaczył mu na ziemi - a raczej pod nią, by bardziej w zgodzie być z prawdą - i żadna myśl ani uczucie żadne nie mogły tego zmienić. Niedorzecznością się zdawało, by czas i własną uwagę mitrzyć na

cokolwiek, co nie wiąże się z dobytciem pistoletu i sztyletu, gwoli jeno makabrycznego rytuału od wieków

przez ludzkość odprawianego: zabijać, byleby przeżyć. Wobec tak prostych spraw nic innego się zgoła nie

liczyło. Jego król i ojczyzna jego - gdziekolwiek leżała rzeczywista ojczyzna kapitana Alatryste - byli zbyt

daleko od owego podziemnego korytarza, od owej czerni, na końcu której coraz wyraźniej słyszał skargi

niderlandzkich saperów, przez wybuch zaskoczonych. Mendieta pewnikiem już do nich dotarł, Alatryste

mógł już bowiem rozróżnić suche odgłosy, jakie wydawały ranione ciała i łamane kości. Snadź Biskajczyk

nader wybornie łopata się zatrudniał.

Ledwie minęli zwały gruzu, kości i chmury pyłu, kaponiera rozszerzyła się do rozmiarów sporego korytarza, czyli niderlandzkiego tunelu, który teraz w istne mroczne pandemonium się przeistoczył. Jeszcze

w kącie jednym tlił się knot lampy łożowej: wątle czerwone światło, co ledwie dozwalało dostrzec

zarysy jęczących wokoło cieni. Alatryste wturlał się do środka, podniósł się na kolana, wsunął pistolet za pas

i jał wolną dłoń przed sobą macać. Łopata Mendiety nie próżnowała, nareszcie głos jakiegoś heretyka

uderzył w lamenty. Ktoś wypadł z wylotu kaponiery prosto na kapitana, aże ten poczuł, jak cała kompania

gromadzi mu się z wolna na grzbiecie. Nagły wystrzał z pistoletu rozjaśnił na sekundę pomieszczenie i ciała

po ziemi jeszcze pełzające albo zgoła nieruchome, a ponad nimi zaśśniała czerwona od krwi łopata Mendiety.

Pył i dym znikwały wewnątrz kaponiery skutkiem przeciągu powietrza, jaki płynął od strony

niderlandzkiego tunelu, Alatryste przeto ruszył ostrożnie w tamtym kierunku. Raptem zderzył się twarzą z

kimś żywym i ledwie zdążył, na dźwięk rzuconego przekleństwa po flamandzku, uchylić się przed strzałem,

który osmalił policzek. Zaraz atoli na przód ruszył, dopadł przeciwnika i dwukrotnie na krzyż lewakiem

sieknął, zrazu przecinając powietrze, ale gdy powtórzył cios z głębszym wypadem, wreszcie ostatnim

sztylem wrażego ciała dosięgnął. Wrzask się rozległ, a zaraz potem odgłos umykającego na czworakach,

tedy Alatryste podążył w ślad za krzykami przerażenia, zadając ciosy poprzez mrok. Dopadł go wreszcie po

omacku, za stopę ucapił i jął wbijać sztylet wprzód w ową stopę, a potem coraz wyżej raz po raz, aż tamten

całkiem przestał wrzeszczeć i na amen znieruchomiał.

- Ik geefmij over 2

Te słowa padły jak grom z jasnego nieba, wiadome wszak było powszechnie, że w kaponierach jeńców

nikt nie bierze

- Hiszpanie też, gdyby karta się odwróciła, łaski się nie spodziewali. Toteż i głos ów uwiązał właścicielowi

w gardle i w śmiertelny charkot się przemienił, gdy któryś z napastników, naprowadzony na przeciwnika,

1 Zum Teufel (niem.) - do diabła.

2 Ik geefmij over (niderl.) - poddaję się.

doskoczył do niego i załatwił sprawę jednym pchnięciem. Alatryste dosłyszał, że hałasy jeszcze się wzmożyły,

zamarał przeto i słuch wyostrzył. Dwa kolejne wystrzały dozwoliły mu dostrzec Coponsa, jak spleciony z

jakimś Niderlandczykiem po ziemi się turlał. Potem dobiegły go nawoływania braci Olivaresów. Copons i

Niderlandczyk przestali hałasować i przez chwilę zastanawiał się, który z nich z życiem z potyczki uszedł.

- Sebastian! - szepnął.

Copons rozwiął jego wątpliwości cichym mruknięciem.

Teraz niemal kompletna cisza zapanowała, którą zakłócały jeno czyjś bliski oddech i szuranie ciał ludzkich

po podłożu. I znów Alatryste podpełzł na kolanach, jedną ręką przed sobą macając, a drugą, zaciśniętą na

lewaku, trzymając z tyłu w czujnej gotowości. W ostatnich rozbłyskach kaganka zamajaczył wylot tunelu

wiodącego do wrażych okopów, teraz pełnego gruzu i potrzaskanych belek. Leżał tam w poprzek jakiś

nieruchomy kształt, przeto kapitan, dźgnąwszy go po dwakroć na wszelki wypadek, przelazł po nim i zagłębił się w czeluści. Tu przystanął i nasłuchiwał chwilę. Z drugiej strony dobiegała cisza - i jakiś zapach.

- Siarka! - krzyknął.

Fala docierała powoli z głębi tunelu, popychana ani chybi przez miechy, jakimi Niderlandzcy posłużyli

się na tamtym końcu, by dym ze słomy, dziegciu i siarki do podziemia wtłoczyć. Snadź niewiele dbali o

rodaków swoich, którym wciąż jeszcze po tej stronie życie zachować się udało - a może podejrzewali, że już

wszyscy leżą bez ducha. Przeciąg dodatkowo impetu trującym wyziewom dodawał i za jeden pacierz chmura

mogła tu dotrzeć. Nagła trwoga kazała kapitanowi wycofać się na czworakach przez rumowisko i leżące

ciała.

U wnijscia do kaponiery zderzył się z kompanami, którzy cisnęli się już do otworu i po chwili, co wiecznością się zdała, na powrót czołgał się wąskim przejściem tak chyżo, jak tylko był zdolny, podciągając

się na łokciach i kolanach skroś szkielety i resztki cmentarza. Za sobą słyszał sapania i przekleństwa, w

których rozpoznawał Curra Garrote. Malagijczyk popędzał go, ilekroć w buty jego tryknął. Przeszli pod

dziurą w stropie kaponiery, łapczywie chwytając ustami świeże powietrze, i dalej zagłębiali się w ciasnotę i

mrok, zęby zaciskając i wstrzymując oddech. W końcu Alatryste dostrzegł ponad ramionami i głową

poprzedzającego go towarzysza bladą poświatę kresu korytarza. Nareszcie i on wydostał się do dużego

tunelu, już przez niemieckich saperów opuszczonego, a następnie do hiszpańskich okopów, zerwał szmatę z

twarzy i jął oddychać głęboko, ocierając przy tym pot i brud z policzków.

Wokół niego gromadziły się podobne mu, jakoby wskrzeszone trupy, zbrukane i wycieńczone, znużone i

oślepię jasnością. Kiedy i jego oczy przywykły do oświetlenia, ujrzał kapitana Catona, który czekał śród

saperów teutońskich i reszty oddziału.

- Wszyscy są? - zapytał Catón.

Brakowało Rivasa i jednego z Olivaresów. Młodszy Pablo, którego czupryna i broda nie czarne, a siwe

były teraz od pyłu i brudu, rzucił się z powrotem do kaponiery, by brata ratować, ale go Garrote z Mendieta

powstrzymali. Niderlandczycy, rozeźleni i zbici z pantalą tym, co zaszło, urządzili ciężką palbę z arkebuzów, a pociski ich furczały i waliły gęsto w kosze okopu.

- Sakramencki łomot dostały psiejuchy, no - rzekł Mendieta.

W jego głosie słychać było nie triumf, jeno przeogromne zmęczenie. Wciąż trzymał w dłoni łopatę, teraz

brudną od ziemi z krwią zmieszanej. Na obliczu Coponsa, co leżał obok Alatristero i z trudem wielkim

ziajał, pot zlał się z brudem w połyskującą, błotnistą maskę.

- France jedne! - wołał rozpaczą przejęty młodszy Olivares. - France heretyckie, żebyście w piekle zgniły!

Poniechał złorzeczeń, gdy z tunelu wyłonił się Rivas, ciągnąc za sobą drugiego Olivaresa - na wpół uduszonego, ale żywego. Niebieskie oczy Galisyjczyka nabiegły czerwienią od krwi.

- Ach, pies trącił. - zdarł z twarzy gałgan i wykrztusił z gardła grudki ziemi.

- Bogu dzięki - ozwał się, gdy tylko porcję świeżego powietrza do płuc wciągnął.

Jeden z Niemców przyniósł bukłak z wodą i wszyscy jęli chciwie żłopać, jeden za drugim.

- A choćby i osłe szczyny - mamrotał Garrote, oblewając sobie strużką podbródek i tors.

Alatristero, leżąc na ziemi i ocierając lewak z ziemi i krwi, poczuł na sobie wzrok Catona.

- I co w tamtym tunelu? - spytał nareszcie oficer.

- Czysty jak ten sztylet.

Tu zamilkł i wsunął klingę za pas, po czym wyjął spłonkę z pistoletu, którego nawet użyć nie zdołał.

- Bogu dzięki - powtarzał raz za razem Rivas, żegnając się pobożnie. Z oczu ciekły mu ziemiste łzy.

Alatristero nic nie mówił. Pomyślał tylko, że czasem Bóg czuje się zaspokojony. W takich chwilach, gdy

nasyca się cierpieniem i krwią, w inną stronę spogląda i odpoczywa.

VIII. OPONA

Tak to minęły nam dni kwietniowe, na przemian dżdżyste i słoneczne, a na polach, w okopach i w dołach

pełnych trupów zazieleniła się trawa. Waliła nasza artyleria w mury Bredy, saperzy obydwu stron prześcigali

się w minach i kontrminach, a kto żyw, strzelał z arkebuza w kierunku przeciwnika. Monotonie oblężenia

urozmaicały wypadły to z naszej strony, to z heretyckiej. Mniej więcej podówczas właśnie jeły dochodzić nas

wieści o niedostatku, jaki cierpią oblegani, lubo i tak mniejszy był niżli bieda, co nas oblegających stała się

udziałem. Różnica polegała na tym, że oni wzrosli w kraju żyznym, pełnym rzek i pól, w miastach szczodrze

przez Fortunę obdarzonych, gdy tymczasem my od wieków syciliśmy naszą suchą hiszpańską ziemię potem

i krwią, byle choć odrobinę chleba z niej wydobyć. Skutkiem takiego spraw obrotu, iż tamci byli bardziej

skłonni do wygod niżli do mizერიi - czy to z urodzenia, czy z nawyku - niektórzy Anglicy i Francuzi zaczęli z

Bredy czmychać i na naszą stronę przechodzić, opowiadając, jako to za murami już pięć tysięcy z głodu

zmarło wśród gminu, mieszczan i zbrojnych. Od czasu do czasu na wprost murów zawisali szpiedzy

niderlandzcy, co przedrzeć się usiłowali z coraz bardziej rozpaczliwymi listami, jakie Justyn i Maurycy

Nassau do siebie posyłali. Drugi z nich niewiele mil stamtąd obozował; ani na chwilę nie poniechał prób

przyjścia krewniakowi w sukurs i atakował obręcz, jaka opasywała twierdzę już prawie rok.

W owych dniach dobiegła nas nowina, że rzeczony Maurycy Nassau wznosi groblę obok Zevenbergen,

jako dwie godziny marszu od Bredy, by w naszą stronę skierować wody rzeki Mark, za sprawą pływów

morskich zatopić nasze kwatery i okopy tudzież barkami dostarczyć miastu posiłki i prowiant.

Wielkie to było dzieło, nader ambitne i sprytnie pomyślane, rozlicznych saperów i marynarzy w tym celu

zatrudniono, by trawę i chrust zbierali oraz kamienie, drzewo i deski zwozili. Zdołali już byli zatopić trzy

wielce obciążone holowniki, a teraz z obydwu brzegów pośpiesznie nagarniali ziemię drewnianymi

spychaczami, umacniając zarazem służę bojami i palisadą.

Wielką czujność to wszystko w naszym generale Spinoli wzbudziło i czas cały daremnie mitrężył na to, by

zapobiec chwili, gdy dnia pewnego nieoczekiwanie zgoła obudzimy się z wodą szyi sięgającą. Słyszało się

porady krotochwilne, żeby żołnierzy z regimentu niemieckiego tam posłać, to zamiary Nassaua na panewce

ani chybi spałą, jako że Germanie to nacja nader skrupulatna:

Mogę dać rozkaz Germanom

I rzec im: „Groblę tę trzeba

Zburzyć, ni chwili nie tracąc,

Bo nas zatopią na amen",

I jestem pewien, że łącno

Uwiną się z tym, albowiem

Ci wodą się nie opijają.

W tych dniach również kapitan Alatryste rozkaz otrzymał, by stawić się w namiocie marszałka polnego,

mości Pedra de la Daga. Udał się tam pod wieczór, gdy słońce chyliło się już ku płaskiemu widnokręgowi i

rdzawym blaskiem oblewało groble z rysującymi się na nich w oddali sylwetkami wiatraków i zagajnikami

okalającymi bagniska na północnym zachodzie. Przed rozmową Alatryste wyporządził mundur, ile się dało:

napierśnik z bawolej skóry okrywał łaty na koszuli, broń lśniła jeszcze bardziej niżli zazwyczaj, a lederwerki

błyszczały od świeżo nałożonego łoju. Kapitan wszedł do środka z głową odkrytą, jedną dłonią dzierżąc

kapelusz, drugą trzymając na rękojeści rapiera, stanął bez słowa wyprężony i czekał, aż mość Pedro de la

Daga, co z kapitanem Catonem i innymi oficerami właśnie gawędził, raczy poświęcić mu swą uwagę.

- Otóż i on - ozwał się wreszcie marszałek polny.

Alatriste nie okazał ni niepokoju, ni zdziwienia na takie dictum, wszelako zdołał spostrzec dyskretny a

uspokajający uśmiech, jaki Catón posyłał mu sponad pleców dowódcy regimentu. W namiocie znajdowało

się jeszcze czterech oficerów, wszystkich zasię Diego Alatriste znał z widzenia: mość Hernan Torralba,

kapitan innej chorągwi, regimentarz Idiaquez i dwóch młodych, nazywanych „rycerzami" albo gośćmi marszałkowymi, przydzielonych do sztabu regimentu. Byli to arystokraci czy też szlachcice przedniej krwi,

co służyli za darmo z czystej żądzy chwały, a może raczej - jak to nierzadko bywało - gwoli zdobycia reputacji przed powrotem do Hiszpanii, gdzie czekały na nich beneficja z tytułu znajomości, rodzinnych

powiązań albo innego rodzaju wpływów. Wszyscy sączyli z kryształowych kielichów wino, nalewane z

butelek, co stały na stole śród ksiąg i map rozlicznych. Alatriste ostatni raz widział był kryształ podczas

plądrowania Oudkerk. Gdzie pasterze i wino się zejda - pomyślał - tam zguba dla owiec.

- Winszujecie sobie trochę, panie żołnierzu?

Bardasznurek wykrzywił twarz w czymś, co zapewne miało być uśmiechem, i wolną dłonią wskazał butelki i kieliszki.

- Słodkie wino Pedro Ximenez - dodał. – Niedawno z Malagi przybyło.

Alatriste przełknął ślinę, pilnując, by nikt nie zauważył.

W południe wespół z kompanami pożywiali się w okopie chlebem maczanym w oleju z brukwi, popijając

to odrobiną brudnej wody. I dlatego - westchnął do siebie - każdy powinien pozostać na swoim miejscu. Z

przełożonymi lepiej się nie spoufalać, tak samo jak oni niechętnie czynią to z podkomendnymi.

- Za waszmościny pozwoleniem - odparł po krótkim namyśle - poczęstuję się przy innej sposobności.

Mówiąc, wyprężył się jeszcze bardziej, chcąc słowom swoim przydać nieco respektu. Ale mimo to

marszałek polny uniósł brwi, za czym plecami się doń odwrócił, jakby mapy pochłonęły go całkowicie, a

gość był tu zgoła zbędny. „Rycerze” z zaciekawieniem lustrowali Diega Alatryste od stóp do głów. Stojący

nieco z tyłu z kapitanem Torralbą Carmelo Catón, jeszcze wyraźniejszy uśmiech na twarz przywołał, ale ten

zgasł zaraz, gdy tylko głos zabrał regimentarz Idiaquez. Ramiro Idiaquez, weteran o siwych wąsach i

białych, króciutko przyciętych włosach, miał sporą szramę, co zdawała się nos dzielić mu na dwoje -

pamiętkę po oblężeniu i zdobyciu Calais 1 pod sam koniec ubiegłego stulecia. Były to jeszcze czasy naszego

pocziwego Filipa Drugiego.

- Spotkanie się szykuje - rzekł szorstkim tonem, którego i do wydawania rozkazów, i przy wszelkiej innej

okazji używał. - Jutro z rana. Pięciu na pięciu, wedle bramy Den Bosch.

W owych czasach starcia takie do rzadkości nie należały. Bywało, że przeciwnicy, znużeni monotonią

wojennych działań, w osobiste utarczki się wdawali, i to na takich właśnie fanfaronadach i zuchwalstwach

honor krajów i sztandarów budowano. Przecie nawet wielki cesarz Karol ku uciesze całej Europy wyzwał na

pojedynek swego zaprzysięgłego wroga, króla Franciszka I, atoli Francuz, tego podumawszy, propozycję

odrzucił. Historia tak czy inaczej wystawiła żabojadowi rachunek pod Pawią, gdzie oddziały jego w puch

rozbito, kwiat rycerstwa wycięto, a on sam ujrzał się bez konia, za to z rapierem Juana de Urbieta 2, mego

krajana z Hernani, przy własnym królewskim podgardlu.

Zapadło krótkie milczenie. Alatryste nie odzywał się, czekając, aż ktoś cokolwiek dopowie. I istotnie ozwał

się wreszcie jeden z owych szlachetnych gości.

- Wczoraj dwóch wielce zadufanych w sobie Niderlandczyków z Bredy zaniósło do nas taką propozycję...

Jak się zdaje, jeden z naszych arkebuzerów zastrzelił ich znajomka w okopach twierdzy. Proszą o jedną

godzinę w otwartym polu, pięciu na pięciu, każdy z dwoma pistoletami i rapierem. Ma się rozumieć, podjęliśmy tę rękawicę.

- Ma się rozumieć - zawtórował mu drugi „rycerz”.

- Żołnierze włoskiego regimentu pułkownika Lataro gotowi są wziąć udział, aleśmy uznali, że po naszej

stronie jeno Hiszpanie wystąpią.

- Co oczywiste - dodał drugi.

Alatryste popatrzył na nich przeciągle. Pierwszy, który przemówił, dobiegał trzydziestu wiosen, odziany

był w szaty niewątpliwie przedniej jakości, a pendent jego rapiera z toledańskiej stali wykonany był z

przedniego marokinu wysadzanego złotem. Dla jakiejś przyczyny, na przekór wojennej zawierusze, nader

rupliwie dbał o to, by wąsy mieć należycie podkrecone. Był człkiem przykrym w obejściu i wyniosłym.

Drugi zasię, niższy i większej tuszy, zdecydowanie młodszy, nosił się z włoska, w aksamitnym krótkim

kaftanie z satynowymi wszyciami i pysznej koszuli brukselskiej roboty. Obydwaj swe czerwone wstęgi

zdobne mieli w złote chwosty, a buty z wyśmienitej skóry wykonane - jakże inne od tych, które wzuł na się

Alatriste, wyłożywszy podszwy szmatami, żeby palce nie wyłaziły. Kapitan oczami imaginacji ujrzał ich

teraz, jak w wielkiej zażyłości z marszałkiem polnym (który dzięki nim umacniał swe koneksje w Brukseli i

Madrycie) z dzióbeków sobie piją i wtórują sobie niczym wilki z jednej watahy. Poza tym ze słyszenia znał

imię jeno tego pierwszego: zwał się ów człek Carlos del Arco, pochodził z Burgos i był synem markiza czy

innej zarazy. Widział go parokrotnie na polu walki i wiedział, że mąż ów uchodzi za śmiałka.

- Mość Luis de Bobadilla i ja to już dwóch - ciągnął ów. - Brakuje nam jeszcze trzech wojaków z ikrą, dla

równości sił.

- W istocie brakuje jednego - poprawił regimentarz Idiaquez. - Pomyślałem, że mógłby do kompanii tych

waszmościów dołączyć Pedro Martin, dziarski wiarus z chorągwi kapitana Gomeza Colomy. Czwartym

zasię może będzie Eguiluz, żołnierz mości Hernana Torralby.

- Zaczna gromadka, by Nassau się solidnie udławił - dodał „rycerz”.

Alatriste przeżuwał to wszystko w milczeniu. Znał Martina i Eguiluza, obydwaj byli starymi, dobrymi

wiarusami, co to nie zawiodą, gdy staną naprzeciw Niderlandczyka czy jakiego tam innego diabła los

nadarzy. Każdy z nich stanowił wyborne towarzystwo w tego rodzaju zabawie.

- A waszmość będziesz piąty - ozwał się Carlos del Arco.

Kapitan nawet nie drgnął, wciąż jedną dłonią kapelusz dzierżąc, drugą na rękojeści rapiera opierając, atoli

czoło zmarszczył. Nie przypadł mu do gustu ton, z jakim ów rycerzyk informował go o planach względem

jego osoby, osobliwie, że zwracał się doń nie oficer, a ledwie gość marszałka polnego. Nie spodobały się też

Diegowi Alatriste złote chwosty na czerwonej wstędze, pyszałkowate obejście kogoś, kto zawsze

czuje w

sakiewce słodki ciężar królewskich podobizn w złocie i wsparcie możnego ojca z dalekiego Burgos.

A

jeszcze mniej podobało mu się, że jego najbliższy przełożony, to jest kapitan Catón, stał tam, jakby język

połknął. Catón był zdolnym wojskowym i potrafił do subtelnej dyplomacji się uciec, gdy trzeba, dzięki

czemu taką karierę robił. Aliści Diegowi Alatryste y Tenorio nie w smak było, żeby jakiś buńczuczny fircyk

rozkazy mu wydawał, choćby nie wiadomo jak zuchwały się jawił w czynach bądź słowach i choćby Bóg

1 Miało to miejsce w 1596 r., w czasie wojny Hiszpanii przeciwko połączonym siłom Francji, Anglii i Niderlandów.

2 Juan de Urbieto (?-1553) - żołnierz baskijski, pochodzący z miasteczka Hernani pod San Sebastian. W uznaniu

rycerskiej postawy pod Pawią wzięty przezeń do niewoli król Franciszek I wystawił mu wielce pochlebny certyfikat.

wie ile wina wyżłopał z kryształowych kieliszków pana marszałka polnego. To sprawiło, że zgoda, jaką już,

już miał wyrazić, zamarła mu w ustach. Wahanie jego wszelako opacznie wytłumaczył sobie mość del Arco.

- Oczywiście - ozwał się - jeżeli rzecz wydaje się waszmości nazbyt ryzykowna...

Tu głos zawiesił i oczami po zebranych potoczył, podczas gdy kompan jego uśmiechnął się lekko. Nie

bacząc na ostrzegawcze spojrzenia, jakie kapitan Catón z tyłu mu posyłał, Alatryste puścił rękojeść rapiera i

dłoń ku wąsom uniósł, by z wielkim namaszczeniem przygładzić je sobie. Usiłował w ten sposób złość

wielką zatuszować, która od żołądka ku piersi już się podnosiła, a krew jąła delikatnie pulsować mu w

skroniach. Wbił chłodny wzrok w jednego z „rycerzy”, następnie w drugiego, i długo się weń

wpatrywał.

Tak długo, iż marszałek polny, dotąd cały czas plecami doń zwrócony, jak gdyby nic go tu nie dotyczyło,

obejrzał się na Alatristego.

Ten atoli już patrzył na Carmela Catona.

- Jak mniemam, to pański rozkaz, mój kapitanie.

Catón powoli podniósł rękę i jął kark sobie pocierać, za czym na regimentarza Idiaqueza zerknął, który

gromy z oczu ciskał na obydwu intruzów. Niespodzianie ozwał się sam mość Pedro de la Daga.

- W sprawach honorowych rozkazów się nie wydaje - w jego głosie słyhać było butę i niechęć. - Każdy

sam niech własną reputację i sromotę kalkuluje.

Zbladł Alatryste na te słowa, a jego prawa dłoń powędrowała z wolna z powrotem ku rękojeści. W zalęknionym spojrzeniu Catona znać było niemy apel: choćby na jeden cal broń wysuniesz, będziesz wisiał.

Jemu wszakże więcej niż tylko cal jeden po głowie chodził. Jedyne, co w owej chwili na zimno kalkulował,

to czy zdąży nadziać marszałka polnego i jeszcze ku jego dwóm gościom się zwrócić. Może zdołałby jeszcze

sprzątnąć jednego z nich, najlepiej niejakiego Carlosa del Arco, nim Idiaquez i Catón zaszlachtują go jak

wieprza.

Regimentarz odchrząknął z widomym zakłopotaniem. Tylko on w całym regimencie mógł, dzięki szarzy i

stanowisku, przeciwstawić się Bardasznurkowi. A i Diega Alatryste znał od czasu, gdy dwadzieścia kilka lat

wstecz pod Amiens obydwaj - jeden młodzian, drugi chłopak niemal z mlekiem pod nosem - ruszyli na

półksiężyc Montrecourt wespół z kompanią kapitana mości Diega de Villalobos, by w ciągu czterech

godzin

otoczyć wrażą artylerię i zadźgać co do jednego ośmiuset Francuzów, co okopów bronili, sami tracąc ledwie

siedemdziesięciu towarzyszy. I był to niezgorszy bilans, do diaska, jedenastu na głowę i jeszcze trzydziestu

w naddatku, o ile arytmetyka nie płała teraz figli.

- Z całym respektem dla waszej miłości - rzekł Idiaquez - muszę zauważyć, że Diego Alatryste to żołnierz

doświadczony. Wszystkim wiadomym jest, że reputację ma nieposzlakowaną. Jestem pewien, że...

Marszałek polny przerwał mu szorstko.

- Nieposzlakowanej reputacji nie zyskuje się dożywotnio.

- Diego Alatryste to dobry wojak - nieśmiało wtrącił z tyłu kapitan Catón, jakby zawstydzony swym dotychczasowym milczeniem.

Mość Pedro de la Daga uciszył go gwałtownym gestem.

- Każdy dobry wojak, a w moim regimencie mam takowych na pęczki, dałby sobie rękę uciąć, byle stanąć

jutro pod bramą Den Bosch.

Diego Alatryste spojrział marszałkowi polnemu prosto w oczy. I po chwili rozległ się jego równy, zimny

głos, cichy a przenikliwy jak ostrze stali toledańskiej, do której rwały mu się teraz palce.

- Ja moich obydwu rąk używam do tego, by spełnić wszystko, czego oczekuje ode mnie mój król, on bowiem mi płaci... jeśli płaci - tu przerwał na dłuższą chwilę. - Co zaś dotyczy mego honoru i reputacji,

zechciej wasza miłość nie kłopotać się o nie. Sam o nie dbam i nie potrzebuje by wystawiano je na próbę ni

puczano mnie w tej kwestii.

Marszałek polny wpatrywał się weń tak bacznie, jakby do końca żywota pragnął go zapamiętać. Widać

było, że przeżuwa wszystko, co także usłyszał, głoska po głosce, usiłując dopatrzeć się słowa, tonu lub

chociażby drgnienia głosu, które pozwoliłyby mu nakazać natychmiastowe powieszenie tego człowieka na

najbliższej gałęzi. Wątpliwości nikt nie miał do tego stopnia, że sam Alatryste, niby to przez niedbałość,

przesunął drugą dłoń ku lewemu biodru i sztyletowi, korzystając z osłony, jaką dawał mu kapelusz. Przy

pierwszej sposobności - myślał ze spokojną rezygnacją - wrażeń mu lewaka w gardziel, za rapier chwyć, a

dalej będzie, jak Bóg albo diabeł zechce.

- Niech ten żołnierz wraca do okopów - ozwał się nareszcie Bardasznurek.

Ani chybi wspomnienie niedawnego buntu poskromiło nieco naturalną skłonność marszałka do sznurowych plecionek. Catón i Idiaquez, których oczu nie umknął gest Diega Alatryste, jakby odetchnęli z

niemałą ulgą. Starając się nie okazać, że i jemu ulżyło, Alatryste skłonił się lekko, z uszanowaniem, zrobił w

tył zwrot i wyszedł z namiotu na dwór. Tu przystanął wedle niemieckich halabardników, którzy mogli

goprzecie teraz wieść posłusznie pod stryczek. Przez chwilę sycił oczy blaskiem słońca, co za groblami ku

zachodowi się chyliło, pewien, że nazajutrz znów blask jego ujrzy. Za czym kapelusz włożył i ruszył ku

umocnieniom, prowadzącym w stronę półksiężyca Cmentarnego.

Owej nocy kapitan Alatryste czuwał aż po brzask, leżąc pod peleryną i wpatrując się w gwiazdy, gdy

towarzysze wokół chrapali w najlepsze. Snu z powiek nie przepędziły mu ani nieprzychylność ze strony

marszałka polnego, ani strach przed dyshonorem, ani trochę nie dbał o to, jaka plotka gruchnie po obozie,

ponieważ tak Idiaquez, jak i Catón znali go wystarczająco dobrze, by rzecz całą zreferować, jak się należało.

Poza tym, jak sam był objaśnił mości Pedrowi de la Daga, miał swoje sposoby, by respekt dla siebie wzbudzić zarówno u równych sobie, jak i u takich, z którymi nigdy równać by się nie mógł.

Zasnąć nie dozwalała mu sprawa inna: wielce pragnął, by nazajutrz u bramy Den Bosch przeżył co najmniej jeden z marszałkowych gości. Najlepiej, żeby był nim ów Carlos del Arco. Później bowiem

powiedział w duchu, oczu od firmamentu nie odrywając - czas mija, życie ma swoje zakręty i nigdy nie

wiesz, z jakim to starym znajomkiem zetkniesz się w ciasnej, cichej i ciemnej uliczce, gdzie nikt nie wyjrzy

przez okno, gdy szcęk żelaza posłyszysz.

Następnego dnia nasi nuże obserwować scenę z okopów, a wróg i z okopów, i z murów twierdzy. Oto

bowiem z obozu wojsk naszego Najjaśniejszego Pana ruszyło pięciu mężów na spotkanie z piątką, co opuszczała właśnie bramę Den Bosch.

Jak powiadano, było wśród nich trzech Niderlandczyków, Szkot jeden i jeden Francuz. Piątym w naszej

drużynie był wybrany przez kapitana Catona młodszy chorąży Minaya, trzydzieści kilka wiosen liczący

chłop z Sorii, krzepki, niezawodny wojak, w nogach mocny, a w ręku jeszcze mocniejszy.

Każdy szedł jeno w dwa pistolety i rapier zbrojny, bez nijakich sztyletów. Jak wieść niosła, to tamci warunek taki postawili, snadź dobrze wiedzieli, że w bliskim spotkaniu Hiszpanie są z bronią krótką osobliwie groźni.

Jam był dnia poprzedniego powrócił z trzydniowego myszkowania za spyżą - z całą bandą giermków zapuściliśmy się aż nad Mozę - i teraz w tłumie stałem pospołu z druhem mym Jaimem Correasem na koszach okopów bez obawy, że nas muszkiet wraży dosięgnie. Jak okiem sięgnąć, wszędy tłoczyli się żołnierze, co też do oglądania się wzięli, a ponoć nawet sam markiz de los Balbases, czyli nasz generał

Spinola, też obok mości Pedra de la Daga, innych dowódców i marszałków z pozostałych

regimentów

pojedynkowi zechciał się przypatrywać. Diego Alatriste zasię w milczeniu stał wedle Coponsa, Garrote i

reszty drużyny, starając się ani chwili ze spotkania nie uronić. Młodszy chorąży Minaya, ani chybi zaznajomiony ze sprawą przez naszego kapitana Catona, jak wyborny kompan się zachował: przyszedł był z

rana samego do Alatristego, żeby jeden z jego pistoletów pożyczyć, tłumacząc się, że ze swoimi ma jakieś

kłopoty, i szedł teraz z bronią mego pana przeciwko tamtym. Tak to uwidoczniła się wspaniała natura Minai,

a możliwe plotki nie opuściły w ten sposób szeregów naszej chorągwi. I skoro już tu jestem, dodam jeszcze,

że całe lata później, już po Rocroi, gdy zmienne losu koleje dały mi szarżę oficera gwardii hiszpańskiej

naszego króla Filipa, miałem sposobność wyświadczyć przysługę pewnemu młodemu rekrutowi nazwiskiem

Minaya. A uczyniłem to bez chwili wahania, chciałem bowiem cześć oddać ojcu jego, który wyszedł w

otwarte pole do walki pod Bredą z pistoletem kapitana Alatriste za pasem.

Owóz i stali tam naprzeciwko siebie, pięciu na pięciu, z góry spozierało na nich ciepłe, kwietniowe, poranne słońce, a z obydwu stron tysiące par oczu. Znajdowali się na niewielkim błoniu, opadającym

łagodnie ku bramie Den Bosch, jakie sto kroków od nas, na ziemi niczyjej. Nijakich wstępów nie było,

szastania kapeluszami czy innych galanterii, już podchodząc, jeśli z pistoletów do siebie strzelać, za czym

rapierów dobyli, podczas gdy z obydwu stron, gdzie dotąd martwa cisza panowała, nagle rozległy się stugębne okrzyki, co animuszu swoim miały dodać.

Wiem, że poczciwi ludzie zawsze głosili, by pokój między ludźmi panował, by spory słowem rozstrzygać,

a gwałtu się wystrzegać. Atoli wiem również lepiej niżli niejeden z waszmościów, co w ciele i sercu ludzkim

wojna uczynić potrafi. I pomimo wszystko, pomimo rozumu, rozsądku i jasności umysłu, jaką wiek i natura

człeka obdarzają - przecie nie potrafię bez dreszczu admiracji mówić o waleczności. A tamtym odwagi

odmówić nie sposób, Bóg mi świadkiem. Po pierwszej palbie padł mość Luis de Bobadilla, drugi z „rycerzy”, pozostali zaś starli się na rapiery z ogromną siłą i zaciętością. Jednemu Niderlandczykowi kula

pistoletu kark przewierciła, a Szkotowi Pedro Martin brzuch rapierem rozplątał, ale broń mu w ciele wrażym

ugrzęzła, nagle ostał się z dwoma nienabitymi pistoletami i rychło został w gardło i pierś żelazem poczęstowany, skutkiem czego padł martwy na tego, którego dopiero co był na tamten świat wysłał. Mość

Carlos del Arco zaś tak biegle na Francuza natarł, że niewiele brakowało, aby mu twarz posiekał, musiał

się atoli z walki wycofać po tym, jak szpetnie został w udo ugodzony. Minaya dobił Francuza pistoletem

kapitana Alatryste, a własnym poważnie zranił innego Niderlandczyka, sam przy tym ani draśnięcia nie

otrzymawszy. A Eguiluz, w lewą rękę ranny od kuli, prawą żelazo ścisnął i dwa czyste pchnięcia ostatniemu

przeciwnikowi zadał, jedno w ramię, drugie pod żebra, na co schizmatyk, widząc, że sam ostał i do tego

niezdrowszy, postanowił niczym Antygon 1 nie tyle czmychnąć, ile udać się w pobliże przytulnego miejsca,

jakie miał za plecami. Trzech naszych, co w pełni sił byli, pozbawiło leżących przeciwników broni i

1 Antygon Gonatas (320-239 p.n.e.) - król Macedonii, zmuszony (nie na długo) do ucieczki przez Pyrrusa w 275 r.

pomarańczowych wstęg, jakie buntownicy w Zjednoczonych Prowincjach nosili, a jeszcze zdołałoby ciała

Bobadilli i Martina ku nam przytargać, gdyby Niderlandczycy, złym obrotem spraw rozwścieczeni, nie

zaczęli na własną pociechę ogniem płuć, gdzie popadnie. Tedy nasi, spokoju nie tracąc, wycofywali się

pomału, tak niefortunnie wszelako, że Eguiluza w krzyż kula z muszkietu dopadła. I lubo z pomocą towarzyszy do okopu dotarł, na trzeci dzień zmarł od paskudnej rany. Pozostałe siedem ciał leżało w otwartym polu cały dzionek, aż z nastaniem zmroku rozejm nastąpił i każda ze stron swoich poległych odzyskała.

Nikt w regimencie sławie kapitana Alatryste jako męża honoru kłamu nie zadawał. Za dowód niechaj posłuży to, że gdy tydzień później postanowiono atak na groblę w Zevenbergen, społem ze swą drużyną

znalazł się w gronie czterdziestu i czterech ludzi do tego celu wybranych. Wyszli z obozu o zmierzchu,

korzystając z mgły gęstej, co ruchy ich skrywała. Wycieczką dowodzili kapitanowie Catón i Torralba, a

wszyscy koszule założone mieli na wierzch gwoli tego, by kaftany i napierśniki jak oponą zasłonić i nawzajem się w mroku rozpoznać. Oddziały hiszpańskie często się do takiej nocnej sztuczki uciekały, a

zwano ją właśnie „oponą”. Użytek w niej czyniono z porywczej natury naszej i sprawności w bezpośrednich

starciach, a polegała ona na tym, że zapuszczaliśmy się w teren heretycki, spadaliśmy niespodzianie na

wroga, zabijaliśmy, ilu się dało, a dopiero w ostatniej chwili, nie chcąc sprzyjających nam ciemności się

pozbawiać, podpalaliśmy ich baraki i namioty i pierzchaliśmy ile sił w nogach. Jako że zawsze do takich

ekskursji dobierano ludzi, udział w oponie poczytywany był wśród Hiszpanów za punkt honoru, nierzadko

nawet do utarczek dochodziło pomiędzy naszymi, bo kto się wśród wybrańców nie znalazł, łącno mógł się

uznać za od innych gorszego. Regulamin sporządzono ścisły i ściśle go też przestrzegano, by życiem ludzkim w nocnym zamieszaniu nie szafować. Do najczęściej we Flandrii stosowanych należała na ten

przykład słynna reguła spod Mons:

zabić pięciuset niemieckich najemników, po stronie pomarańczowych buntowników walczących, a obozowisko ich na popiół spalić. Była też inna: żeby tylko półsta żołnierza do nocnej wycieczki wybrać,

atoli w momencie wyjścia zewsząd samorzutnie inni się schodzili z wolą dołączenia do oddziału na własne

ryzyko. A kiedy cała kompania ruszyła, miast zwyczajowo milczeć, każdy nuże rejwach nieopisany czynić i

dysputy wieść po ciemku, i wszystko raczej napaść hordy mauretańskiej przypominało niżli wymarsz

Hiszpanów, imaginujecie sobie, waszmościowie, trzy setki maszerujące drogą, z czego każdy chciał

wyprzedzić pozostałych, wróg budzi się i widzi hałastrę wrzaskliwych opętańców w koszulach, co napadają

na nich w środku nocy, rzną bez opamiętania i jednocześnie kłócą się nawzajem, kto wyborniej i szybciej

rzezi dokonuje.

Plan naszego generała Spinoli co do Zevenbergen zakładał, że w dwie godziny trzeba dojść po cichu i

nader dyskretnie pod samą tamę, zaskoczyć strażę, zniszczyć całą budowlę, służy porąbać na drzazgi i

wszystko podpalić. Postanowione też było, że wraz z wojskiem pójdzie pół tuzina giermków, by pomóc w

dźwiganiu sprzętu, jaki przy burzeniu i podpalaniu przydatnym być może. Tak tedy nocy owej wyruszyłem

wraz z hiszpańskimi wiarusami prawym brzegiem rzeki Mark, tam bowiem najgęstsza mgła się gromadziła.

W pełnym oparów powietrzu słychać było jeno zduszony odgłos kroków - obuliśmy się w łapcie, czyli buty

szmatami owinięte, a każdemu, kto by się odezwał, lont zapalił albo pistolet czy arkebuz naładował, śmierć

groziła - koszule zasię sprawiały, żeśmy podobni byli orszakowi upiorów w całunach. Jakiś czas wcześniej

zmuszony byłem odprzedać mą zacną szpadę z Solingen, jako że giermkom nie wolno było długiej broni

nosić, maszerowałem przeto ze sztyletem mocno za pas zatkniętym, co nie znaczy, do diaska, że lekko mi się

szło: dźwigałem na plecach wielki ładunek prochu i siarki w petardy powiązanych, sznury smoły do podpałki i dwie grzecznie naostrzone siekiery, by liny i belki służy czym było porąbać.

Trząsałem się z zimna mimo kaftana z grubego sukna, jaki miałem pod koszulą, co nocą jeno mogła za białą

uchodzić, a dziur miała więcej niżli flet. Za sprawą mgły wszystko wokół jawiło mi się jak nie z tego świata,

włosy mi mokły, a po licu kropelki spływały, jak gdybym skroś mżawkę podążał, grunt był śliski, tedy nader

czujnie kroki musiałem stawiać, albowiem jedno nieuważne stąpięcie groziło rychłym zsunięciem się w

lodowate wody Mark, a objuczony byłem dodatkowo sześćdziesięcioma funtami bagażu. A że z mgłą

jeszcze noc się stowarzyszyła, mniej widziałem niżli zobaczyłaby sola z rusztu: ze dwie, trzy niewyraźne

białe plamy przede mną i tyleż z tyłu. Najbliższa mnie, której śladami starałem się maszerować, należała do

kapitana Alatryste. Jego drużyna otwierała pochód, bardziej wysforowali się jeno kapitan Catón i dwóch

przewodników walońskich z regimentu Soesta - a raczej z jego resztek - którzy dostali zadanie nie tylko

doprowadzić nas do celu, wybornie bowiem znali teren, ale i zwieść niderlandzkich strażników, podejść jak

najbliżej i gardła im poderznąć, żeby alarmu wszczać nie zdążyli. Za ich poradą wybrano szlak wiodący

zrazu wśród moczarów i torfowisk i dalej przez teren nieprzyjacielski, nierzadko groblami i traktem tak wąskim, że tylko jedna osoba mieściła się naraz.

Po wbitym w dno pomoście przeszliśmy na lewy brzeg, gdzie grobla oddzielała rzekę od mokradła. Biała

plama kapitana Alatryste szła jak zwykle w kompletnym milczeniu. Obserwowałem go byłem o zachodzie

słońca, gdy się do drogi gotował: pod koszulą napierśnik z bawolej skóry, na wierzchu pas z rapierem,

lewakiem i pistoletem, który zwrócił mu był młodszy chorąży Minaya. Panewkę broni kapitan zabezpieczył

smarem przed wilgocią. Do pasa przytroczył też sobie puszkę z prochem i woreczek z dziesięcioma pociskami oraz na wszelki wypadek zapasowy krzemień, hubkę i krzesiwo. Nim prochu do pojemnika nasypał, sprawdził, czy kolor ma właściwy – ni nadzbyt czarny, ni zbyt jasny - czy ma drobne, twarde ziarenka, na koniec wreszcie na język wziął, by smak saletry zmiarkować. Za czym poprosił Coponsa o

kawałek szmergla i przez jakiś czas skrupulatnie jeździł nim po obydwu ostrzach sztyletu. Awangarda, którą

jego drużyna tworzyła, szła bez arkebuzów i muszkietów, miała bowiem pierwsza uderzyć jeno białą bronią i

kompanów ubezpieczać. W tym celu ręce musieli mieć wolne od wszelkich zbędnych przedmiotów.

Kwatermistrz naszej chorągwi oznajmił, że potrzeba giermków młodych a zaradnych, przeto mój druh

Jaime Correas i ja natychmiast się zgłosiliśmy, przypominając mu, że jużemy zacie sobie byli poczynali

przy taku na bramę Oudkerk. Ujrzawszy mnie w koszuli na wierzchu, z mizerykordią za pasem, do

wyruszenia gotowego, kapitan Alatryste ni słowa nie wyrzekł, jak mu się to widzi. Skinął tylko głową i

wskazał mi biesagi. Potem zasię, w mętym świetle pochodni, wszyscyśmy uklękli na ziemi, przez szeregi

przebiegło mrukliwe Ojciec nasz, przeżegnaliśmy się i skierowaliśmy kroki na północny zachód.

Pochód zatrzymał się raptownie i wszyscy przycupnęli, podając sobie szeptem z ust do ust hasło, które

teraz dopiero narodziło się w głowie kapitana Catona: „Antwerpia”. Wszystkie szczegóły zostały omówione

jeszcze przed wyruszeniem, przeto nie czekając już na dalsze eksplikacje, sznur białych koszul minął mnie i

rozproszył się na lewo i prawo. Słyszałem chlupot ciał, które rozpełzły się po obydwu stronach grobli, po pas

w wodzie. Ostatni z żołnierzy dotknął moich ramion i przejął biesagi z ładunkiem. Oblicze jego było jedną

czarną plamą, dobiegł mnie jeno jego przyśpieszony oddech, gdy zaciskał na sobie rzemienie i ruszał w

dalszą drogę. Kiedym na powrót w przód popatrzył, koszula kapitana Alatryste już rozplynęła się w mglistej

ciemności. Ostatnie cienie przemykały wedle mnie i wtapiały w noc, a towarzyszył im tylko cichutki dźwięk

wysuwanych z kling rapierów i delikatny stukot ładowanych i odpalanych pistoletów i arkebuzów.

Podążyłem jeszcze kilka kroków w ślad za tamtymi, aliści znacznie mnie wyprzedzili, tedy padłem na samym skraju wzniesienia, wciskając twarz w mokrą ziemię, rozdeptaną na miękkie błoto. Ktoś z tyłu

podczołgał się do mnie i też zamarł. Był to Jaime Correas - obydwaj teraz czekaliśmy, gadając po cichu,

zaniepokojone spojrzenia naprzód rzucając, w mrok, co pochłonał właśnie czterdziestu czterech Hiszpanów,

którzy zamiarowali niezły bal heretykom wyprawić.

Minęło parę różańców. Razem z druhem mym, przemarznięci do szpiku kości, wtulaliśmy się w siebie

nawzajem, by choć trochę ciepła ocalić. Dobiegał nas jeno plusk nurtu rzeki, która po jednej stronie grobli

plynęła.

- Długo tam mitrężą - szepnął Jaime.

Nic nie odrzekłem. Oczami imaginacji widziałem kapitana Alatryste, jak zbliża się do pilnujących służy

niderlandzkich strażników, sunąc po pierś w wodzie, jedną ręką trzyma wysoko pistolet, by prochu nie

zamoczyć, a w drugiej zaciska rapier albo lewak. Potem na myśl przyszła mi Caridad Cyganicha, a po niej na

koniec Angelica de Alquezar. I powiedziałem w duchu, że niewiastom do głowy nie przyjdzie, jakie to

wspaniałe i straszliwe rzeczy w męskim sercu się kryją.

Rozległ się wystrzał z arkebuza: samotny, odległy, pojedynczy stuk w czeluściach nocy i mgły. Na mój

nos, padłniewo ponad trzysta kroków przed nami, tedy wystraszeni przypadliśmy do ziemi jeszcze bardziej.

Potem

cisza zapadła na jakiś czas, aż nareszcie przerwała ją istna kanonada z pistoletów i muszkietów, którym

towarzyszył huk wybuchów.

Do cna rozgorączkowani, daremnie próbowaliśmy przebić wzrokiem ciemności. Teraz strzały słychać było

to z jednej strony, to z drugiej, przybierające na sile i wstrząsające posadami świata, jakoby burza

nieziemska rozpętała się gdzieś po drugiej stronie mrocznej zasłony. W pewnej chwili jeden suchy a silny

wybuch nastąpił, zaraz po nim zasię jeszcze dwa.

Teraz dopiero pomimo mgły zdołaliśmy co nieco dostrzec: zrazu blady rozbłysk, czerwieniejący z każdą

sekundą, migoczący tysiącami iskierek w kropelkach oparu, odbity w czarnych falach rzeki u stóp grobli, na

której leżeliśmy. Tama w Zevenbergen stanęła w płomieniach.

Nigdy nie zdołał się wywiedzieć, ile to wszystko trwało, wiem wszelako, że z oddali noc owa musiała

się jawić piekłu podobną. Podnieśliśmy się lekko w zadziwieniu, gdy wtem dobiegł nas odgłos
szybkich

kroków, co się naszą groblą zbliżały. Wkrótce też zamajaczył nam sznur białych plam - to ludzie w

koszulach biegli skroś ciemności hen, od strony hiszpańskiego oddziału. Dalej huczało od wybuchów
i

arkebuzowej palby, nasi tymczasem brnęli co sił przez bagno i mijali nas, sapiąc z wysiłkiem i klnąc
w żywe

kamienie. Ktoś jęczał, snadź ranny, kompani pomagali mu w marszu. Wraże muszkiety przybliżały się
z

każdą chwilą, przeto białe koszule, dotąd w gromadzie biegnące, rozproszyły się na różne strony.

- Dalej! - ozwał się Jaime, na równe nogi się zrywając.

Ja takż powstałem, zdjęty nagłym atakiem trwogi. Za żadne skarby nie zostałbym tu sam. Właśnie

zblżyli się maruderzy, a ja w każdej białej plamie usiłowałem rozpoznać postać kapitana Alatryste.
Jakiś

cień wdrapał się niepewnie na szczyt grobli, biegł z wyraźnym trudem, oddech szarpały mu jęki bólu
przy

każdym kroku. Nim się ze mną zrównał, padł, sturlał się po zboczu i po chwili usłyszałem plusk

wpadającego do wody ciała. Niewiele myśląc, skoczyłem za nim, jąłem brodziec po kolana i gmerać
rękami,

aż nieruchome ciało na dnie zmacałem. Wyczułem zbroję pod koszulą i zarośnięte brodą oblicze,
zimne jak

śmierć we własnej osobie: to nie był kapitan.

Strzelanina była tuż-tuż, w dodatku słyhać ją było z przodu, z lewa i z prawa. Wspiąłem się
ponownie na

szczyt i takiego dostałem kręcka, że zgoła przestałem rozróżniać, gdzie są nasi, a gdzie tamci. Z
oddali nie

dobiegał już blask płomieni, nikt nie biegł mimo, nie byłem w stanie orzec, na którą stronę upadł był
ów

śmiertelnie ranny żołnierz, toteż i pewności nie miałem, w którym kierunku czmychać. Panika
sprawiła, żem

do cna głowę stracił. Myśl - rzekłem do się w duchu. Myśl spokojnie, Ínigo Balboa, bo inaczej brzasku nie

dotrwasz. Ukląłem w błocie, chcąc odczekać, aż rozsądek unicestwi zamęt, jaki w tym momencie krew mi

w skroniach bijąca wprowadziła. Żołnierz stoczył się do wody stojącej - przypomniałem sobie. Teraz

dopiero zmiarkowałem, że szmer cichy rzeki Mark dobiega mnie od prawej strony. Jej nurt płynie w kierunku Zevenbergen - rozumowałem dalej. Przybyliśmy tu jej prawym brzegiem, by pod koniec przeprowić się na lewy pomostem. Zatem patrzę w złym kierunku.

Obróciłem się na pięcie i ruszyłem biegiem poprzez mrok, jakby to nie Niderlandczycy mnie gonili, a sam

Belzebub. Nieczęsto zdarzyło mi się w życiu tak rączo pędzić. Spróbujcie, waszmościowie, cwałować cali

mokrzy i błotem powalani, na domiar złego po ciemku. Kuliłem głowę w ramionach i parłem naprzód na

oślepię, lękając się, że lada chwila ześliznę się po zboczu i wyląduję w zimnych odmętach rzeki Mark. Za

sprawą wilgotnego powietrza dusiłem się, a z każdym oddechem lodowate powietrze zmieniało się w

piersiach w żarzącą kulę ostrych igieł, co mi płuca na wskroś przesywały. Wtem, kiedym już sam w głowę

zachodził, czy za daleko nie zabrnąłem, zobaczyłem pomost. Uczepiłem się drewnianych bali i jąłem przeprowiać się na drugi brzeg, lubo nogi ślizgały mi się na wszystkie strony.

Ledwie ląd osiągnąłem, raptowny wystrzał przerwał nocną ciszę i może piędziesiąt od mej głowy zafurkotał pocisk arkebuza.

- Antwerpia! - krzyknąłem i ku ziemi przypadłem.

- Ja pierdolę - odparł ktoś z mroku.

Dwie czujnie skulone sylwetki zajaśniały przede mną.

- Właśnie się drugi raz narodził, chłopie - dodał drugi głos.

Wstałem i zbliżyłem się do nich. Ich obliczy dostrzec nie zdołałem, ale koszule widoczne były wybornie,

podobnie jak złowieszcze cienie arkebuzów, które dopiero co we mnie mierzyły.

- To nie widzicie, waszmościowie, że koszulę mam na sobie? - wydyszałem, jeszcze oszołomiony biegiem

i trwogą.

- Jaką koszulę? - spytał jeden.

Zaskoczony dotknąłem piersi i dlatego jeno nie zakląłem, że z racji wieku nie nawykłem do tego. Tyle

czasu spędziłem, leżąc na brzuchu, że koszulę mą pokrywała teraz gruba warstwa błota.

IX. PAN MARSZAŁEK I CHORAĞIEW

W owych dniach pożegnał się z żywotem Maurycy Nassau, ku wielkiej rozpaczy Prowincji i wielkiemu

ukontentowaniu wyznawców prawdziwej religii - lubo najpierw zdołał nam jeszcze na pożegnanie miasto

Goch wyrwać, zapasy prowiantów w Ginneken podpalić i podjąć próbę szybkiego odbicia Antwerpii - i tam

właśnie kula przez kolbę arkebuza prosto w wątpia go ugodziła. Ale przynajmniej psubrat i orędownik

ohydnej sekty kalwinistów został przez piekło pochłonięty, nie doczekawszy tego, czego tak bardzo

wyglądał: aż Hiszpanie przerwą oblężenie Bredy. Tedy, chcąc Niderlandczykom kondolencje należyte

złożyć, nasza artyleria cały dzionek nader wybornie tłukła sześćdziesięciofuntowymi kulami w mury miasta,

a ledwie świt nadszedł, wysadziliśmy im cały bastion z trzydziestką żołnierzy w środku, za sprawą czego

szpetne mieli przebudzenie, przekonali się bowiem łacno, że kto rano wstaje, temu niekoniecznie zawsze Pan

Bóg daje.

Breda w owym okresie wojny nie była już dla Hiszpanii łakomym kąskiem z wojennej potrzeby, rzecz

sprowadzała się raczej do kwestii honoru. Cały świat wszak zamarł, wyczekując triumfu albo porażki

katolickiego monarchy. Nawet sułtan turecki (niech mu Chrystus grzecznie skórę złoi) sprawdzić chciał,

czy nasz miłościwie panujący Filip wyjdzie z całej awantury wzmocniony czy osłabiony, a i z całej Europy

w tę stronę kierowały się oczy królów i książąt, osobliwie francuskich i angielskich, którzy zawsze skorzy

byli uszczknąć coś przy okazji naszych klęsk i rozpaczać, gdy my świętowaliśmy wiktoryę. Z podobnych

pobudek Wenecjanie i nawet papież rzymski z południa równie bacznie wypadki śledzili. Bo przecie Jego

Świątobliwość, lubo zastępcą jest Boga Najwyższego na ziemi i całego tego majdanu, i lubo to my Hiszpanie

całą brudną w Europie wykonywaliśmy robotę, flaki sobie wypruwając w obronie Trójcy Świętej i

Najświętszej Pani - ile mógł, tyle w paradę nam włożył, a to z zawiści o nasze wpływy w Italii. Nie masz

bowiem lepszej metody, jak podziw i strach przez parę stuleci wzbudzać, ażeby wszędy naokoło pojawili się

niecni wrogowie, w tiarze czy też bez niej, co pod przykrywką pięknych słówek, uśmieszków i wykwintej

dyplomacji będą ci usiłowali z tyłu przyłożyć. Aczkolwiek przyznać trzeba, że co do głowy Kościoła, to żółć

jego była do pewnego stopnia zrozuiała. Ostatecznie niemal równo wiek cały przed Bredą poprzednik jego

Klemens VII musiał nogi za pas brać i jeszcze sutannę podkasać gwoli bardziej chybkiego galopu, ażeby się

w zamku Sant'Angelo schronić, kiedy to Hiszpanie i najemnicy naszego cesarza Karola V - co żołąd mieli

zaległy od czasu, kiedy jeszcze Cyd w stopniu kaprała chodził - zdobyli jego twierdzę i Rzym złupili, nie

szczędząc ni pałaców kardynalskich, ni niewiast, ni klasztorów. Z czego łącno i słusznie wnosić możemy, że

nawet papieże dysponują dobrą pamięcią i wiedzą co nieco na temat honoru, lubo nie za wiele.

- List do ciebie przyszedł, Inigo.

Zdumiony, wzrok podniosłem na kapitana Alatryste. Stał przed szałasem z gałęzi, płacht i ziemi wzniesionym, gdzie zabawiał się akurat z kilkoma druhami, kapelusz miał na głowie, a wymiętoszony

płaszcz okrywał mu ramiona, unosząc się lekko z tyłu, wypchnięty przez rapier w pochwie pod spodem.

Oblicze jego jeszcze szczuplejsze się zdawało niżli naprawdę, a to za sprawą szerokiego ronda, gęstych

wąsów i orlego nosa, a lubo ogorzałe było skutkiem przebywania długo na powietrzu, przecie bladość jaką

dało się na nim dostrzec. Zresztą jako żywo kapitan był chudszy. Zdrowie jęło mu szwankować przez to, że

kilka dni pił zepsutą wodę - do tego chleb dostawał spleśniały, a mięso, jeśli było, aż chodziło od robaków -

iże napadów gorąca doświadczał i nabawił się ostrej trzeciaczki. Nie należał wszelako do zwolenników

puszczenia krwi ni środków na przeczyszczenie, bo - powiadał - snadniej zabijają niżli pomagają. Przybywał

tedy właśnie z miejsca postoju kramarzy, gdzie znajomek pewien, co balwierstwem i farmacją też się zatrudniał, zaordynował mu był jakiś wywar z ziółek gwoli zrzucenia gorączki.

- List do mnie?

- Najwyraźniej.

Porzuciłem Jaimego Correasa i resztę kompanii i wypadłem na zewnątrz, otrząsając ziemię z gaci.

Znajdowaliśmy się daleko od murów, nieopodal konstrukcji, co osłaniały zagrodę z wozami i

zwierzętami

pociągowymi, a także zgoła blisko baraków, które służyły za gospodę, jeśli było wino, i za żołnierski lupanar

z gościnnymi ramionami Niemek, Włoszek, Flamandek i Hiszpanek. Giermkowie często się tu włączyli,

dokazując i łotrząc, zgodnie z naszym stanem i młodym wiekiem, byle choć trochę życia hulaszczego zaznać.

Rzadko się zdarzało, byśmy z tego plądrowania wrócili bez paru jajek, kilku jabłek, świec łożowych lub

czego bądź, co na wymianę albo handel zdatnym było. Takim to przemysłem wspomagałem kapitana

Alatriste i jego kamratów, a jeśli łaskawy los zechciał, własnym potrzebom też folgowałem, odwiedzając z

Jaimem Correasem przybytek sławetnej Mendozy. Wnijścia do niej nikt mi już przecie nie wzbraniał od

czasu pamiętnej dysputy, jaką Diego Alatriste i walencjanin Candau przeprowadzili ongiś u stóp

wału. Kapitan, wtajemniczony w moje poczynania, dyskretnie starał mi się je wyperswadować, powiadał

bowiem, że niewiasty, co za wojskiem ciągną, często stają się przyczyną pryszczycy, morów i ran ciętych.

Owóż nie dbałem nigdy o to, jakie on sam stosunki miewał z takimi dziewczkami w swoim czasie, zapewniam

was jednak, waszmościowie, że go nigdy we Flandrii nie ujrzałem wchodzącego do domu czy namiotu z

wizerunkiem łabędzia nad wnijściem wiszącym. Owszem, dowiedziałem się za to, że parokrotnie, za pozwoleniem kapitana Catona, wyprawiał się do Oudkerk, obecnie pod burgundzką flagą żyjącego, by

zaznać gościny owej Flamandki, o której przy innej sposobności nadmieniałem. Chodziły słuchy, że

ostatnim razem Alatriste wdał się w ostrą sprzeczkę z jej mężem, którego w końcu za zadek zaciągnął aż do

kanalu, musiał przy tym nawet za rapier chwycić, gdy jacyś Burgundczycy jęli pchać nosy w sprawy zgoła

nie swoje. I od tamtej pory już do Oudkerk nie chadzał.

Co zaś do mnie, uczucia względem kapitana miałem wyraźnie podzielone, lubom nie zdawał sobie z tego

sprawy. Z jednej strony byłem mu bezwzględnie posłuszny, darzyłem absolutnym oddaniem, aż nadto waszmościom już znanym. Z drugiej aliści, jak każde dorastające pacholę, już odczuwałem, że cień jego zbyt

ciężkim na mnie kładzie się brzemieniem. Flandria sprawiła, że z zwykłego chłopca na posyłki wyrósł na

młokosa, co z żołnierzami pospołu przestaje i ma sposobność walczyć w obronie własnego życia, honoru i

króla. Na dodatek coraz więcej przychodziło mi do łba pytań bez odpowiedzi, pytań, wobec których milczenie pana mego już nie wystarczało. Skutkiem tego wszystkiego jałem rozważać, czyby się nie

zaciągnąć do wojska na stałe, bo chociaż jeszcze wieku stosownego nie osiągnął - nieczęsto zdarzali się

żołnierze młodszy niż siedemnaście, osiemnaście wiosen liczący, a jeśli już, to kłamstwem drogę sobie

torowali - to jednak może przy odrobinie szczęścia los by się do mnie uśmiechnął.

Przecież i sam kapitan Alatryste zaciągnął się był, mając ledwie lat piętnaście, podczas oblężenia Hulst 1.

Zdarzyło się to w trakcie sławetnego manewru, kiedy gwoli zmylenia nieprzyjaciela co do rzeczywistego

zamiaru, jakim był atak na twierdzę Gwiazdy, posłano giermków, paziów i posługaczy zbrojnych w lance,

chorągwie i tarabany, by pobliską groblą sunęli i w ten sposób odsiecz heretycką udawali. Szturm przebiegł

wówczas krwawo, tym bardziej że wielu uzbrojonych i walką podnieconych młokosów pośpieszyło w sukurs

swym panom, wielką wykazując się bitnością. Diego Alatryste, podówczas giermek i doboysz

chorągwi

kapitana Pereza de Espila, biegł do walki chętniej niż ktokolwiek. A tak wybornie niektórzy się spisali, w tym

1 Oblężenie Hulst w południowych Niderlandach miało miejsce w 1596 r.

także Alatryste, że książę kardynał Albert, gubernator Flandrii i głównodowodzący szturmem, odwdzieczył

im się, pasując ich na żołnierzy.

- Przyszedł rano razem z pocztą z Hiszpanii.

Chwyliłem list, który kapitan mi wręczał. Koperta z zacnego papieru była uczyniona, pieczęć miała nietkniętą, na wierzchu widniało moje imię:

Pan Diego Alatryste, do rąk Iníga Balboi * W chorągwi kapitana mości Carmela Catona, regiment z Cartageny * Poczta wojskowa we Flandrii

Zadygotały mi dłonie, gdy kopertę obróciłem, zalakowaną inicjałami „A. de A.". Bez słowa, czując na sobie

baczne spojrzenie kapitana, odszedłem z wolna ku miejscu bardziej odosobnionemu, gdzie niewiasty

żołnierzy germańskich prały bieliznę w wąskiej odnodze strumienia. Niemcy, podobnie jak i część

Hiszpanów, brali za żony były ładacznicę, które folgowały ich ciągłom i dbały o inne potrzeby, piorąc

żołnierską odzież oraz handlując okowitą, chrustem, tabaką i fajkami – wspominałem już, że pod Bredą

widywałem Niemki, co ramię w ramię z mężami pracowały w okopach. Owóż blisko tej polowej pralni

leżało ścięte drzewo, do rąbania chrustu przygotowane, a pod nim ogromny głaz. Siadłem tam sobie przeto,

niedowierzających oczu z inicjałów nie spuszczać. Wiedziałem, że kapitan bez ustanku się we mnie

wpatruje, czekałem tedy, aż serce mi się nieco uspokoi. Dopiero wówczas, bacząc, by ruchy me

necierpliwości nie zdradziły, złamałem pieczęć i kopertę rozłożyłem.

Mości panie Inígo,

Doszły mnie nowiny o waszmościnych perypetiach i raduję się, słysząc, że we Flandrii służysz.
Wielce

waszmości tego zazdroszczę, możesz mi wierzyć. Żywię nadzieję, że nie karmisz urazy zbytnej do
mnie za

nieprzyjemności, które udziałem waszmości się stały po naszym ostatnim spotkaniu. Pewnego dnia
usłyszałam wszak z twych ust, że dałbyś się za mnie zabić. Przeto uznaj to za wyzwanie śmierci
rzucone,

które krom chwil trudnych daje waszmości także chwile radosne, jako to służba miłościwie
panującemu nam

królowi albo - może - nadejście niniejszego listu ode mnie.

Wyznam, że nie mogę przegnać wspomnienia o waszmości za każdym razem, gdy przechadzam się
wedle

Stalowej Fontanny. Jak rozumiem, zgubiłeś ów piękny amulet, który byłam ci podarowałam. Rzecz

niewybaczalna jak na tak wytwornego kawalera. Mam nadzieję, że pewnego dnia ujrzę, jak
wkraczasz

waszmość w progi tego Dworu z rapierem i ostrogami. Do tego czasu przyjmij ode mnie
pozdrowienia i

towarzyszący im uśmiech.

Angelica de Alquezar

PS Cieszę się, żeś waszmość nadal żyw. Mam plany co do waszmościnej osoby.

Skończyłem czytać list - a uczyniłem to trzykrotnie, popadając ze zdumienia przez szczęście w
melancholię - i dłuższą chwilę jeszcze wpatrywałem się w papier, rozłożony na łatach, co rolę
nakolanników

w mych portkach pełniły. Oto ja byłem we Flandrii na wojnie, a ona myślała o mnie. O ile chęci i
siły

żywotne mi dozwolą, będzie sposobność opowiedzieć waszmościom, jakie to wśród przygód kapitana

Alatriste i moich własnych plany snuła wobec mnie Angelica de Alquezar owego roku dwudziestego

piątego, kiedy sama liczyła dwanaście lub trzynaście wiosen, ja zaś dobiegałem piętnastu. Gdybym
mógł

owe plany przewidzieć, przyprawiłyby mnie zarazem o dreszcze trwogi i najwyższego szczęścia. Powiem

teraz co najwyżej, że ta cudna i niegodziwa główka zdobna w jasne loki i błękitne oczy, dla mrocznej przyczyny, wytłumaczalnej jeno przez tajemnicę, jaką niektóre niezwykle niewiasty przechowują w głębinach duszy od wczesnego dzieciństwa - zamiarowała na szwank mój żywot i zbawienie wieczne wystawić jeszcze wielokrotnie. I zawsze czyniła to w sposób zimny, umyślny i niejednoznaczny, kochając

mnie- jak tuszę - i krzywdę mi robiąc przez całe swoje życie. I było tak do chwili, gdy odebrała mi ją - a

może ocaliła od niej, na Boga, bo wyjścia i z tej sprzeczności nie dane mi widzieć - jej przedwczesna i

tragiczna śmierć.

- Może chcesz mi coś powiedzieć - ozwał się kapitan Alatryste.

Mówił łagodnie, głosem bezbarwnym. Podniosłem nań oczy. Siedział wedle mnie, na głazie pod zwalonym drzewem, i od dłuższego czasu czekał, aż skończę lekturę. Kapelusz w dłoni trzymał i z nieobecny wyrazem oblicza spoglądał daleko, w kierunku murów Bredy.

- Niewiele jest do gadania - odparłem.

Skinął głową niespiesznie, jakby przytakując mym słowom, i przyglądał dwoma palcami wąs. Milczał.

Zarys profilu upodabniał go do ciemnego orła, co w spokoju spoczywa na szczycie turni. Przyglądałem się

dwóm bliznom na jego obliczu - skroś brwi i na czole - i jeszcze jednej na wierzchu lewej dłoni, pamiętce po

spotkaniu z Gualteriem Malatestą wedle bramy Duchów. Pod odzieniem miał ich więcej, w sumie dawało to

osiem. Za czym zerknąłem na wypolerowaną rękojeść rapiera, połatanę i powiązaną lontami buty, szmaty

wystające z dziur w podeszwach, na pocerowany i postrzępiony płaszcz z szarego płótna. I pomyślałem, że

może i mój pan kiedyś był zakochany. A może na swój sposób nadal kocha - i Caridad Cyganicę, i tę płowowłosą, milczącą Flamandkę z Oudkerk.

Usłyszałem cichutkie westchnienie, ledwie szmer powietrza z płuc wypuszczonego, i ujrzałem, że zbiera

się, by powstać. I wówczas podałem mu list. Wziął go bez słowa i patrzył na mnie czas jakiś, nim się w

lekturę zagłębił - tyle że to ja teraz wpatrywałem się w odległe mury Bredy, z obliczem równie obojętnym

jak jego twarz jeszcze kilka chwil wcześniej. Kątem oka dostrzegłem, że lewa dłoń kapitana, ta z blizną, na

powrót ku wąsom sięga. Wreszcie jął czytać w milczeniu. Niebawem usłyszałem chrzęst składanego papieru

i list znów znalazł się w mych dłoniach.

- Są rzeczy... - rzekł po chwili i zamilkł.

Sądziłem, że to wszystko. Nie zdziwiłem się, wszak był człkiem bardziej do milczenia niżli do gadania

skłonny.

- Rzeczy - dokończył wreszcie - które one wiedzą od momentu narodzin... Lubo same nie wiedzą tego, że

wiedzą.

I znów przerwał. Poczułem, że wzdrygnął się z niezadowoleniem, snadź zastanawiał się, jak myśł dokończyć.

- Rzeczy, których mężczyźni muszą uczyć się całe życie.

Po tych słowach nie odezwał się więcej. Nie usłyszałem ni „miej się na bacności”, ni „strzeż się siostrzenicy naszego wroga”, ni innych uwag stosownych w takiej chwili, których - wiedział to ani chybi

doskonale - nie posłuchałbym wcale, bo tak mi nakazywała młodzięcza buńczuczność. Siedział jeszcze

jakiś czas, spoglądając na miasto na horyzoncie, za czym kapelusze na łeb nasadził i powstał, poprawiając

przy tym płaszcz na ramionach. Patrzyłem, jak odchodzi w stronę okopów, i sam siebie zapytywałem, ile

niewiast, ile pchnięć, ile dróg i ile śmierci cudzych i własnych poznać musi mężczyzna, by móc takie słowa

wypowiedzieć.

W połowie maja Henryk Nassau I, następca Maurycego, ostatni raz postanowił szczęścia spróbować i z

odsieczą Bredzie przyszedł, atoli i tym razem trafiła kosa na kamień.

I chciał przewrotny los, że akurat w wigilię planowanego przez Niderlandczyków ataku nasz marszałek

polny i kilku oficerów sztabowych odbywali rekonesans po groblach od północnego zachodu, a eskortę

stanowiła dyżurująca owego tygodnia drużyna Diega Alatryste. Maszerował tedy mość Pedro de la Daga z

właściwym sobie przepychem, on i pół tuzina jeszcze konnych, a wraz z nim sztandar regimentu, do tego

sześciu Niemców z halabardami i tuzin żołnierzy, wśród nich mój pan, Copons i pozostali druhowie, wszyscy

pieszo, z arkebuzami i muszkietami na ramionach, otwierający i zamykający orszak. Ja szedłem społem z

tymi ostatnimi, objuczony biesagami pełnymi proiantów, prochu i pocisków, wpatrywałem się w wąż ludzi

i koni odbity w wodzie kanałów, coraz czerwieńszej od chylącego się ku zachodowi słońca. Wieczór zapadał

cichy, niebo było pogodne, a powietrze przyjemne - i nic nie zapowiadało wydarzeń, jakie właśnie miały się

rozegrać.

W okolicy dały się zauważyć ruchy wrażeń oddziałów, przeto generał nasz Spinola polecił mości

Pedrowi de la Daga, by rzucił okiem na pozycje włoskie wedle rzeki Mark, na wąskim trakcie ku groblom

Zevenbergen i Strudenbergen, i sprawdził, czy wsparcia im trzeba w postaci jednej chorągwi hiszpańskiej.

Bardaszurek zamierował nocować w kwaterze Terheijden z regimentarzem pułku Campo Lataro, mości

Carlem Ronią, i dopiero nazajutrz stosowne kroki przedsięwziąć. Tak dotarliśmy do grobli i fortu Terheijden

tuż przez zapadnięciem zmroku i wszystko odbyło się zgodnie z planem, nasz marszałek i oficerowie rozlokowali się w przygotowanych po temu namiotach, my zasię zajęliśmy małą redutę z pali w ziemię

wbitych i koszy, pod gołym niebem. Tam też zalegliśmy, szczelnie w płaszcze owinięci, posileni chudym

kęsem, jakim poczęstowali nas Włosi, nasi weseli i dobrzy kompani, zaraz po naszym przybyciu. Kapitan

Alatriste udał się do namiotu marszałka z pytaniem, czy ten nie ma dla niego jakichś poleceń, na co mość

Pedro de la Daga, jak zawsze wyniosły i opryskliwy, odparł, że Alatriste na nic nie będzie mu przydatny,

więc niech swym czasem rozporządza wedle woli. Po powrocie, jako że znajdowaliśmy się w miejscu

nieznanym, a wśród Włochów tyłuż było ludzi honoru, co zaufania niegodnych, kapitan uznał, że niezależnie

od naszych gospodarzy własną wartę wystawimy. Mendieta miał stanąć pierwszy, jeden z braci Olivaresów

po nim, a trzecią wachtę Alatriste przeznaczył dla siebie. Usiadł tedy Mendieta wedle ognia z arkebuzem

gotowym i lontem rozżarzoną, a reszta spać się położyła, jak i gdzie kto mógł.

Świt właśnie wstawał, kiedy dziwne odgłosy i okrzyki do broni wzywające mnie zbudziły. Oczy me powitał szary, brudny poranek, wkoło biegali Alatriste i jego kompani, wszyscy po zęby uzbrojeni, z lontami

rozpalonymi, ładowali pistolety i pośpiesznie wsuwali kule do armat. Nieopodal rozległa się nieopisana

palba tudzież wrzawa, co zamęt w wieży Babel przypominała. Jakiś się później wywiedzieli, Henryk

Nassau wąską groblą posłał przeciwko naszym angielskich muszkieterów, wojsko wyborne, do tego jeszcze

dwustu pancernych, wszystkich ciężko uzbrojonych, a prowadził ich angielski pułkownik Ver. Do tego

wsparcie jeszcze mieli w postaci Francuzów i Niemców, w całkowitej sile sześciuset żołnierza, za nimi

1 Frederik Hendrik van Nassau, ks. Orański (1584-1647) - syn Wilhelma Orańskiego z trzeciego małżeństwa,

stadhouder Niderlandów po śmierci Mauritsa.

tymczasem postępowała niderlandzka ariergarda z ciężką artylerią, wozami bojowymi i jazdą. Niemal równo

z braskiem nader zuchwale Anglicy spadli na pierwszą redutę włoską, obsadzoną ledwie jednym chorążym

i kilkoma żołnierzami, niektórych z nich za pomocą granatów trupem kładąc, resztę zasię żelazem. Za

czym rzucili na to miejsce swoich arkebuzerów, równie szczęśliwie i śmiało zdobyli półksiężyc, dostępu do

bramy fortu broniący, i już się po umocnieniach wspinali. Owoż Włosi, co w okopach mieli swe pozycje,

gdy tylko zoczyli, że nieprzyjaciel tuż-tuż, a oni zgoła odsłonięci, do cna głowy potracili i ze stanowisk

pierzchli. Anglicy z wielką wprawą i sercem wojowali, przyznać trzeba, że odwagi im nie zabrakło, aż do

tego doszło, że włoska kompania kapitana Camilla Fenice, co fortu bronić przybyła, gdy zmiarkowała, jak

się sprawy mają, sromotnie plecy wrogowi pokazała - snadź po to, by prawdziwymi okazały się słowa, jakie

Tirso de Molina o niektórych żołnierzach napisał:

Z ust mi „pies trącał" nie schodzi,

Hołd kładąc bluźnierczej muzie

Noce chcę spędzać w zamtuzie

Lub w karty znaczone godzić;

Śród bitewnego tumultu,

Jeśli los podły go zdarzy,

Wówczas to regiment wraży

Ujrzy podeszwy mych butów.

Rzecz w tym atoli, że Anglicy nie pod postacią poezji, ale wielce niebezpiecznej prozy dotarli także do

namiotów, gdzie nasz marszałek polny i jego oficerowie nocowali. Ci ostatni tedy wypadli na dwór w

samych koszulach, dobywając tego, co akurat popadło, i nuże sztychy zadawać i z pistoletów strzelać, gdy

tymczasem Włosi pierzchali, a heretycy nacierali. Z odległości jakich stu kroków, gdzie my się

znajdowaliśmy, widać było wybornie popłoch wśród Italczyków i angielską ćmę, a cała scena na domiar

wszystkiego upstrzona była błyskami wystrzałów, tym lepiej widocznych, że jeszcze szarość wokoło świat

spowijała. W pierwszym odruchu Diego i Tirso de Molina, La mujer que manda en casa (Niewiasta, co w

domu rządzi).

Alatryste chciał ze swą drużyną ku namiotom oficerskim ruszyć, aliści ledwie stopę na przedpiersiu

postawił, zmiarkował, że daremny to trud, albowiem uciekinierzy tłoczą się na grobli, a tutaj akurat nikt nie

czmycha, bo dalej już przejścia nie ma: staliśmy na niewielkim wzniesieniu, a za plecami mieliśmy już jeno

wodę. I tylko mość Pedro de la Daga, jego oficerowie i eskorta germańska wycofywali się ku

reducie, cały

czas walcząc twarzą do wroga, co drogę odwrotu im odcinał ku reszcie wojska, a idący wraz z nimi chorąży

Miguel Chacón starał się bronić sztandaru. Widząc, że owa drobna grupka naszą stara się redutę osiągnąć,

Alatriste uszykował swych żołnierzy za koszami i nakazał ogień ciągły prowadzić, by dowódców osłaniać, a

i sam przy tym raz za razem z arkebuza grzmocił. Ja kuciałem tuż pod przedpiersiem i na każde życzenie

służyłem prochem i kulami. Zawierucha była coraz bliżej, już chorąży Chacón wspinał się po niewielkim

zboczu, gdy naraz pocisk z arkebuza w plecy go trafił, na ziemię powalając. Widzieliśmy jego brodate

oblicze siwego wiarusa i ogromny wysiłek, z jakim powstać na nowo usiłował, niemrawymi ruchami palców

szukając drzewca chorągwi, które mu z rąk wypadło. I jeszcze pochwycić je zdołał, wsparł się na nim

odrobinę, ale drugi strzał przewrócił go ostatecznie na twarz. Insignia nasze leżały teraz na nasypie wedle

nieboszczyka naszego chorążego, co tak mężnie gotów był powinność swą pełnić, gdy oto Rivas wyskoczył

zza kosza, by je pochwycić. Mówiłem już waszmościom, że Rivas z Finisterre pochodził, czyli z miejsca,

gdzie diabeł mówi dobranoc, atoli ostatnim był człkiem, którego posądzić można o to, że z okopu wyjdzie

po sztandar, który ani go grzeje, ani ziębi.

Snadź z Galisyjczykami nigdy nic nie wiadomo i należy być na wszelkie niespodzianki przygotowanym.

Owoż poszedł naprzód pocziwina Rivas, jak nadmieniłem, zbiegł będziez sześć, siedem łokci w dół, aż i on

padł, mnóstwem pocisków przeszyty, i poturlał się prosto do stóp mości Pedra de la Daga i jego

oficerów, co

zawszą przez napastników otoczeni, z coraz większym trudem odpierali ich bezlitosne ataki.

Sześciu Niemców eskortę stanowiących, iżę nacja ta zawsze profesję swą wykonuje bez
deliberowania i

komplikowania sobie życia (o ile tylko żołąd w porę przychodzi), dało się zarżnąć jak Pan Bóg
przykazał,

lubo drogo skórę swą sprzedali w obronie naszego marszałka polnego. Ten zasię zdołał już zbroję
włożyć,

dzięki czemu twardo na nogach się trzymał, chociaż dwa albo i trzy pchnięcia już go dosięgły.
Anglików

tymczasem przybywało, gromko rychły triumf świętujących, snadź widok leżącej na ziemi chorągwi
jeszcze

odwagi im dodawał, boć kto wraży sztandar przejmie, dla tego chwała wielka przeznaczona, a srom
na

głowę tego, co go utraci. A w tym sztandarze, w biało-niebieskie kwadraty z czerwoną

szarfą, spoczywał - jak powiadano podówczas - honor Hiszpanii i miłościwie nam panującego króla.

- No quarter 1... No quarter!- wykrzykiwały te kurewskie nasiona.

1 No quarter (ang.) - bez litości, bez pardonu.

Jęliśmy strzelać i kilku udało się ustrzelić, atoli niewiele więcej w owym momencie można było dla
mości

Pedra de la Daga i jego przybocznych zdziałać. Jeden z nich, którego rozpoznać nie byliśmy w stanie
z tej

racji, że oblicze miał całe rozplątane od ciosów, usiłował Anglików odsunąć gwoli umożliwienia

marszałkowi polnemu ucieczki. Godzi się jednak wspomnieć, że Bardasznurek do końca wiernym
sobie

pozostał: jednym szarpnięciem uwolnił się z rąk oficera, co za łokieć go ciągał, kazał mu wspinać się
na

zbocze, sam zasię rapier w ciele jakiegoś heretyka utopił, drugiemu w twarz prosto z pistoletu
wypalił, a

potem, nie chyląc się i nie kuląc, buńczuczny jak zwykle nawet na drodze do piekieł, dał się zaszlachtować

przez całą chmarę Anglików, którzy rozpoznali jego rangę i teraz szczątki jego nuże sobie wyrywać.

- No quarter!... No quarter!

Już jeno dwóch oficerów przy żywocie pozostało, ci biegiem na szczyt się puścili, korzystając, że nieprzyjaciel przy naszym dowódcy się pożywiał. Jeden padł po kilku krokach, piką na wylot przewiercony.

Drugi, ten z pociętym obliczem, utykając, dotarł do sztandaru, schylił się, by go podnieść, powstał i jeszcze

trzy, może cztery kroki zdołał postąpić, nim go podziurawiła kanonada z pistoletów i muszkietów. I na

powrót insygnia na ziemię runęły, ale nikt z góry nie poszedł po nie, wszyscy snadź zatrudniali się soczystą

palbą z arkebuzów w stronę Anglików, którzy już jęli wspinać się ku naszej reducie, gotowi dodać do listy

swych trofeów po marszałku polnym jeszcze chorągiew regimentarską. I ja sam, nieustannie rozdając

kolejne porcje prochu i kul z coraz bardziej kurczących się zapasów, przecie w przerwach strzeliłem parę

razy pomiędzy kosztami z arkebuza, który Rivas był zostawił. Ładowałem go nieporadnie, wszak był za

wielki na moje dłonie, a tak wierzgał przy odrzucie, że mi ramię przetrzącał. Ale mimo to udało mi się co

najmniej pięciokrotnie zeń wypalić.

Wciskałem w lufę porcję ołowiu, sypałem ostrożnie prochu na panewkę, za czym układałem lont w kurku,

bacząc, by panewkę osłonić, gdy na jego rozżarzoną końcówkę dmucham, jak czynili tylekroć kapitan i jego

kompani. Oczy me jeno pole bitwy widziały, a uszy słyszały jeno huk wystrzałów, podczas gdy czarny i

ostrzy dym wdzierał mi się pod powieki, do nosa i gęby. List od Angeliki de Alquezar spoczywał

zapomniany

na piersi pod moim kaftanem.

- Jeśli wyjdę żywy - cedził Garrote, ładując pośpiesznie swój arkebuz - to za chińskiego boga do Flandrii

nie wrócę.

Bój na grobli i pod murami fortu nie ustawał. Widząc, jak pierzchają ludzie kapitana Fenice, który zginął u

bramy, dzielnie pełniąc swój obowiązek, regimentarz Carlo Roma, człek, co słusznie portki wdziewał, sam

tarczę i rapier chwycił i stanąwszy naprzeciw uciekinierów, szeregi uporządkować próbował. Snadź był

świadom, że jeżeli napastników powstrzyma, zdoła ich zepchnąć z wolna do tyłu, iż po wąskiej grobli

napierali, tedy i w bezpośrednim starciu walczyć będą mogli a tylko ci, co najbardziej z przodu się znajdują.

Tak to z wolna bitwa odżywała i z tamtej strony, a Włosi, z nową nadzieją i wigorem wokół swego regimentarza skupieni, walczyli zgoła wybornie - nacja ta wszakże, jeśli tylko chce i powód widzi, potrafi

bić się przepięknie - Anglików zrzucając z murów i cały dorobek pierwszego szturmu schizmatycznego

niwecząc.

W naszym rejonie sprawy przedstawiały się mniej różowo: setka wielce zawziętych Anglików już bliska

była zdobycia nasypu, porzuconego sztandaru i koszy naszych umocnień, a przeszkadzała im w tym jeno

siarczyna palba naszych arkebuzów, co z odległości dwudziestu kroków pluły w nich na potęgę.

- Kończy się proch! - zaalarmowałem wszystkich.

I tak było. Ostało zapasu najwyżej na dwa, trzy wystrzały dla każdego. Curro Garrote, klnąc jak skazaniec

na galerach, skulił się za przedpiersiem, trzymając się za ramię od kuli muszkietu ranione. Pablo Olivares

przeto przejął od malagijczyka broń i oddał ostatnie dwa strzały, po czym i z własnego kropnął jeszcze to, co

mu zostało. Juan Cuesta, wojak z miasta Gijón, leżał martwy od dłuższego czasu, rychło dołączył doń

Antonio Sanchez, stary wiarus z Tordesillas. Murcjanin Fulgencio Puchę osunął się zaraz po nim, dłońmi

twarz zasłaniając i krwawiąc między palcami jak rzeźne zwierzę. Pozostali też ostatnie kule wystrzelili.

- Po wszystkim - ozwał się Pablo Olivares.

Patrzyliśmy wszyscy po sobie z wahaniem, słysząc coraz bliższe pokrzykiwania Anglików wspinających

się po stoku. Ich wrzask wielką trwogą mnie napełniał i nieskończoną żalnością. Czasu ostało nam mniej niż

na jedno Wierzę w Boga, a przed nami do wyboru jeno albo tamci, albo woda. Co poniektórzy jęli rapierów

dobywać.

- Sztandar - powiedział Alatryste.

Kilku spojrzęło nań, jak gdyby nie pojęli, co gada. Inni aliści, wśród nich Copons, powstali i wokół kapitana

się skupili.

- Słusznie prawi - odrzekł Mendieta. - Lepiej ze sztandarem, no.

Zrozumiałem. Lepiej przy chorągwi, walcząc w jej obronie, niżli tu, za osłoną koszy, jak zaszczute zające.

Na miejsce strachu pojawiło się teraz dogłębne, wiekowe znużenie i ochota, by wreszcie skończyć z tym

wszystkim. Chciałem zamknąć oczy i zasnąć na całą wieczność. Sięgając za plecy po mą mizerykordię,

zmiarkowałem, że ręce pokrywa mi gęsia skórka. Dłoń ze sztyletem trzęsła mi się niby w gorączce, tedy

zaciśnąłem broń z całych sił. Alatryste dostrzegł to i przez ułamek sekundy w oczach jego zalśniło coś, co

zarazem i skrucną być mogło, i uśmiechem. Po czym swój toledański rapier z pochwy wyjął, zdjął kapelusz i

pas z dwunastoma apostołami i jął się na przedpiersie wspinać.

- Hiszpania!... Naprzód, Hiszpania! -krzyknęło kilku, idąc w jego ślady.

- W dupie Hiszpania! - wymamrotał Garrote i kulejąc, powstał, zaciskając rapier w zdrowej ręce. -

Naprzód moje jaja!... Do dzieła!

Nie wiem, jak to się stało, aleśmy przeżyli. Wspominając redutę Terheijden w wielkim głowę mam

nieładzie, podobnym do tego, z jakim ruszyliśmy w ową beznadziejną walkę. Wiem, żeśmy wynurzyli się u

szczytu przedpiersia, że niektórzy przeżegnali się naprędce, a potem niczym sfora dzikich psów puściliśmy

się w dół zbocza, jak szaleńcy rycząc i wywijając bronią, a wszystko to w chwili, gdy pierwsi Anglicy już

mieli sztandaru dopaść. Stanęli wszelako jak wryci, przelęknięci naszym niespodzianym wypadem, snadź

mieli nas już za kupę trupów - i trwali tak jeszcze, z rękami wyciągniętymi ku drzewcu, kiedy spadliśmy na

nich, rznąc na oślep. Przewróciłem się na chorągiew, dłonie wokół niej zaciśnąłem, zdecydowany nie puścić

tej płachty za cenę życia, i poturlałem się z nią w dół stoku po ciałach martwego oficera, chorążego Chacona,

pocziwego Rivasa tudzież Anglików, których teraz Alatryste społem ze swymi kompanami, miarowo

postępując w dół, strzygli z takim impetem i okrucieństwem - wiedzcie, że desperat nie spodziewa się

żadnego ratunku i w tym siła jego - że wystraszeni Anglicy poczęli słabnąć, rany odnosić, padać i deptać

jedni po drugich. Nareszcie któryś tyły podał, inni w jego ślady poszli. Kapitan Alatryste, Copons, bracia

Olivaresowie, Garrote i reszta cali unurzani byli we wrażeń krwi i ślepi od morderczej nienawiści.

Naraz, zgoła niespodzianie, Anglicy rzucili się do ucieczki, słowo daję, pierzchali tuzinami całymi, wycofywali się, a nasi nuże plecy im kaleczyć. Tak dotarli do nieboszczyka, mości Pedra de la Daga, poszli

dalej, ostawiając za sobą istną masakrę, jedną krwawą masę pozarzynanych Anglików, a ja zataczałem się w

śląd za nimi, potykałem o leżących, dłonie na sztandarze zaciskałem i wylem z całych sił, wszystek gniew

swój, rozpacz i dumę z przodków mych wykrzykując. Bóg mi świadkiem, że zaznałem w życiu potem wielu

bitew, również tak zaciętych jak ta, o której teraz waszmościom prawię. Do dziś atoli płaczę jak pacholę,

jakim byłem wszak w owym czasie, kiedy widzę siebie, niespełna piętnastoletniego młokosa, jak wrzeszczę,

biegnąc po zakrwawionym zboczach reduty Terheijden i ściskając bezsensowny kawałek płótna w biało-

niebieską kratę, owego dnia, kiedy kapitan Alatryste wybrał dzień swojej śmierci, a ja ruszyłem za nim skroś

angielską nawałnicę, a wraz z nami jego druhowie, bo wszyscy musieliśmy kiedyś umrzeć, a wstyd nam było

pozwolić mu, ażeby poszedł umierać samemu.

EPILOG

Reszta jest obrazem i Historią. Była nią już dziewięć lat później, owego poranka, kiedym przeszedł przez

ulicę i wszedłem do madryckiej pracowni Diega Velazqueza, pomocnika kamerdynera naszego króla. Dzień

był zimowy, szary, jeszcze bardziej przykry niżli tamte dni we Flandrii, lód kałuż chrząścił mi pod butami do

jazdy, a pomimo płaszczu i głęboko nasuniętego kapelusza aż mi się skóra na twarzy kurczyła od chłodu. Z

ulgą przeto zanurzyłem się w mroku ciepłego korytarza, a zaraz potem w obszernej pracowni, gdzie ogień

trzaskał wesoło na kominku, a ogromne okna wpuszczały światło na płótna, co wisiały na ścianach, czekały

rozpięte na sztalugach albo leżały zwinięte na drewnianym podeście pośrodku podłogi. W pomieszczeniu

unosila się woń farb, mieszanek, werniksów i terpentyny, a również jakże zacny zapach dobiegający z saganka, gdzie wedle kominka na niewielkim piecyku dochodził rosół zaprawiony korzeniami i winem.

- Niechże się pan poczęstuje, panie Balboa - rzekł Diego Velazquez.

Za sprawą podróży do Italii, długiego już pobytu na Dworze i względów, jakimi darzył go nasz król Filip

Czwarty, malarz zatracił sporo ze swego sewilskiego akcentu w porównaniu z dniem, kiedym go był pierwszy raz ujrzał jakie jedenaście albo dwanaście lat wstecz na gwarnych od plotek schodach pod Świętym

Filipem. Teraz skrupulatnie chędożył pędzle czystą szmatką i odkładał równo na stół. Odziany był w pobryzgany farbą czarny kaftan, włosy miał zmierzwione, a wąsy i bródkę zgoła neutrefione. Ukochany

malarz Króla Jegomości nigdy się nie stroił do południa, kiedy to przerwę sobie czynił i żołądkowi ciepłą

strawę serwował, a do tego czasu od pierwszych porannych promieni słońca wytrwale pracą się zatrudniał. I

nawet spośród najbliższych nikt naprzykrzać mu się nie śmiał przed ową porą na odpoczynek.

Następnie mistrz pracował jeszcze czas jakiś po południu, za czym spożywał coś lekkiego. Później, jeśli

obowiązki pałacowe go nie wzywały albo jaka inna wyższa konieczność, przechadzał się pod Świętym

Filipem, po placu Mayor albo po Błoniu, nierzadko w kompanii mości Francisca de Quevedo, Alonsa Cano 1

i innych przyjaciół, uczniów czy znajomych.

Położyłem płaszcz, rękawiczki i kapelusz na taborecie i zbliżyłem się ku sagankowi, nabrałem chochlą

potrawy do emaliowanego dzbanka i jąłem dłonie rozgrzewać, popijając przy tym małymi łykami.

- Jak idzie w pałacu? - zagadnąłem.

- Powoli.

1 Alonso Cano (1601-1667) - malarz, rzeźbiarz i architekt, zwany „hiszpańskim Michałem Aniołem”.

Zaśmialiśmy się obydwaj ze starego żartu. W owym czasie Velazquez borykał się z trudnym zadaniem udekorowania obrazami sali tronowej w nowym pałacu Buen Retiro. Ta i inne podobne łaski spływały nań

bezpośrednio od samego króla, co wielce naszego mistrza kontentowało. Aliści z drugiej strony, jak chwilami się skarżył, wskutek tego brakowało mu miejsca i spokoju do pracy wedle własnego upodobania.

Przeto właśnie zrzekł się był funkcji nadwornego odźwiernego na

rzecz Juana Bautisty del Mazo 1, a sam zadowolił się godnością pomocnika królewskiego kamerdynera,

bez nijakich obowiązków specjalnych.

- Co słyhać u kapitana Alatryste? - zapytał malarz.

- Dobrze. Pozdrowienia waszmości posyła... Poszedł pospołu z mości Franciskiem de Quevedo i kapitanem Contrerasem na ulicę Francos, w odwiedzinach do Lopego.

- A jakże się miewa Feniks geniuszy?

- Szpetnie. Ucieczka córki Antonity z Cristobalem Tenorio była dlań mocnym ciosem... Nie podniósł się,

biedaczysko.

- Muszę znaleźć wolną chwilę, by wizytę mu złożyć... Bardzo się posunął?

- Wszyscy lękają się, czy tę zimę przetrwa.

- Szkoda.

Upiłem jeszcze parę łyków. Rosół parzył mi usta, ale życie przywracał.

- Mówią, że będzie wojna z Richelieu - ozwał się Velazquez.

- Tak słyszałem pod Świętym Filipem.

Poszedłem odstawić dzban na blat, po drodze wszelako przystanąłem przed gotowym już obrazem na sztalugach, czekającym jeno na werniks. Angelica de Alquezar wyglądała tam precudnie, odziana w białą

satynę, wykończoną frędzelkami z maleńkimi perełkami, oraz w mantylkę z brukselskiej koronki. Wiem, że

robotą brukselską to była, gdyż sam jej tę mantylę podarowałem. Jej błękitne oczy spoglądały w ironicznym

skupieniu i zdawały się każdy mój ruch po izbie śledzić, jak zresztą czyniły to przez całe moje życie. Widok

ten sprawił, że się do siebie uśmiechnąłem - zaledwie kilka godzin wcześniej, o brzasku, rozstałem się z nią

byłem i wyszedłem na ulicę szczelnie owinięty płaszczem i z dłonią na rękojeści rapiera na wypadek, gdyby

oczekiwali mnie na zewnątrz najemnicy przez jej wuja nasłani - i wciąż na palcach, ustach i skórze nosiłem

rozkoszne ślady jej zapachu. Nosiłem też naciele zabliznioną pamiątkę po jej sztylcie, a w głowie jej słowa

miłości i nienawiści - jedne i drugie śmiertelnie szczerze.

- Zdobyłem dla waszmości - rzekłem do Velazqueza - szkic rapiera markiza de los Balbases... Dawny

towarzysz broni widywał go często i pamięta tę broń wyśmienicie.

Odwróciłem się plecami do portretu Angeliki, wyciągnąłem zza pazuchy złożoną kartkę i podałem malarzowi.

- Rękojeść miał z brązu i kutego złota. Tu zobaczysz waszmość, jak wyglądała garda.

Velazquez odstawił już szmatę i pędzle i z ukontentowaniem wpatrywał się w przyniesiony szkic.

- A co do piór kapelusza - dodałem - to z całą pewnością były białe.

- Doskonale - odrzekł.

Położył papier na stole i jął na płótno patrzeć. Obraz miał zawisnąć w sali tronowej. Był tak ogromny, że

mistrz umieścił go w specjalnej ramie umocowanej na ścianie, a obok stała mała drabinka, służąca do pracy

w górnych partiach.

- W końcu posłuchałem waszmości - dodał zadumany. - Lance zamiast chorągwi.

Ja sam opisałem mu szczegóły w trakcie prowadzonych ostatnimi miesiącami długich rozmów, a to

skutkiem tego, że mość Francisco de Quevedo namówił go, by skorzystał z moich opowieści o pamiętnym

wydarzeniu. W celu odmalowania go Diego Velazquez poniechał wizji zawziętej walki, krzyżowanych

główni i innych szczegółów typowych dla obrazów batalistycznych, skłaniając się ku scenie spokojnej i

wzniosłej.

Nieraz powiadał mi, że chce osiągnąć efekt zarazem wielkoduszności i buty, a przy tym namalować rzecz

po swojemu: pokazać wszystko nie tak, jak było, ale jak on widział, przedstawiać zgodnie z prawdą, ale w

sposób niedopowiedziany, ażeby oglądający mógł dopełnić sobie całą resztę, a więc kontekst i ducha sceny.

- I jak to waszmość widzisz? - zapytał mnie łagodnie.

Aż nadto miałem świadomość, że zapatrywania artystyczne dwudziestopięcioletniego żołnierza znaczą

dlań tyle, co nic. Prosił o co innego, i pojąłem to natychmiast, gdy spoglądał na mnie niemal z obawą, jakby

ukradkiem, kiedy moje oczy omiatały płótno.

- Tak było i nie tak było - rzekłem.

Pożałowałem tych słów zaraz, jak tylko z mych ust padły, bom się zląkł, że przykrość mu sprawią. On

aliści uśmiechnął się z lekka.

1 Juan Bautista Martinez del Mazo (1612-1667) - malarz, zięć Velazqueza

- Dobrze - odparł. - Wiem już, że w okolicach Bredy nie ma tak wysokiego wzgórza i że perspektywa w

tle jest troszeczkę nienaturalna - przeszedł kilka kroków i znów się przyjrzał, dłonie na naczyniach oparłszy.

- Ale scena robi wrażenie i w tym rzecz.

- Nie to miałem na myśli - zaznaczyłem.

- Wiem, coś miał waćpan na myśli.

Podszedł do dłoni, którą Niderlandczyk Justyn Nassau wręcza naszemu generałowi Spinoli - klucz

wciąż był jeno szkicem i plamą koloru - i potarł ją lekko kciukiem. Oczu od płótna nie odrywając, dał krok

do tyłu. Wpatrywał się w miejsce pomiędzy dwiema głowami, pod lufą arkebuza, którą trzyma poziomo

żołnierz bez brody ni wąsów - tam, napół ukryty za oficerami, majaczył orli profil kapitana Alatryste.

- Przecież ostatecznie - rzekł nareszcie - zawsze będą to tak właśnie pamiętać... To znaczy później, kiedy

waszmość i ja już dawno będziemy w grobie.

Przyglądałem się obliczom marszałków i kapitanów na pierwszym planie, częściowo jeszcze oczekujących

ostatniego retuszu. Nie dbałem już o to, że krom Justyna Nassaua, księcia Neuburga¹, mości Carlosa Colomy

2 oraz markizów de Espinar³ i de Leganes⁴, że nie wspomnę o samym Spinoli, żadna z przedstawionych na

obrazie głów nie odpowiada rzeczywistym postaciom. Że Velazquez sportretował swegoprzyjaciela, malarza

Alonsa Cano, jako jednego z niderlandzkich arkebuzerów po lewej stronie i że przydał rysów ludzaco

podobnych do swoich własnych oficerowi w wysokich butach, który po prawej stronie wpatruje się w widza.

Albo że nieszczęsny mość Ambrosio Spinola - co umarł był z żalu i wstydu cztery lata wcześniej we Włoszech - istotnie identycznie rycerską postawę prezentuje na płótnie, co owego poranka pod Bredą, ale że

generała niderlandzkiego mistrz odmalował w pozie dużo bardziej pokornej i poddańczej niżli ta, jaką

pamiętam u niego, gdy poddawał miasto w kwaterze Balancona...5. Ja wszelako miałem na myśli to, że w

owej spokojnej scenie, w tym „nie trzeba, mości Justynie, nie kórz się, wasza miłość” i w powściągliwej

postawie oficerów po obydwu stronach zabrakło czegoś, co ja widziałem aż nadto wybornie wśród

wzniesionych lanc: zuchwałą dumę zwycięzców oraz pogardę i nienawiść zwyciężonych, wściekłość, z jaką

siekliśmy się byli nawzajem, i jeszcze wiele lat trwać to miało, ize grobów, widocznych w głębi obrazu

śród dymów i pożarów, nie miało nastarczyć. Co zaś tyczy się pierwszego planu i tego, kogo tam widać, a

kogo nie, powiem tyle, że my, wierna i sponiewierana piechota, stary regiment, co brudną robotę w podkopach i kaponierach był wykonał, co na wypady nocne chodził, co żelazem i ogniem tamę w

Zevenbergen zburzył, dzielnie stawał wedle młyna Ruijter i na reducie Terheijden, ta piechota, co cała w

łatach i z poniszczoną bronią maszerowała, płacąc pryszczami, chorobami i nędzą - owóż my ledwie mięsem

armatnim byliśmy, stałym tłem, na którym ta druga Hiszpania, ta koronkowa i nader wykwinna,

przyjmowała klucze do Bredy - tak jakeśmy się obawiali, nawet nie dozwolono nam splądrować miasta - i

pozowała dla potomności, by wielką ułudę pokazać światu: ów wielkoduszny gest, och, ależ proszę, nie kórz

się, mości Justynie. Mówię to jak żołnierz żołnierzom, a we Flandrii słońce jeszcze nie zaszło.

- To będzie wielkie dzieło - powiedziałem.

I zrobiłem to szczerze. To miało być dzieło wielkie, a świat może zapamięta taką piękniejszą Hiszpanię

właśnie poprzez obraz Velazqueza, na którym tchnienie wieczności wyczuć nietrudno, bijące z palety największego malarza, jakikiedykolwiek po ziemi stapał. Dodam aliści, że prawdziwe wspomnienia moje

wiążą się z drugim planem, ku któremu, chcąc nie chcąc, wędrowało cały czas me spojrzenie, poza centralną

grupę postaci, która obchodziła mnie nie więcej niżli przeszłoroczne śniegi: tam, gdzie widnieje stara chorągiew w biało-niebieską kratę, oparta na ramieniu chorążego o nastroszonej czuprynie i gęstych wąsach,

który mógł być nieszczęsnym Chaconem, co padł na reducie Terheijden, kiedy usiłował uratować ten kawałek płótna. Tam, gdzie arkebuzerzy - Rivas, Llop i tylu innych, co nigdy nie wrócili do Hiszpanii ani do

żadnego innego kraju - stoją odwróceni do głównej sceny, tam, gdzie wznosi się równy las bezimiennych

lanc, z których aliści każdej potrafiłbym przyporządkować imiona poległych i żywych ciągle towarzyszy, oni

to bowiem przewędrowali z nimi Europę, za cenę potu i krwi zawsze stając w gotowości, bo prawdę napisano

przecie:

A gdy przyszło ruszyć w pole,

Nie stchórzyli ani w Anglii,

Ni we Francji, ni we Flandrii:

Mężnie swą znosili dolę.

1 Wolfgang Wilhelm von Neuburg, ks. Palatynatu-Neuburga (1578-1653) - jeden z katolickich przywódców podczas

wojny trzydziestoletniej.

2 Carlos Coloma (1566-1637) - hiszpański generał, historyk i dyplomata.

3 Markiz de Espinar - być może chodzi o wspomnianego Carlosa Colomę, który mienił się takim tytułem.

4 Diego Mesia y Felipez de Guzman, diuk Sanlucar, I markiz de Leganes (1590-1655) - gubernator Flandrii, potem

m.in. wicekról Mediolanu, kuzyn hrabiego de Olivares, zięć generała Spinoli.

5 Claude de Rije, baron van Balancon - komendant wojskowy Bredy.

I świat cały w oczy kole,

Gdy nasz dumny widzi chód:

To żołnierski, prosty ród

Walczy, by hiszpańskie słońce

Rozświetlało Ziemi końce,

Od Zachodu aż po Wschód.

To im właśnie, Hiszpanom, różniącym się językami i krainami ojczystymi, ale zawsze społem dzielącym

ambicję, dumę i niedolę, a nie tamtym fircykom przedstawionym na pierwszym planie, wręczał

Niderlandczyk swój przeklęty klucz. Tej armii bez nazwiska ni oblicza, którą malarz zarysował jeno u stóp

wzgórza, co nigdy nie istniało. Bo przecie o godzinie dziesiątej rano dnia piątego czerwca roku

dwudziestego piątego, za panowania w Hiszpanii króla Filipa Czwartego, ja sam byłem świadkiem poddania Bredy, u

boku kapitana Alariste, Sebastiana Coponsa, Curra Garrote i reszty jego zdziesiątkowanej drużyny.

Dziewięć lat później w Madrycie, stojąc przed obrazem namalowanym przez Diega Velazqueza, zdało mi

się, że znów słyszę dudnienie tarabanów i widzę, jak na tle dymiących murów i okopów i odległej Bredy z

wolna maszerują stare niezłomne oddziały, piki i sztandary tego, co było ostatnią i najlepszą piechotą

na

świecie: to szli znieawidzeni, okrutni i butni Hiszpanie, karni jeno w bitewnym ogniu, co każdą niedolę

znieść potrafili, ale jednego nie cierpieli – gdy kto na nich głos podnosił.

NOTA WYDAWCY NA TEMAT

OBECNOŚCI KAPITANA ALATRISTE

NA OBRAZIE PODDANIE BREDY

DIEGA VELAZQUEZA

Od dłuższego czasu przedmiotem dyskusji jest domniemana obecność kapitana Diega Alatryste y Tenorio

na obrazie Poddanie Bredy. Pomimo świadectwa Iniga Balboi, w którego przytomności płótno powstawało i

który dwukrotnie potwierdza (na str. 11 Kapitana Alatryste i na str. 217 Słońca nad Bredą), jakoby kapitan

został uwieczniony przez Velazqueza, dokładne badania głów po prawej stronie kompozycji pozwoliły

zidentyfikować jako autentyczny wizerunek generała Spinoli, a jako prawdopodobne postacie Carlosa

Colomy, markizów de Leganes i de Espinar oraz księcia Neuburga - na co wskazują analizy profesorów

Justiego, Allendego Salazara, Sancheza Cantona i Temboury'ego Alvareza - natomiast absolutnie nie ma

sposobu, by w którejkolwiek z pozostałych anonimowych głów dopatrzeć się cech fizycznych, jakie Ínigo

Balboa przypisuje kapitanowi.

Chorąży, opierający na ramieniu sztandar, nie może być uznany za Diega Alatryste, muszkieter bez zarostu

na ostatnim planie również nie. Także wykluczyć należy bladego rycerza z odkrytą głową, który stoi blisko

sztandaru i tuż obok konia, jak również zażywnego, krzepkiego oficera (też z gołą głową), widocznego pod

lufą arkebuza - w tym ostatnim żołnierzu profesor Sergio Zamorano z uniwersytetu w Sewilli upatruje kapitana Carmela Catona. Niektórzy badacze skłonni są dopuszczać ewentualność, że kapitan Alatryste został

sportretowany pod postacią oficera, którego widzimy za koniem, na prawym skraju płótna, jak spogląda na

widzów. Osobę tę inni eksperci, jak na przykład Temboursy, identyfikują jako autoportret samego

Velazqueza, co z kolei pasuje do koncepcji symetrycznej kompozycji, jeśli zgodzić się z tezą, że pod

postacią holenderskiego arkebuzera na lewym skraju obrazu przedstawiony jest przyjaciel malarza, Alonso

Cano.

Profesor Zamorano sugeruje jednak w swej pracy Breda - rzeczywistość i legenda, że Diego Alatryste

pasuje do pewnych cech fizycznych oficera z prawej strony obrazu, chociaż zwraca uwagę, że rysy robią

wrażenie łagodniejszych niż te, o jakich wspomina Íñigo Balboa, gdy opisuje kapitana Alatryste.

Trzeba wszakże zauważyć, jak pisze tłumacz i badacz z Barcelony Miguel Antón w eseju Kapitan Alatryste

i poddanie Bredy, że wiek owego rycerza, a więc nie więcej niż trzydzieści lat, w żaden sposób nie zgadza

się z rzeczywistym wiekiem Alatryste w roku 1625, a jeszcze mniej z wiekiem 51-52 wiosen, jakie liczył

sobie zapewne kapitan w latach 1634-35, kiedy to powstawał obraz Velazqueza. Strój oficera też nie

odpowiada umundurowaniu, jakie Alatryste mógł nosić we Flandrii - przypomnijmy, że był podówczas

zwykłym żołnierzem i miał nominalną szarżę kaprała. Rozważano jeszcze możliwość, że Alatryste figuruje

nie po prawej stronie obrazu, ale wśród Hiszpanów namalowanych w dole zbocza, pośrodku płótna, za

wyciągniętym ramieniem generała Spinoli. Jednakże szczegółowe badanie twarzy i umundurowania, dokonane przez eksperta „Figaro Magazine” Etienne'a de Montety, też zdaje się ją wykluczać.

A mimo to stwierdzenie Iníga Balboi, zamieszczone na 11 stronie pierwszego tomu tej serii, nie pozostawia wątpliwości:

... mój ojciec padł od kuli arkebuza na murach bastionu Jiilich (to dlatego Diego Velazquez nie uwiecznił

go potem na obrazie wyobrażającym poddanie Bredy, kontentując się tylko swym przyjacielem i

imiennikiem, którego owszem, namalował, widnieje tam zaraz za jednym koniem).. Te zdumiewające słowa

przez długi czas uznawane były przez większość specjalistów za bezpodstawne twierdzenie samego Iníga

Balboi, będące tylko hołdem na cześć jego ukochanego kapitana, ale pozbawione jakiegokolwiek

prawdopodobieństwa. Sam Arturo Perez-Reverte podczas pracy nad Przygodami kapitana Alatryste

posługiwał się wspomnieniami Iníga Balboi, który walczył jako żołnierz we Flandrii i Włoszech, był

chorążym pod Rocroi, porucznikiem kurierów królewskich i kapitanem Straży Hiszpańskiej króla Filipa

Czwartego, nim w 1660 roku wycofał się ze służby z powodów osobistych, mając lat pięćdziesiąt, i wzięt

ślub z panią Ines Alvarez de Toledo, markizą wdową de Alguazas. Wspomnienia te pozostały w rękopisie, a

światło dzienne ujrzały dopiero w roku 1951 na aukcji książek i manuskryptów, przeprowadzonej przez dom

Claymore w Londynie. Pisarz przyznaje, że przez wiele lat stwierdzenia Iníga Balboi na temat obecności

Diega Alatryste na obrazie Velazqueza uważał za fałszywe.

Zagadka została rozwikłana jedynie przez przypadek, który p ozwoił dostrzec fakt, jaki wielu badaczy

przeoczyło, w tym także sam autor niniejszej serii powieściowej, niemal w całości opartej na oryginalnym

rękopisie². W sierpniu 1998 roku, kiedy w sprawach wydawniczych odwiedziłem Pereza-Reverte w jego

domu, leżącym niedaleko Escorialu, autor - wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia - obwieścił mi o odkryciu,

jakiego dokonał podczas dokumentacji epilogu trzeciego tomu serii. Otóż poprzedniego dnia, przeglądając

książkę Josego Camona Aznara Velazquez - jedną z najlepszych, jakie powstały na temat autora Poddania

Bredy - Perez-Reverte natrafił na coś, co jeszcze nazajutrz nie pozwoliło mu ukryć zaskoczenia. Na stronach

508 i 509 pierwszego tomu (Madryt, wyd. Espasa-Calpe, 1964) profesor Camón Aznar potwierdza, po

ważnym przebadaniu zdjęcia rentgenowskiego omawianego płótna, niektóre rewelacje Iníga Balboa

temat obrazu, które z początku mogły wydawać się sprzeczne z prawdą. Na przykład fakt, że artysta pierwotnie namalował chorągwie zamiast lanc. Rzecz w sumie nierzadka u malarza sławnego ze swych

„uników”, czyli poprawek dokonywanych z marszu, które chwilami sprawiały, że zmieniał zarysy lub sytuacje i likwidował całe namalowane już przedmioty i postacie. Oprócz chorągwi zamienionych na piki - a

byłaby to fundamentalna różnica w kompozycji i ostatecznym efekcie - koń Hiszpanów był szkicowany w

trzech odmiennych pozach, w głębi, zgodnie z prawdą geograficzną, nieopodal grobli Zevenbergen i otwartego morza można domyślać się statku na falach, Spinola był pierwotnie namalowany w postawie

bardziej wyprostowanej, a po hiszpańskiej stronie mającą inne głowy w haftowanych kołnierzach. Z nieznanymi nam powodów Velazquez w ostatecznej wersji zatarł jedną głowę o wielce szlachetnych rysach i

jeszcze jedną obok. Tam, gdzie Inígo Balboa wskazuje dokładną lokalizację swego pana: pod lufą arkebuza,

którą trzyma poziomo żołnierz bez brody ni wąsów, widz dostrzec może jedynie pustkę i niebieski kaftan

odwróconego plecami pikiniera.

Ale najprawdziwsza niespodzianka - i dowód, że nie tylko literatura, ale malarstwo także jest jednym

pasmem zagadek i skrytek, które kryją w sobie kolejne skrytki - objawiła się dalej w postaci kilku słów na

tejże stronicy 509 w książce Camona Aznara. Na temat owego podejrzanego, pustego miejsca pod lufą

arkebuza, profesor pisze, że na zdjęciu rentgenowskim widać z tyłu jeszcze jedną głowę o orlim profilu.

Tak oto często rzeczywistość zabawia się, potwierdzając nam coś, co przedtem wydawało się fikcją. Nie

potrafimy podać motywu, jaki kazał Velazquezowi zamalować w późniejszym okresie tę gotową już głowę,

może następne tomy serii zdołają wyjaśnić tę tajemnicę 1. Teraz jednak, niemal cztery stulecia po

opisywanych wypadkach, wiemy, że Íñigo Balboa nie kłamał i że kapitan Alatryste był - a właściwie nadal

jest - na obrazie Poddanie Bredy.

Wydawca

Niezwykłe jest też zniknięcie a posteriori dwóch znanych do dziś, udokumentowanych wzmianek o

kapitanie Diegu Alatryste y Tenorio. Świadcstwo Íñiga Balboi i analiza płótna Poddanie Bredy Velazqueza

dowodzą, że wizerunek kapitana został z obrazu wymazany z niewiadomych przyczyn i że nastąpiło to po

zimie 1634 roku. Istnieje też jednak pierwsza wersja komedii Pedra Calderona de la Barca Oblężenie Bredy,

gdzie też odnotowano ślady późniejszych manipulacji.

Pierwsza kompletna wersja, współczesna premierze komedii w Madrycie - napisanej ok. roku 1626 - i

zgodna w ogólnym zarysie z kopią rękopiśmienną, dokonaną przez Diega Lopeza de la Mora w 1632 r.,

zawiera mniej więcej 40 wersów, które z wersji ostatecznej zostały usunięte. Tam właśnie mamy do czynienia z wyraźną wzmianką o śmierci marszałka Pedra de la Daga i o obronie reduty Terheijden, przeprowadzonej przez Diega Alatryste, którego nazwisko kilkakrotnie w tekście pada. Oryginalny fragment,

odkryty przez profesora Klausa Oldenbarnevelta z Instytutu Studiów Hispanistycznych uniwersytetu w

Utrechcie, przechowywany jest w archiwum i bibliotece Diuków del Nuevo Extremo w Sewilli, my zaś

przedrukowaliśmy go w aneksie niniejszego tomu, a to dzięki uprzejmości pani Macareny Bruner de Lebrija,

diuszesy del Nuevo Extremo.

1 Powody, dla których usunięto kapitana Alatryste zarówno z komedii o oblężeniu Bredy, jak i z obrazu Velazqueza,

pozostają niewytłumaczalne. Chyba że w grę wchodzi wyraźny nakaz, który pochodziłby albo od króla Filipa IV, albo,

co bardziej prawdopodobne, od hrabiego-diuka de Olivares, w niełaskę u którego z niejasnych nadal przyczyn mógł

popaść Diego Alatryste między 1634 a 1636 rokiem (przyp. wyd.).

Dziwne jest to, że owe czterdzieści wersów nieobecne jest również w kanonicznej wersji tekstu,

opublikowanej w 1636 r. w Madrycie przez Josego Calderona, brata autora, w tomie Pierwsza część

Komedyi mości Pedra Calderona de la Barca.

WYJĄTKI

Z KWIATÓW POEZJI

PRZEZ DWORSKIE

ZNAKOMITOŚCI UŁOŻONYCH

Druk z wieku XVII bez daty,

zachowany w dziale „Hrabiowie Guadalmedina”

Archiwum i Biblioteki Diuków del Nuevo Extremo

(Sewilla)

I RZEŻ MOŚĆ FRANCISCA :

DE QUEVEDO EPITAFIUM

PAMIĘCI MARKIZA AMBROSIA SPINOLI

KTÓRY SIŁAMI KATOLICKIMI

WE FLANDRII DOWODZIŁ

Sonet

Odys fortelem przeciwnika mamił,

Czując, że bez konia rady by nie dał.

A przed twym rapierem wraża czereda

Ukorzyła się jak grzesznik w Otchłani.

Gdy tylko przybyłeś z regimentami,

Padła Ostenda, poddała się Breda.

Dla ciebie chwała, dla wroga zaś bieda,

Cała Europa zadrżała przed nami.

Schizmatyków ty zmiotłeś i podbiłeś

Palatynat dla hiszpańskiej korony;

Ku chwale wiodłeś wojsko roztomiłe.

Odszedłeś Italia łzy dzisiaj roni,

Flandria czeźnie; ty zasię ostawiłeś,

Spinola, w bólu nas nieutulonych.

RZEŻ KAWALERA

W ŻÓŁTYM KAFTANIE

DO ÍNIGA BALBOI,

W WIEKU PODESZŁYM

Sonet

Przebóg, nijakiej nie widzę różnicy ••

Między walczącym we Flandrii wojakiem

A jego giermkim, baskijskim chłopakiem,

Któremu tamten splendoru użyczył.

Ty męża opiewasz, który bez przyłbicy

Stalą wykuł dzieła nie byle jakie;

Świat łka, lecz słów twoich słucha ze smakiem,

Języka wszak nie strzepisz po próżnicy.

Szkołą cnoty dla ciebie były głośne

Wyczyny jego, a w nas przerażenie

Budzą twe historie, jakże soczyste.

Dzięki tobie, choć czas mknie bezlitośnie,

Śród nas po wieczność będzie żyć wspomnienie

O kapitanie Diegu Alatriście.

I RZEŻ MOŚĆ PEDRA CALDERONA

DE LA BARCA OBRONA REDUTY TERHEIJDEN

WYJĘTĄ Z III AKTU SŁAWETNEJ KOMEDII

„OBŁĘŻENIE BREDY”

Romanca

MOŚĆ FADRIQUE BAZAN

Och, gdyby Henryk mógł nadejść

Tutaj, gdzie wojska Hiszpanii

Obóz swój mają, to nasze

Powiodłyby się zamiary.

MOŚĆ VICENTE PIMENTEL

Ja snadź nie wierzę, by dla nas

Los się okazał łaskawy.

ALONSO LADRÓN, kapitan

Założę się, waszmościowie -

Zewrą się nasi z frycami,

Co cięgiem nam urągają,

Że my Jakuba wzywamy

I grzmimy „Naprzód, Hiszpanio”..

Lubo Jakub jest im znany

Jako jeden z apostołów

I patron nasz ukochany,

Owo „Naprzód” czarcia szcztka.

Gdy wpadniemy w tarapaty,

Mówią tedy, że nam w sukurs

Idą święci wraz z diabłami.

MOŚĆ FRANCISCO DE MEDINA

Jeśli od strony Antwerpii

Nadciągnie Nassau z wojskami,

Niechybnie Włochów napotka.

SURMY

MOŚĆ FADRIQUE

Oto wydano sygnały

Do boju.

ALONSO

Przebóg! Niech tu się

Włochom sposobność nadarzy,

A mozołu niech oszczędzi

Fortuna biednym hiszpańskim

Żołnierzom!

MOŚĆ FADRIQUE

Wypluj, coś wyrzekł!

Obym mógł wspomnieć tu waści

o marszałku de la Daga,

Który w bitwie bez bojaźni

Z Hiszpanów niewielką garstką

Wrogom dzielnie czoło stawiał.

MOŚĆ GONZALO

FERNANDEZ DE CÓRDOBA

Bez dysputy?

MOŚĆ FADRIQUE

Skądże znowu!

Wszak bezczynność umie sprawić,

Że rdzewieje w pochwach stal,

Że gnuśniej je duch Hiszpanii

i męstwo. |

MOŚĆ GONZALO

Kto podczas wojny

Posłusznym jest, ten kajdany

Najsroźsze na się nakłada.

Więcej renomy i chwały

Zyska nie ten, kto waleczny,

Lecz kto wypełnia rozkazy.

MOŚĆ FADRIQUE

Gdyby sława nie z karności

Płynęła, w królestwie zali

Wystarczyłoby nam kajdan?

ALONSO

Oby mnie nie rozsierdzali

Ci szanowni Flamandowie.

Snadź gdy pękną w boju nasi,

Choćbym jutro miał zawisnąć,

Dziś mi przyjdzie dobyć stali.

WERBLE

MOŚĆ VICENTE

Obie strony tną zażarcie!

WERBLE

MOŚĆ FADRIQUE

Przyznać trzeba, że wyraźny

Surm i werbli ton dobiega

A oręza szczęk z oddali!

MOŚĆ FRANCISCO DE MEDINA

Na niebiosa! Przez walońskie

Linie właśnie się przedarli!

WERBLE

MOŚĆ FADRIQUE

Wróg do Włochów już dociera!

ALONSO

Fryce wojsko z bożej łaski!

Tych to jak amen w pacierzu

Byle szturm pokotem zwali!

MOŚĆ GONZALO

Baczcie tam, gdzie de la Daga...

ALONSO, na stronie

Bardasznurkiem przezywany...

MOŚĆ GONZALO

... Z duną opór dzielnie stawia -*

ze swoimi Hiszpanami,

lubo srogie zbiera cięgi.

WERBLE

MOŚĆ FADRIQUE

Przeto, w razie wieści takich,

Niechaj nakaz posłuszeństwa

Bym rapiera nie dobywał!

, Bo kto mąż opanowany,

A nie do utarczki skory,

Ten wie, jak spełniać rozkazy!

MOŚĆ VICENTE

Snadź w perzynę pierwsza linia

. Rozbita. Słyszysz z oddali

Krzyki? Lękam się, że w nocy

Przejdą bez trudu przez bramy.

ALONSO

Jakże? Przez bramy?

MOŚĆ FADRIQUE

Tej nocy?

Powiem, choć głos mój

zuchwały,

Że nie przejdą.

MOŚĆ VICENTE

Za broń chwycimy,

Lubo nawet miałby zganić

Nas generał.

MOŚĆ GONZALO

Byle rozkaz

Był spełniony niech się wali,

Wszystko furda.

MOSĆ FADRIQUE

Kto w opałach

Złamie rozkaz, to tak jakby

Go nie złamał, posłuszeństwa

Na szwank żaden nie wystawi.

MOSĆ VICENTE

Śledząc tok bitewnych zmagañ,

Jakich jął się mąż odważny,

Słońce przerwało wędrówkę

I stanął wiatr oniemiały.

Owóz baczcie, waszmościowie,

Jako Włoch tam czoło stawiał

Całej armii Henrykowej,

Gromko zasię zawołali

Jego ludzie, powstrzymując

Wybornie natarcie wraźych

Oddziałów. O, Carlo Roma,

To czyn godzien wiecznej sławy!

Zasłużyłeś, by otrzymać

Komandorię od Monarchy

I zaszczyty, i tytuły,

Stanowiska i pochwały!

Zbrojny w rapier tudzież tarczę

Wściekle wroga siecze, wali,
A na jego podobieństwo
Reszta Włochów. Niechże chwały
Los im nie poskąpi, a nam
Cnych widoków! Tutaj zawiść
Oraz respekt są na miejscu
Wszak Hiszpania, tyleż razy
Sama widząc się zwycięską,
Winna dziś wieniec triumfalny
Przyznać tej, co triumf odniosła,
To jest walecznej Italii.

MOŚĆ FRANCISCO DE MEDINA

Inny czyn miano wiktorii
Także sobie dziś zaskarbił:
Oto sztandar regimentu
Od niewoli i od hańby
Ocalili skromni liczbą,
Aliści pełni odwagi
Hiszpanie, co marszałkowi
Dotrzymywali kompanii.
Bili się tak, że nie zdołał
Pokonać ich podły Anglik.

MOŚĆ GONZALO

Jakiż cny i hardy Hektor

Dowodził nimi w batalii?

ALONSO

Zwie się Diego Alatryste,

Kapitanem tu wołany,

Który to przydomek godnie

Zdobył pośród szczęku stali.

MOŚĆ GONZALO

Tedy niechaj Alatryste

Idzie dzisiaj w dumne ślady

Carla Komy zwycięskiego,

Niechaj zechce król łaskawy

Triumfatorów spod Terheijden

Wraz obsypać nagrodami.

MOŚĆ FADRIQUE

Czmycha z wiatrem na wyścigi

Pokonany Niderlandczyk,

Ale że też dzielnie stawał,

Niech i jemu dumny wawrzyn

Czoło przystroi, a imię

Jego niechajże zgłoskami

Złotymi będzie wyryte

niech zdoła wieczne annały.